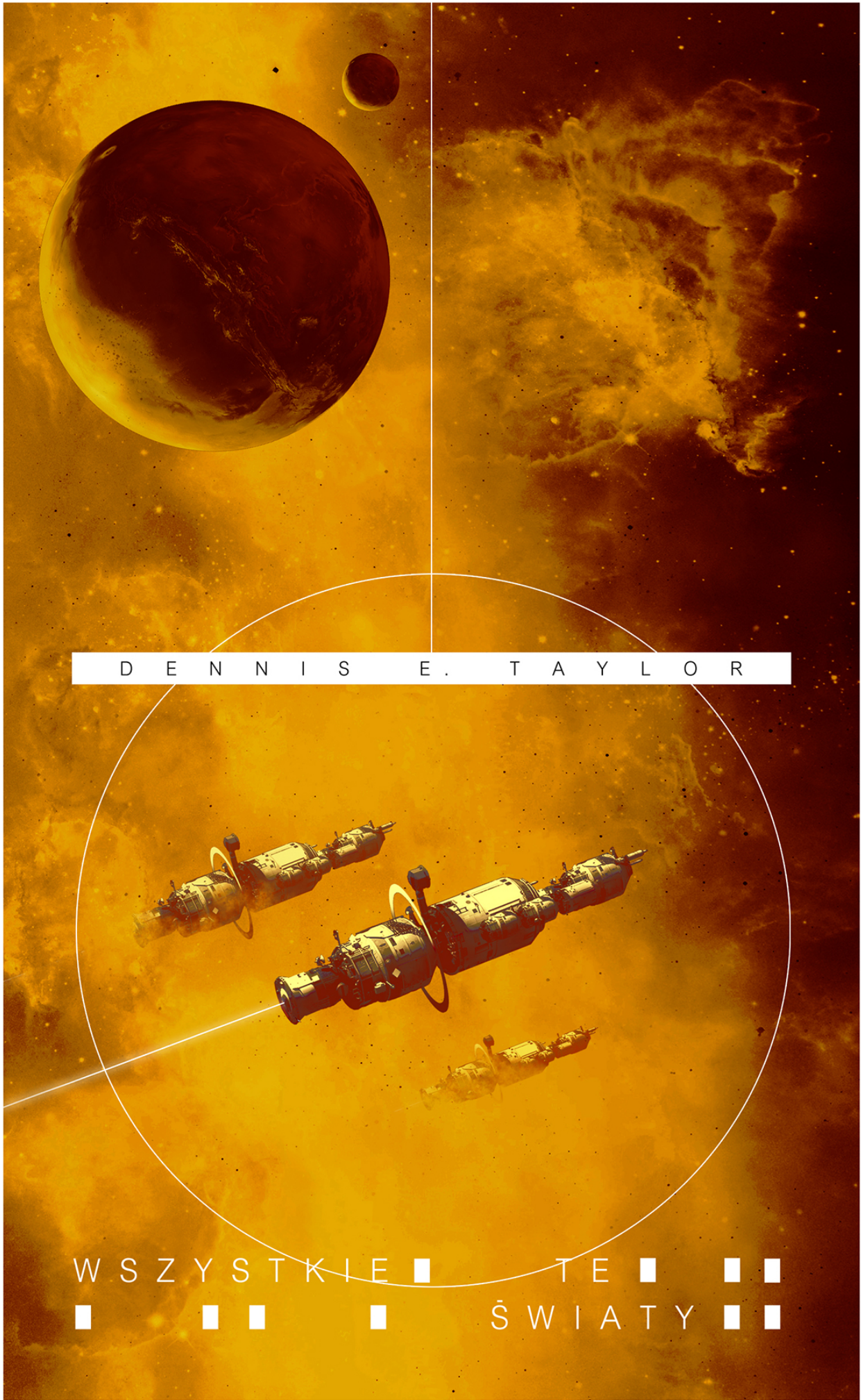




D E N N I S E . T A Y L O R

W S Z Y S T K I E ■ T E ■ ■
■ ■ ■ ■ Ś W I A T Y ■ ■

Dennis E. Taylor

WSZYSTKIE TE ŚWIATY

Przełożył Wojciech M. Próchniewicz

**Wydawnictwo MAG
Warszawa 2021**

Spis treści

Podziękowania

1. **Konfrontacja** Bob, marzec 2224, Delta Eridani
2. **Przegraliśmy** Howard, luty 2217, Wolkan
3. **Wichrzycielstwo** Marcus, listopad 2212, Posejdon
4. **Pretensje do świata** Howard, listopad 2217, Wolkan
5. **Zasadzka** Bob, marzec 2224, Delta Eridani
6. **Start** Bill, styczeń 2223, Epsilon Eridani
7. **Randka** Howard, listopad 2217, Omikron-2 Eridani
8. **Rewolucjoniści** Marcus, czerwiec 2214, Posejdon
9. **Napięcie** Howard, luty 2218, Wolkan
10. **Napad** Bob, marzec 2224, Camelot
11. **Szczątki** Bill, marzec 2223, Epsilon Eridani
12. **Pogrzeb** Julii Riker, październik 2218, Wolkan
13. **Latające miasta** Marcus, luty 2215, Posejdon
14. **Przyjaciele** Howard, maj 2218, Wolkan
15. **Enklawy** Riker, kwiecień 2227, Układ Słoneczny
16. **Wyprowadzka** Marcus, marzec 2215, Posejdon
17. **W drodze** Ikar, styczeń 2232, przestrzeń międzygwiazdna
18. **Przylot do 82 Eridani** Mack, październik 2220, 82 Eridani
19. **Miasta pod ostrzałem** Marcus, wrzesień 2215, Posejdon
20. **Życie** Howard, czerwiec 2219, HIP 14101
21. **Powrót** Bill, czerwiec 2223, 82 Eridani
22. **Wraki** Herschel, marzec 2227, pas Kuipera, Delta Pavonis
23. **Śmierć** Howard, maj 2220, Omikron-2 Eridani
24. **Eksploracja** Herschel, kwiecień 2227, pas Kuipera, Delta Pavonis
25. **Bitwa** Bill, czerwiec 2223, 82 Eridani
26. **Walka o miasta** Marcus, wrzesień 2215, Posejdon
27. **Naprawa** Herschel, lipiec 2227, Delta Pavonis
28. **Rewanż** Bob, kwiecień 2224, Eden
29. **Nadciągająca burza** Howard, maj 2220, Wolkan
30. **Armagedon** Bill, czerwiec 2223, 82 Eridani
31. **Sprzątanie** Marcus, wrzesień 2215, Posejdon
32. **Znalezisko** Bill, wrzesień 2227, Epsilon Eridani
33. **Projekt** Herschel, październik 2227, Delta Pavonis
34. **Porwanie** Bob, wrzesień 2224, Delta Eridani (Eden)

35. **Miasta zwyciężają** Marcus, październik 2215, Posejdon
36. **Obwieszczenie** Riker, październik 2227, Układ Słoneczny
37. **Bitwa w sądzie** Howard, wrzesień 2220, Omikron-2 Eridani
38. **Podróż** Herschel, wrzesień 2236, przestrzeń międzygwiazdowa
39. **Stan spoczynku** Marcus, luty 2218, Posejdon
40. **Rekonwalescencja** Bob, styczeń 2225, Delta Eridani
41. **Zmartwychwstanie** Howard, październik 2220, HIP 14101
42. **Wynik negatywny** Bill, luty 2228, 82 Eridani
43. **Korekta kursu** Ikar, marzec 2240, przestrzeń międzygwiazdowa
44. **Publiczny debiut** Howard, grudzień 2220, Odyn
45. **Przyjazd Pawonisów** Jacques, maj 2247, HIP 84051
46. **Miasto** Howard, czerwiec 2221, Odyn
47. **Zapowiedź** Riker, grudzień 2240, Układ Słoneczny
48. **Wybutłowanie Pawonisów** Jacques, lipiec 2256, HIP 84051
49. **Obserwacja** Riker, listopad 2248, Układ Słoneczny
50. **Odyseja kosmiczna** Bob, kwiecień 2225, Delta Eridani
51. **Zgromadzenie** Bill, czerwiec 2230, Epsilon Eridani
52. **Czekanie** Riker, luty 2252, Układ Słoneczny
53. **Obrona** Bill, sierpień 2230, Gamma Pavonis
54. **Impreza** Riker, marzec 2257, Romulus
55. **Na peryferiach** Bill, grudzień 2243, Epsilon Eridani
56. **Miasto w chmurach** Howard, grudzień 2226, Odyn
57. **Wykrycie** Riker, kwiecień 2257, Układ Słoneczny
58. **Przylot** Herschel, kwiecień 2257, Układ Słoneczny
59. **Pojednanie** Howard, październik 2230, Odyn
60. **Atak z zaskoczenia** Riker, kwiecień 2257, Układ Słoneczny
61. **Zapowiedź** Bob, wrzesień 2232, Delta Eridani
62. **Życie w chmurach** Howard, luty 2244, Epsilon Eridani
63. **Proszę się trzymać** Herschel, kwiecień 2257, Układ Słoneczny
64. **Zaczyna się bitwa** Riker, kwiecień 2257, Układ Słoneczny
65. **Armatura** Herschel, kwiecień 2257, Układ Słoneczny
66. **Ciąg dalszy bitwy** Bill, kwiecień 2257, Układ Słoneczny
67. **Ucieczka** Herschel, kwiecień 2257, Układ Słoneczny
68. **Bitwa** Riker, kwiecień 2257, Układ Słoneczny
69. **Zakończenie** Bob, maj 2233, Delta Eridani
70. **Eksterminacja** Ikar, grudzień 2256 – kwiecień 2257, w drodze do GL 877
71. **Zwycięstwo** Herschel, kwiecień 2257, Układ Słoneczny
72. **Dochodzenie do siebie** Bob, czerwiec 2233, Delta Eridani
73. **Zgromadzenie** Bill, styczeń 2258, BobNet
74. **Wiść dla Pawonisów** Jacques, kwiecień 2257, HIP 840051
75. **Odtwarzanie** Herschel, styczeń 2259, Układ Słoneczny
76. **Pielgrzymka** Bob, październik 2263, Ziemia

Tytuł oryginału: *All These Worlds*

Copyright © 2017 by Dennis E. Taylor

Copyright for the Polish translation © 2021 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Urszula Okrzeja

Korekta: Magdalena Górnicka

Ilustracja na okładce: Dark Crayon

Opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63,

04-082 Warszawa

tel./fax 228 134 743

www.mag.com.pl

Wydanie II

ISBN 978-83-66712-92-8

Wyłączny dystrybutor:

Dressler Dublin sp. z o. o.

ul. Poznańska 91,

05-850 Ożarów Maz.

tel. 227 335 010

www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie Zecer firmy Elibri

*Billowi Paxtonowi,
który wniósł trochę człowieczeństwa
do dobrych filmów SF.*

Mojej żonie Blaihin, za to, że zgodziła się pójść ze mną tą drogą, zwłaszcza odcinkiem, na którym postanawiam zająć się wyłącznie pisaniem.

Podziękowania

To była fantastyczna jazda. Hobby, które zaczęło się jako akt odwagi, zmieniło się w pełnoetatowy zawód.

Jak zawsze, chciałem tu wymienić i podziękować wszystkim istotom i beta-czytelnikom, którzy pomogli tej książce – i serii – stać się rzeczywistością.

Podziękowania dla:

Członków grup Ubergroup i Novel Exchange na scribophile:

Sandry i Kena McLarenów

Nicole Hamilton

Sheeny Lewis

Patricka Jordana

Trudy Cochrane

Anny Albo

...za czytanie brudnopisów i wczesnych wersji.

Oraz dla:

Ethana Ellenberga, mojego agenta

Steve'a Feldberga z Audible

Kat Howard, mojej wydawczynie.

(...) pozostawiam wieczność Tobie, albowiem kimże jest człowiek, by miał żyć tak długo, jak Bóg jego?

Herman Melville,
Moby Dick
(przeł. Bronisław Zieliński)

1. Konfrontacja

Bob, marzec 2224, Delta Eridani

Dzikoid wyskoczył ze swego legowiska z wściekłym piskiem. Poruszał się niesamowicie szybko jak na coś o tak krótkich nogach. Dwóch miotaczy kamieni odbiegło na bok, jeżąc sierść na plecach i strosząc uszy w ekscytacji. Reszta wbiła drzewce dzid w ziemię i przycisnęła je stopami. I czekała.

Tym razem nie byłem tylko obserwatorem. Wcześniej się denerwowałem, teraz byłem wręcz przerażony. Czułem, jak sierść jeży mi się wzdłuż kręgosłupa aż po czubek głowy. Powtarzałem sobie, że naprawdę jestem szesnaście tysięcy kilometrów stąd, na orbicie. Nic to nie dawało. Oczy mówiły, że dzikoid jest dziesięć metrów ode mnie i szarżuje, jak się zdaje, z połową prędkości światła.

Wtedy wbiegł prosto na groty dzid. Wciąż to nie inteligencja gwarantowała u nich sukces reprodukcyjny. Dzidy ugięły się, ale wytrzymały, a zwierz wydał ostatni kwik i padł na ziemię.

Bernie ostrożnie się przysunął i dźgnął go kilka razy. Nie doczekawszy się reakcji, zamachał włócznią w powietrzu i zawył:

– Łoooo!

Reszta uniosła pięści i odpowiedziała:

– Ha!

No, w każdym razie tak to przeniósł program tłumaczący. Mowa Deltan brzmiała bardziej jak głośnie pochrząkiwania świń, jednak dla mnie program przekładał wszystko na ludzkie odpowiedniki, wliczając imiona i kolokwializmy.

Donald poklepał mnie po ramieniu.

– Chodź, Robercie, pomożesz mi go przywiązać.

Związałem razem tylne nogi dzikoida, podczas gdy Donald zarzucał drugi koniec sznura na gałąź drzewa. Zanim pociągnął, przyjrzał się temu, co robiłem, i wytrzeszczył oczy.

– Ooo! Wygląda jak te cudaczne węzły Archimedes'a. Gdzie ty się tego nauczyłeś?

Oj.

– Eee... no, od Archimedes, bo gdzie? On ma wiele dłoni tych węzłów. Parę udało mi się zapamiętać.

Kiwnął głową niezbyt zainteresowany. Ciągnęliśmy za linę, aż dzikoid zawisł w powietrzu – uważałem, by użyć tylko siły na poziomie normalnego Deltanina, tak by Donald wykonywał większość tej pracy – po czym on wyciągnął krzemienisty nóż i wykrwawił zwierzę. Reszta myśliwych zaczęła śpiewać *O dzięki ci*.

Po wszystkim przywiązaliśmy zdobycz do dwóch włóczy i ruszyliśmy z powrotem do Camelotu. Będzie uczta, a ja uwielbiam grillowanego dzikoida. Szkoda tylko, że nie znają sosu barbecue. Zastanowiłem się leniwie, czy nie powinienem go wynaleźć.

Śpiewaliśmy zwycięską piosenkę i chyba słabo się pilnowaliśmy. Dlatego grupka Deltan, która zastąpiła nam drogę, całkowicie nas zaskoczyła. Stanęliśmy z wahaniem, gdy wycelowali w nas dzidy. Była to nie tyle groźba, ile obietnica groźby.

Usłyszałem szelesty za plecami i dotarło do mnie, że jesteśmy otoczeni. Rozejrzałem się ukradkiem. Było ich dwa razy tyle. Może i dalibyśmy radę, ale nie na pewno. Bardzo możliwe, że polegali na zaskoczeniu i tym, że nie zdążymy się obronić.

Mówiło się, że grupki z Caerleonu napadają na myśliwych i zabierają im całą zdobycz. Albo przynajmniej część. Wyglądało na to, że my zostaliśmy ich celem dnia.

Przywódca grupy – rozpoznałem w nim nieprzyjemnego typu z Caerleonu, którego imię tłumaczyło się jako „Fred” – uśmiechnął się paskudnie.

– Niezły łup, Donald. Spory ten dzikoid. Jeden udziec czy dwa to dla was żaden problem.

Donald uniósł dzidę.

– Fred, tu jest cała kupa dzikoidów. Co jest, nie idzie ci polowanie?

Fred odruchowo zrobił krok w tył, potem się opanował. Donald nie był tak wielki jak jego ojciec, ale też spory, z dużym zapasem. Ludzie rzadko mu się otwarcie stawiali.

Niestety, na czele stałem jeszcze ja, a mój android był zaprojektowany tak, żeby nie rzucać się w oczy – przeciętny wzrost, przeciętna budowa, przeciętny wygląd, taki deltański Pan Nikt. Nic dziwnego, że Fred skupił się na mnie.

– A ty, *kuzzi*? Ty byś się podzielił zdobyczą? – Spojrzał z uśmiechem na swoich kumpli. Odpowiedzieli uśmiechami i przysunęli się.

– Wiesz co, Fred – powiedziałem. – Mam propozycję. Nachyl się, wsadź sobie głowę w dupę i napieraj, aż całkiem znikniesz. – Uśmiechnąłem się najniewinniej, jak umiałem.

Śmieszki i chichoty z naszej strony – oraz parę z drugiej – powiedziały mi, że punkt dla mnie. Jasne, miałem za sobą gigabajty ziemskiej literatury i filmów, z których mogłem czerpać kreatywne obelgi. W wojnie na słowa Deltanie byli praktycznie bezbronni.

Donald rzucił mi szybkie, pełne zdumienia spojrzenie. Chyba nie spodziewał się wsparcia. Pokazał zęby.

– Twój ruch, kupo dzikoida.

Fred łypnął na Donalda, potem na mnie, i odwrócił się, jakby chciał iść.

Naprawdę, Fred? Taki stary numer?

Oczywiście. Nagle odwrócił się i zamachnął się na mnie. Mogłem przerwać, napić się popołudniowej herbatki i jeszcze zdążyć zareagować. No dobra. Jestem komputerem. Ale i tak...

Odchyliłem się lekko w tył, tak, żeby pięść przeszła mi przed twarzą. A gdy Fred obracał się dalej, uderzyłem go prostym w... hmm, u człowieka to byłby splot słoneczny. Skutek był jednak taki sam – Fred sapnął i padł na kolana.

Teraz ich przewaga spadła, a my mieliśmy Donalda. Nasi myśliwi wyszczerzyli zęby i zaczęli wymachiwać dzidami.

Ruszyliśmy z Donaldem naprzód, tamci się rozstąpili. Gdy mijalem Freda, ten łypnął na mnie złowrogo.

– Kiedy tylko chcesz, *kuzzi* – powiedziałem.

Nic nie odpowiedział, bo wciąż z trudem łapał oddech.

W moim zachowaniu był, to oczywiste, duży procent zastępczej zemsty. Przez wiele lat byłem celem takich akcji i musiałem znosić różne prześladowania. Jednakże racjonalna część umysłu mówiła, że na Freda trzeba teraz uważać.

Donald znów poklepał mnie po plecach. Zatoczyłem się ostentacyjnie. Nie chciałem, by uznał mnie za konkurenta.

Do wioski doszliśmy w pełnej czujności. Żadnych żartów, żadnych śpiewów. Dwóch myśliwych poniosło zdobycz do umówionego dołu z ogniem, żeby ją tam podzielić. Ja skierowałem się do namiotu Archimedes, lecz Donald położył mi dłoń na ramieniu i kiwnął ręką, by iść z nim. Zaraz uświadomiłem sobie, że idziemy do Kręgu Rady.

W moich badaniach nad Deltanami szybko dostrzegłem jedną uniwersalną prawidłowość – politycy i przywódcy zawsze dbają przede wszystkim o siebie. Krąg Rady z rana pierwszy miał słońce, a po południu był w przyjemnym cieniu. Paru członków Rady zawsze tam siedziało, ewidentnie po to, żeby wyglądać urzędowo, a do tego mieć wygodnie.

Donald podszedł do Jeffreya, obecnego przywódcy Rady, i czekał, aż ten go zauważy. Jeffrey był trochę kutafonem i lubił dać na siebie poczekać, żeby pokazać, jaki jest ważny. Donald „przypadkowo” stanął tak, że zasłonił mu słońce

i zaczął czyścić dzidę, czekając, tak że zaschnięte strzępy mięsa i krwi lądowały wokół Jeffreya. Ja patrzyłem na boki i starałem się zachować powagę.

W końcu Jeffrey pogodził się z faktem, że przegrał w konkurencji na ignorowanie. Uniósł wzrok i gestem pozwolił nam usiąść. Usadowiliśmy się wygodnie, a Donald opowiedział o naszym spotkaniu z bandą z Caerleonu.

Kiedy skończyliśmy, Jeffrey się skrzywił.

– To już prawie cała dłoń takich napadów w ostatnich trzech dłoniach dni. Dwóch ludzi dostało dzidą, kiedy nie chcieli oddać łupu. Muszę to poruszyć na pełnej Radzie. Coś trzeba zrobić.

– Za każdym razem z Caerleonu? – zapytałem.

– Na to wygląda. Zostawcie to mnie. Zwołam Radę.

Donald kiwnął głową Jeffreyowi, wstaliśmy. Kiedy odchodziliśmy, zapytałem go jeszcze:

– Myślisz, że to jedna banda czy kilka?

– O Fredzie słyszałem parę razy. Może są inne, ale głównie to ta jego grupa.

– I wszystko niedawno? Co się zmieniło?

Donald patrzył przez chwilę w przestrzeń. – Eee... chyba nic się nie zmieniło. Raczej Fred zobaczył, że może to wykorzystywać. Ale nie wiemy, co za tym właściwie stoi.

Szliśmy przez chwilę w milczeniu, a ja coś obmyślałem. Spojrzałem na Donalda.

– Mam plan. Damy radę zebrać ze dwanaście dodatkowych osób czy coś koło tego? Takich, co lubią komuś przywalić?

Donald wyszczerzył zęby.

– No pewnie. Myślę, że dam radę takich zebrać.

Odpowiedziałem uśmiechem. Pora na parę cwanych trików w ziemskim stylu.

2. Przegraliśmy Howard, luty 2217, Wolkan

Bridget otworzyła drzwi ze zdziwioną miną. Nie dzwoniłem, żeby uprzedzić, i nie spodziewała się mnie dziś wieczorem.

Już zaczęła mówić:

– Howard... co... – Zauważyła moją minę. – Howard, co się stało? – Chwyła mnie pod rękę i wciągnęła do środka.

– Przegraliśmy. Przegraliśmy i teraz zginie miliard rozumnych stworzeń!

Opadłem na kanapę i ukryłem twarz w dłoniach.

– Pawonisi?

Skinąłem głową, nie mając zaufania do własnego głosu.

– Rany, Howard. Butterworth wie? Bobowie cali i zdrowi?

Westchnąłem i spróbowałem się uspokoić.

– Straciliśmy masę Bobów, ale mają kopie zapasowe. Oczywiście to nie to samo. – Odwróciłem się do niej i spróbowałem się uśmiechnąć pocieszająco. –

Riker powiadomił Dextera, a Dexter przekaże Butterworthowi, czy komuś, kto go tam teraz zastąpił.

– Nam coś grozi?

– Bezpośrednio nie. Inni wiedzą tylko o Ziemi i Epsilonie Eridani. Ale prawie dwieście układów jest bliżej GL 877 niż my. Wszystkie te światy są zagrożone, póki istnieją Inni.

– A Pawonisi? Podczytywałam trochę bloga Jacques’a. Wyglądają na ciekawy gatunek. Co się z nimi stanie?

Zamknąłem na chwilę oczy, chyba licząc, że kiedy je otworzę, będę w innym wszechświecie. Nic z tego.

– Samego procesu nigdy nie widzieliśmy, tylko skutki. Teraz będziemy patrzeć z pierwszego rzędu. Inni wymordują Asteroidami Śmierci całe życie na planecie, potem wylądują mrówkami i transportowcami i wyzbierają z planety i układu wszystkie metale. Oraz wszystkie trupy.

Musiałem przerwać i wziąć głęboki wdech. Oczywiście ciało androida nie potrzebowało w ogóle powietrza, ale miało odpowiednio reagować na emocje,

a ja już nieźle się nakręciłem.

– Jacques ma plan uratowania dwudziestu tysięcy Pawonisów, ale reszta niedługo zginie. Inni wymażą kolejny inteligentny gatunek i kolejny planetarny ekosystem.

Odwróciłem się twarzą do niej.

– Robimy dzisiaj Zgromadzenie, pomyślimy, czy da się coś zrobić. Chciałem tylko na parę minut...

Bridget objęła mnie i przyciągnęła moją głowę do piersi. Usiłowałem bezgłośnie płakać, nie mając kanalików łzowych.

3. Wichrzycielstwo

Marcus, listopad 2212, Posejdon

Potarłem nos dwoma palcami, kręcąc głową. Kal czekał cierpliwie na drugim końcu połączenia. Uniosłem wzrok i zobaczyłem, że Gina patrzy na mnie z drwiącą miną. Szybko wygładziła twarz, ale... jestem komputer, pamiętacie? Odpowiedziałem pośpiesznym uśmiechem.

– Co, Marcus, dalej nieprzekonany? – Kal przekrzywił głowę w okienku wideo.

Westchnąłem.

– Przekonany jestem od dawna, rozumiesz, ja po prostu w to nie wierzyłem.

Kal parsknął śmiechem.

– Oto koniec mitu, że komputery są logiczne.

– Wal się. Kiedyś byłem człowiekiem.

Rozparłem się w fotelu i zastanowiłem nad własną reakcją. Kolczatka wybrała właśnie ten moment, by wskoczyć mi na kolana na obowiązkową porcję drapania pod brodą. Poświęciłem jej należyłą uwagę, jednocześnie rozważając, jakie mam opcje. Kal i Gina nawet nie zauważą tej milisekundowej pauzy w rozmowie.

Kal był zastępcą gubernatora na Południowym Dywanie nr 3, a Gina średniej rangi oficerem ochrony. Przez ostatnie dwa lata zaprzyjaźniłem się z nimi. Kiedy poczuliśmy się wobec siebie swobodnie, oboje zwierzyli się z niepokojów dotyczących nieustającego zwiększania władzy Rady.

– Dobra. Chyba możemy już przyjąć, że Rada nawet nie udaje, że będzie kiedykolwiek organizować wybory. A przynajmniej się do tego nie przykłada. To nie jest ostateczny dowód na ich totalitaryzm, ale całkiem dobry wskaźnik. Gina lubi strzelać do wszystkiego pod pierwszym pretekstem, ty, Kal, jesteś o wiele bardziej konserwatywny. Sam fakt, że też się przyłączyłeś, sugeruje, że naprawdę jest bardzo źle.

Gina otworzyła usta do riposty, lecz Kal ją ubiegł.

– W najgorszym razie, jesteśmy daleko od przekroczenia jakiejkolwiek granicy. Jeśli Rada będzie miała nagły atak rozumu, okaże się, że nie zrobiliśmy

niczego nielegalnego. Czy nawet żenującego. A poza tym tak, Marcus, zanim zrobimy coś, czego się nie da cofnąć, chcę się dobrze przyjrzeć całej sytuacji.

Pokiwałem uspokojony głową. Rada Administracyjna Posejdona chętnie korzystała z moich usług, ale nie miałem żadnych oficjalnych uprawnień ani władzy. Niech tylko zaczną sprawiać problemy, od razu mnie odetną. Nie żebym jakoś się tym przejmował. Chciałem przecież, żeby kolonia była samowystarczalna, choćby tylko dlatego, by móc w spokoju pracować nad swoimi projektami.

– Kal, a coś będziecie chcieli ode mnie? – zapytałem. – Już od dziesięciu lat oddaję kolejne rzeczy władzom. Jak przyjdzie co do czego, nie jestem pewien czy zdołam przejąć choćby autofabryki.

– Jeśli przyjdzie co do czego – odparł Kal – ty jesteś niewiadomą, czymś, czego Rada nie jest w stanie kontrolować ani opanować. Plan minimum: odwracasz uwagę. Maksimum: jesteś w stanie narobić im niezłego stresu.

– Zawsze chciałem być upierdliwy – odpowiedziałem.

– Cel osiągnięty. – Gina uśmiechnęła się do mnie szeroko. – Ale jesteś też osobą publiczną, łatwą do śledzenia. Musimy uważać na to, co robisz, a jest widoczne.

– Hmm. – Podrapałem z namysłem podbródek. – Parę rzeczy da się z tym zrobić. Popracuję nad tym. A to, co robię publicznie, może robić za zmyłkę. –

Teraz ja się do niej uśmiechnąłem. – Widzisz? Teraz już też tak myślę. Tajnos Agentos. Spisek! Matko Boska.

Gadaliśmy jeszcze parę minut i zakończyłem połączenie. Rozparłem się i patrzyłem w przestrzeń, zastanawiając się nad opcjami. Jak większość nerdów, nie miałem naturalnej skłonności do intrygi i podwójnej gry. Ale widziałem parę prostych strategii utrudniających życie komuś, kto próbuje mnie śledzić. Już nie mówiąc, że byłaby to okazja do praktycznego wypróbowania mojego ulubionego projektu.

Dobrze, chyba czas na osobisty występ. Nachyliłem się i zadzwoniłem do Howarda.

4. Pretensje do świata

Howard, listopad 2217, Wolkan

Siedziałem, powoli popijając kawę, i patrzyłem na przechodzących ludzi. Wyglądało na to, że w centrum handlowym panuje ciągły ruch. Ale w sumie Przyczółek nie miał ich za wiele. No dobra, jedno. Pierwszy Bob nigdy nie miał czasu, żeby przyglądać się ludziom, a już w życiu nie dałby się przyłapać na tym, że siedzi i nic nie robi. Ewidentnie nieśmiertelność zmieniała ogląd na pewne sprawy.

Sklepy z ubraniami, z elektroniką, specjalistyczne przybytki na przykład z akcesoriami łazienkowymi, sprawiały, że czułem się jak w domu i jednocześnie za domem tęskniłem. Cały znajomy widok zderzał się z prostym faktem, że jestem siedemnaście lat świetlnych od Słońca, w układzie, który był pierwotnie domem Spocka. I na planecie, która w filmowej wersji została zniszczona, ale kogo to w ogóle?

Niemniej samo siedzenie przy stoliku i picie kawy sprawiało, że to wszystko robiło się, no... banalne.

Bridget miała niedługo przyjść. Postanowiłem tu na nią poczekać, zamiast iść do biura i przeszkadzać. A na razie cieszyłem się, że mogę być jakimś przypadkowym człowiekiem.

Już idę.

Uśmiechnąłem się, czytając wiadomość na HUD-dzie. Specjalnie niczego konkretnego na dzisiaj nie planowaliśmy. Obiad, jakiś spacer, nic wielkiego.

Bridget pojawiła się dokładnie kiedy dopiłem kawę. Wstałem, pocałowaliśmy się w przelocie. Ścisnęła moją rękę, po czym usiadła.

– Głodna jestem strasznie. Może tu, w centrum handlowym coś zjemy?

– W centrum handlowym? – Uniosłem brwi. – Bimbrowa baronowa powinna mieć bardziej wyrafinowane gusta. Zaszalejmy. Może brontoburger? Albo pójdziemy na jakieś prawdziwe jedzenie?

Bridget łypnęła na mnie złowrogo.

– Żebyś zapamiętał: ja akurat lubię brontoburgery.

– No to brontoburgery – zdecydowałem.

Wstałem i podsunąłem jej ramię. Wstała i ujęła je z uśmiechem – i z nieznacznym dygnięciem.

Kiedy szliśmy w ogólnym kierunku wybranej żarciowni, usłyszałem uwagę rzuconą parę stolików dalej:

– Tylko trzymaj mamusię za rękę. – Ktoś to wypowiedział półgłosem i może nie mieliśmy tego słyszeć, ale typ – pryszczaty nastolatek – się przeliczył.

Stałem jak wryty i odwróciłem się do niego, a Bridget położyła mi drugą dłoń na ramieniu.

– Howard, naprawdę? Zważ, kto to mówi.

Spojrzałem na gówniarza, który szczerzył się do mnie. Jakieś siedemdziesiąt kilo po namoczeniu. Kontra android z refleksem kilka razy szybszym od ludzkiego i podobnie z siłą. Nie do końca równa walka. Zlustrowałem go powoli od stóp do głów, parsknąłem śmiechem i odwróciłem się. Mam nadzieję, że dotarło.

Tymczasem Bridget ciągnęła mnie za rękę.

– Jeść. Tam.

– Absolutnie. Udajmy się zatem spożywać ciało obcego brontopodobnego stworzenia.

Uśmiechnęliśmy się do siebie i ruszyliśmy dalej, ale ten incydent nie dawał mi spokoju. Bridget miała teraz pod sześćdziesiątkę – biologicznie, czas spędzony w hibernacji się nie liczył. Ja natomiast byłem zbudowany na wzór Pierwszego Boba, mającego trzydzieści jeden lat, kiedy zginął na skrzyżowaniu w Las Vegas. Komentarz o mamusi niestety był matematycznie poprawny.

Ale nie ma mowy, żebym drugi raz naraził Bridget na coś takiego.

Wiek zupełnie nie stępił jej apetytu. Rzuciła się na burgera i frytki z zapalem nastolatki. Ja jadłem w bardziej dystyngowanym tempie, delektując się smakiem, ale nie potrzebując kalorii. Ściśle rzecz biorąc, to było marnotrawstwo jedzenia, ale robiłem to tak rzadko, że chyba nie warto było się przejmować.

– Jak tam dzieciaki? – zapytałem, trochę po to, by spowolnić tę masakrę, a trochę dlatego, że chciałem wiedzieć.

Bridget przełknęła, otarła usta serwetką i łypnęła na mnie.

– Ty mnie nie nabierzesz. Zawsze celujesz, żebym miała pełne usta.

Wyszczrzyłem się bez skruchy, a ona kontynuowała:

– Rosie... no, poznałeś Rosie, to wiesz, jaka jest. Ma prawo do swojego zdania, a ty masz prawo do jej zdania. Tyle.

Ugryzła kolejny kęs bronta i zmarszczyła się, zastanawiając się nad kolejnymi słowami. – Chyba można powiedzieć, że jej nasz związek nie pasuje. To nie znaczy, że ona ciebie osobiście nie lubi. Znaczy... nie lubi cię tak samo, jak większości ludzi. Ale chyba wolałaby, żebym się trzymała swojego gatunku. Próbowalam z nią o tym pogadać, ale... wiesz...

Uśmiechnąłem się.

– Jest zdanie Rosie i jest... a nie, właściwie to jest tylko zdanie Rosie.

– No, dokładnie. – Zachichotała. – Ale chciałam, żeby moje dzieci były niezależne. No to mam.

– Ostatnio parę razy gadałem z Howiem – dodałem, dziobiąc frytki. – Jest trochę bardziej zdystansowany niż kiedyś, ale wytłumaczyłem to sobie tym, że dorósł i przestał czcić bohaterów.

– Trochę tego też ma. Ale o wiele więcej samej Rosie. I ona ciągle nie daje mi spokoju.

Wzruszyłem ramionami.

– Bridget, posłuchaj. Wiele razy już mówiłem: ty jesteś najważniejsza. Jeśli powoduję problemy w rodzinie, życiu zawodowym czy prywatnym, to już mnie nie ma.

Bridget odłożyła żalosne niedobitki burgera i nachyliła się do mnie. Popatrzyła mi prosto w oczy – to był sygnał, by się zamknąć i słuchać uważnie.

– Howard, moje związki to moja sprawa. Nikt więcej w tej sprawie nie głośnie. Kochałam Stéphanie’a, a kiedy umarł, opłakałam go, jak należy. Teraz odpowiada mi twoje towarzystwo. I twoje towarzystwo będzie, na przekór mojej córce-wredocie i jakiemuś pryszczersowi z centrum handlowego. Masz coś jeszcze do dodania?

– Nie, kochanie. – Uśmiechnąłem się szeroko, a ona przewróciła oczyma.

– No to świetnie. – Otarła usta serwetką i rzuciła ją na resztki posiłku. – To chodźmy. Obiecałam, że ci kupię parę lepszych ubrań do powieszenia na tym androidzie.

– Groziłaś.

– Co?

– Groziłaś, że mi kupisz.

Bridget parsknęła śmiechem i pociągnęła mnie za rękę. Łaźnienie po sklepach z ciuchami. Nawet śmierć cię przed tym nie uchroni.

5. Zasadzka

Bob, marzec 2224, Delta Eridani

Unieśliśmy upolowanego dzikoida na włóczyniach, starając się jak najlepiej udawać, że nic nie wiemy o tym, że inna grupa nas obserwuje. Ja patrzyłem w swoim wyświetlaczu HUD na obrazy z monitoringu. Zdecydowanie mieliśmy publiczność, do tego liczniejszą: dwunastu kontra sześciu. Nie mogłem mówić towarzyszom czegoś, czego nie miałem prawa wiedzieć, ale mogłem być przygotowany na wypadek, gdyby tamci zrobili coś nieoczekiwanego.

Kiedy ruszyliśmy z powrotem do Camelotu, nie mogłem nie zauważyć, że moja grupa jest naprawdę, naprawdę kiepska aktorsko. Każdy reżyser teatralny by się załamał i rzucił papierami, słysząc te nadmiernie głośne uwagi wypowiedziane z przesadnym naciskiem.

A ja niepotrzebnie się przejmowałem. Fred i jego banda pewnie i tak w ogóle nie słuchali. Zastąpili nam centralnie drogę i zaszli nas od tyłu, dokładnie tak, jak ostatnim razem.

Fred popatrzył na mnie, stojącego na czele, i uśmiechnął się paskudnie, jak to on.

– No, Robercie. Widzę, że złapałeś dla mnie obiad. I nie masz tego wielkiego przydupasa, żeby cię obronił. Może się pobijemy, tak jak ostatnio? Będzie fajnie.

Przekrzywiłem głowę.

– Po pierwsze, Fred, to ostatnim razem Donald nie musiał mnie bronić. Po prostu: kiepski jesteś. A jeśli chcesz się pobić, to dziś jest świetna okazja.

Na te słowa, osiemnastu myśliwych z Camelotu, w tym Donald, wyszło z krzaków za plecami bandy Freda. Grupa z Caerleonu skuliła się w obronnym geście. Paru próbowało usunąć się na bok i trzeba ich było szturchnąć dzidami. Błyskawicznie skupiliśmy ich w ścisłą gromadkę.

Fred uśmiechnął się szyderczo.

– Myślisz, że tak się obronisz? Nie zawsze będziesz wszędzie z kumplami, kuzzi.

– Ty też nie.

Fred podskoczył zbity z tropu.

– Co takiego?

– Słyszałeś. Ja mogę czekać, obserwować... w końcu kiedyś pójdziesz się wysikać czy coś, bez kumpli, co pilnują twojej dupy. – Nachyliłem się bliżej. – I poderżnę ci gardło, a ty się nawet nie zorientujesz. – Zwróciłem się do reszty grupy. – To samo dotyczy wszystkich. Idziecie na wojnę z nami, to do końca życia będzie się musieli pilnować. Ja nigdy nie zapominam. I nigdy nie wybaczam.

Fred parsknął krótkim, ostrym śmiechem.

– Niezła gadka. Ale nic za nią nie stoi.

– Naprawdę? – Uśmiechnąłem się do niego i zanim zdążył zareagować, walnąłem go w to samo miejsce, co poprzednio.

Padł.

Oczywiście to nie była równa walka. Ja działałem z komputerową prędkością i zamieszkawałem ciało androida o elektronicznych odruchach, kilkakrotnie silniejsze od żywego Deltanina. Ale tu nie chodziło o równą walkę. Chciałem, żeby przestali napadać na camelockich myśliwych. Żeby dotarło do nich, że sami też są śmiertelni.

Popatrzyłem po twarzach bandy z Caerleon. Wyglądali teraz o wiele mniej bojowo.

– Dzisiaj was puścimy, tylko z ostrzeżeniem. I bez włóczy. Następnym razem będzie o wiele bardziej bolało.

Kiwnąłem na paru chłopaków, którzy zaczęli zbierać dzidy. Teraz banda Freda była już poważnie zastraszona i w ogóle nie stawiała oporu.

Kazaliśmy im iść, a sami zawróciliśmy do Camelotu.

Donald ruszył koło mnie.

– Cholera, Robert, to było naprawdę niezłe. Ale Freda się chyba tak łatwo nie zniechęci.

– Masz rację. Ale jego zwolenników już tak. A ktoś taki jak Fred potrzebuje zwolenników. Mam nadzieję, że to pozbawi go zębów.

Donald kiwnął głową i zaczął marszową piosenkę. Wszyscy dołączyli.

Chciałbym być tak pewny siebie, jak udawałem.

6. Start

Bill, styczeń 2223, Epsilon Eridani

Garfield pokręcił głową z podziwem.

– Zupełnie jak te wyścigówki z kreskówek z dzieciństwa, które się składały tylko z silnika.

Obrazy w okienkach wideo istotnie robiły wrażenie. Epsilon Eridani 1 znalazła się na całkiem nowej orbicie wokół swojego słońca, otoczona ośmiuset płytami-holownikami. Mniej więcej milion kilometrów dalej jej śladem sunął jeden z większych eksksieżyców Epsilon Eridani 3, otoczony podobną liczbą holowników.

Zbudowanie całego tego sprzętu zajęło lata, a jeszcze dłużej dojście, jak tym sterować. Każda planeta miała czterdzieści MSI kontrolujących pole napędowe, do tego jeszcze każda z płyt miała własną MSI.

A nadzorować każdą z planet miały moje najnowsze klony. Nazwali się Dedal i Ikar, co osobiście uznałem za trochę pretensjonalne. Ale co tam, to jest wolna galaktyka.

Garfield spojrzał na mnie z twarzą zarumienioną z ekscytacji.

– Test na krótki dystans zakończony. Duży margines błędu, ale wydaje się, że konstrukcja powinna dać radę z przyśpieszeniami typu setki g.

Uśmiechnąłem się i rozparłem w fotelu.

– To chyba jesteśmy mniej więcej gotowi.

Szybko pingnąłem Deda i Ikiego, zaraz wskoczyli mi do wirtualki.

– Dobra, chłopaki. Wszystko hula. Rozumiecie, że to trochę loteria, nie?

Kiwnęli głowami. Dedal odparł:

– Pewnie, ale co szkodzi spróbować? W najgorszym razie się nie uda i nic się nikomu nie stanie.

– A i ja będę miał trochę świętego spokoju, żeby popracować nad astrofizyką – dodał z uśmiechem Ikar.

Zaśmiałem się. Iki okazywał się bardzo podobny do mnie temperamentem. Chętnie zostawiłby całą eksplorację i walkę innym, żeby skupić się na badaniach.

Miałem dość ambiwalentne uczucia co do samego klonowania. Oczywiście zawsze miało jakiś cel. Ale tych dwóch zbudowałem do misji, która mogła się okazać samobójcza. Nie najlepiej się z tym czułem.

Kiedy podejmowałem decyzję, wiedzieli dokładnie, co myślę. Patrzyli na mnie z żywym zainteresowaniem, bez cienia oskarżenia czy złości. Stwierdziłem, że pogodzę się z ich werdyktem.

Zawahałem się, i rozejrzałem po pokoju. To jedna z tych chwil, które nieodwołalnie zmieniają twoje życie. Wszystko było gotowe. Wóz albo przewóz.

– Dobra, chłopaki. Doki dla waszych statków są gotowe. Podłączcie się i w drogę. Powodzenia!

7. Randka

Howard, listopad 2217, Omikron-2 Eridani

Wyszliśmy pod rękę z kina. Bridget jak zawsze wyglądała fantastycznie. Odwróciła się, wyszeptała mi coś do ucha, a mój mózg, jak zawsze, zmienił się w papkę.

– Bardzo poważnie wyglądasz, Howard. Ale naprawdę nie musiałeś.

Wzruszyłem ramionami. Zmiana wyglądu androida była banalną operacją. Najważniejsze to unikać sytuacji, w których Bridget będzie się czuła niezręcznie. Teraz mój optyczny wiek idealnie odpowiadał jej wiekowi. Żeby zmienić temat, powiedziałem:

– Niezłe to było. Moda na te całe „kina” może ma jakąś przyszłość.

– No tak, na Wolkana wreszcie dotarła cywilizacja. Następne w kolejce są dyskoteki.

– O, nie, proszę.

Oczywiście nie było tu kwitnącej branży filmowej. Wulkan był pod każdym względem planetą na pograniczu i jego gospodarka dopiero zaczynała sobie radzić z podstawowymi potrzebami. Minie jeszcze kilkadziesiąt lat, zanim rozrywki staną się ważnym segmentem rynku.

Jednakże Hollywood, razem z jego satelitarnymi odłamami i duchowymi pobratymcami, wyprodukowało tysiące filmów różnej jakości i popularności. A patrząc pragmatycznie, właściciele praw autorskich byli daleko stąd i niemal na pewno nie żyli. Komuś w Przyczółku w końcu przyszedł do głowy ten genialny pomysł, żeby otworzyć na miejscu kino i puszczać po dwa związane tematycznie filmy w pakiecie. Jak dla mnie, świetne to było. A i miejscowa ludność, spędziwszy większość poprzedniego życia w klaustrofobicznych i izolowanych enklawach, podeszła do tego z wielkim entuzjazmem.

Dzisiejszy seans, dwa filmy o zombiakach, miał wszystkie miejsca zajęte. Widownia była głośna, miała swoje zdanie i szyderczy stosunek do akcji. Ale nikt nie wyszedł przed końcem.

Nachyliłem się.

– Mam chciwę na mózgi. Albo na sushi.

Bridget parsknęła śmiechem i otworzyła usta do odpowiedzi, ale dokładnie w tym momencie zabzyczał jej telefon. Dwie sekundy później dostałem maila. Z biura koronera.

Przeczytałem go na HUD-dzie i stanąłem jak wryty. Bridget uniosła znad telefonu oczy pełne łez.

– Howard, nie...

– Zostawił dla pana ten list – powiedział doktor Onagi. Przesunął kopertę w moją stronę.

W odrętwieniu, jakby ktoś mną sterował, podniosłem ją i otworzyłem. Podsunąłem list Bridget, żeby też mogła go przeczytać.

Howardzie,

byłem ostatnio u lekarza, bo miałem problemy z pamięcią i myśleniem. Wiadomości nie były pocieszające. Wyglądało na to, że mam wyjątkową paskudną demencję, taką, która jest nieuleczalna. Doktor twierdzi, że proces jest już bardzo zaawansowany.

Skontaktowałem się z kilkoma ekspertami i uzyskałem opinię, że tego problemu nie da się skorygować w oprogramowaniu. W tej sytuacji zostanie upośledzonym poznawczo replikantem nie wydaje mi się już atrakcyjną opcją.

Jedyną pozostającą mi wolnością jest wolność wyboru sposobu odejścia.

Howardzie, byłeś mi dobrym przyjacielem przez wiele lat. Nie zmieniaj zdania o mnie przez tę moją decyzję.

*Z poważaniem,
płk w st. spocz. George Butterworth*

Bridget rozplakała się bezgłośnie, łzy pociekły jej po policzkach. Ja wytrzeszczyłem w ośpieniu oczy na doktora Onagiego.

– Jak...

– Neurotoksyna. Bezboleśnie i szybko.

– Da się go zeskanować?

Doktor Onagi pokręcił głową.

– Nawet gdyby to było medycznie możliwe, on wycofał zgodę.

Kiwnąłem głową i wstałem.

– Dziękuję, panie doktorze.

Bridget osuszyła oczy, wstała i wyszła za mną z gabinetu.

Android Manny wciąż nie miał wbudowanej możliwości płaczu. A szkoda – to by mi ulżyło. Znów. Może trzeba podkreślić priorytet temu zadaniu, chociaż może lepiej, gdybym po prostu miał mniej powodów do łez.

Siedzieliśmy na kanapie u Bridget, tuląc się nawzajem. Bridget się wypłakiwała. Ja miałem nadrobić zaległości w płaczu, kiedy pójdzie spać i wrócę do swojej VR-ki.

– Ludzie cały czas odchodzą – powiedziałem w końcu, w przestrzeń. Bridget uniosła głowę. Spojrzałem jej w oczy. – Wiem, to normalne. Umierają dziadkowie, rodzice, ludzie, którzy byli przy tobie przez całe życie. W końcu umierasz i ty, i koniec. Ale kiedy jesteś nieśmiertelny, masz to przez cały czas. Jeden cios za drugim.

– Mimo to poznajesz nowych ludzi – powiedziała Bridget.

– Ale oni w końcu odchodzą. Po jakimś czasie, myślę, zaczynasz się bać nowych znajomości. – Uśmiechnąłem się do Bridget. Raczej blado. – Ja co do zasady jestem mniej wycofany od innych. Ale w tym przypadku myślę, że to inni mają rację. Między Bobami a istotami, które zaczynają nazywać „efemerydami”, jest przepaść. Nie bez powodu.

Bridget przyjrzała się mojej twarzy.

– Myślisz o mnie per „efemeryda”?

– Mam cię za najważniejszą we wszechświecie. I właśnie w tym problem. Któregoś dnia umrzesz i znów będę sam. – Westchnąłem i wstałem. – Przepraszam. Strasznie dołujący dzisiaj jestem. Chyba lepiej pójdę, żebyś mogła się wyspać.

Bridget chwyciła mnie za rękę.

– Nie idź. Zostań. Po prostu. Nie chcę być sama.

Bez słowa siadłem z powrotem i objąłem ją. Położyła mi głowę na barku i westchnęła. Siedzieliśmy tak w milczeniu, nie poruszając się, nie rozmawiając. W którymś momencie zauważyłem, że usnęła. To dobrze.

8. Rewolucjoniści

Marcus, czerwiec 2214, Posejdon

Trzeci raz uniosłem rękę, żeby zapukać. I ją opuściłem. Przypomniałem sobie, że Howard wspominał o problemie z tremą za pierwszym razem, gdy publicznie pokazał się w androidzie. Nie pamiętam: nie uwierzyłem mu albo po prostu nie potraktowałem go poważnie. W każdym razie ktoś tu był komuś winny przeprosiny.

To miało być moje pierwsze wystąpienie pod postacią androida. Po latach funkcjonowania w okienkach wideo i rozmowach telefonicznych miałem w końcu spotkać się twarzą w twarz ze swoimi najlepszymi przyjaciółmi na tym świecie.

O ile uda mi się zapukać do drzwi.

Stęknąłem, świadomie zepchnąłem na bok wszystkie obawy i lęki, zapukałem trzy razy. Drzwi otworzyły się od razu – wiedziałem, że się mnie spodziewają, ale nagle wyobraziłem sobie Kala czekającego po drugiej stronie z ręką na klamce, aż zbiorę się na odwagę.

– Ooo, wielki komputer z nieba zniża się do wizyty u zwykłych śmiertelników.

Uśmiechnął się do mnie. Mój android był takiego samego wzrostu jak Pierwszy Bob – metr osiemdziesiąt pięć – ale Kal górował nade mną, jak nad prawie wszystkimi.

– Kal, się wal. Ktoś już jest?

Kal odsunął się na bok i zaprosił mnie do środka.

– Denu i Gina. Vinnie trochę się spóźni, ma jakieś sprawy z Radą.

Wszedłem do salonu w niedużym mieszkaniu Kala. Było to nieustającym źródłem frustracji, że na planecie, gdzie jest tyle miejsca, ludzie muszą żyć w takim zagęszczeniu. Oczywiście większość planety stanowiła woda, ale dywanów – a teraz i pływających miast – było wystarczająco dużo, by ludzie mogli się trochę rozrzedzić. Upór Rady, żeby wszyscy trzymali się razem, stał się ostatnio źródłem ogólnoplanetarnego sprzeciwu. Ciekawe, w jakim stopniu ten sprzeciw był naturalny, a w jakim pomogli im obecni tutaj wichrzyciele.

Usiadłem i stwierdziłem, że Gina i Denu gapią się na mnie. Denu powiedział:

– Cholera, robi wrażenie. Jakbym nie wiedział, Marcus, to w ogóle bym nie zwrócił uwagi. Megarealistyczny.

Wzruszyłem ramionami.

– Kilku Bobów pracuje nad tym już od paru lat. To tylko ja późno się załapałem. Bo ten, wiecie... miałem inne priorytety.

Gina i Denu kiwnęli głowami, Kal prychnął.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Vinnie wszedł, nie czekając, z wściekłą miną. Wyraźnie sprawa z Radą nie poszła dobrze.

– Bałwany! Debile! – krzyknął. Wyciągnął piwo z lodówki i opadł ciężko na kanapę.

– Vinnie, daj spokój. Napij się i policz do trzech – rzucił Kal z uśmiechem.

Vinnie uniósł piwo w toaście.

– Przepraszam. Ale wiecie, jak jest z Radą.

– No więc...?

Otworzył puszkę, jednocześnie unosząc brew jak Spock i patrząc na Kala.

– No więc absolutnie odmówili wprowadzania jakichkolwiek zmian w swojej polityce. Problem z morale społeczeństwa odrzucają jako „straszenie”. Jedyne, co z nich wydobyłem, to rutynowe powtórzenie standardowej przemowy o „wszystkich za jednego”. – Opróżnił pół puszki. – Bez otwartej groźby nie ustąpią ani o krok. To jest właśnie przeszłość, drodzy państwo.

Gina odwróciła się w moją stronę.

– Widzisz, mocarzu, to właśnie jest koniec. Powiedziałeś, żeby wypróbować wszystkie pokojowe alternatywy. I chyba to się właśnie stało. Czas na zmianę władzy. A skoro Rada ciągle odkłada wybory, bo to ma „niski priorytet” i „odwraca uwagę od ważnych spraw”, to powiedziałabym, że ten sposób też skreślamy.

Potarłem czoło dłonią i złapałem się na tym, że patrzę na rękę w roztargnieniu. Wrażenie było zupełnie inne niż w VR-ce, choć nie mogłem dojść, dlaczego właściwie. Odłożyłem jednak tę myśl na później, kiedy będę miał trochę wolnego czasu.

Spojrzałem na Ginę, wciąż czekającą na odpowiedź.

– Hmmm... przyznam, że wy wyczerpaliście alternatywy, ale ja chyba jeszcze nie. Słuchajcie, ja naprawdę nie mam ochoty zostawać rewolucjonistą. W rewolucjach, choćby tak zwanych pokojowych, zawsze giną ludzie. – Popatrzyłem im po kolei w oczy. – Latające miasta są prawie gotowe do wielkiej premiery. Wydaje mi się, że to nimi wystarczająco potrząsnie, a nie trzeba będzie strzelać do ludzi i wysadzać rzeczy.

– Ujawnisz to im jako groźbę czy zostawisz jako niespodziankę?

– Szczerze, Kal, to nie jest jakaś specjalna groźba – odpowiedziałem – przynajmniej na papierze. „Zmieńcie podejście albo zbudujemy latające miasta”. Trochę brakuje przytupu, nie wydaje wam się?

Kal zachichotał ze smutkiem.

– No, to prawda. Większa groźba to będzie, jak już je oddamy i skutki zaczną być widoczne. A na razie Rada widzi tylko to, co chce widzieć.

– Ja myślę, że i tak trzeba spróbować – dodał Denu. – Powiedz im, a jak do nich nie dotrze, no to trudno.

Gina poszła do lodówki i wyjęła sobie piwo. Zamachała nim przed Denu, zanim dotarło do niej, że z nieotwartym gazowanym napojem tak się nie robi.

– Ale Marcusowi zależy na jednym: na uniknięciu totalnej rewolucji, więc „no to trudno” to trochę za mało. – Potem odwróciła się do mnie: – A ty musisz być taką bladą dupą?

Denu i ja uśmiechnęliśmy się do niej szeroko. Stara dobra Gina, zawsze łagodna, zawsze uступliwa.

– No dobra. – Kal rozejrzał się po pokoju. – Czyli Marcus porozmawia z Radą i spróbuje ich przekonać, że ich totalitarna linia jest nie do utrzymania. Jeśli posłuchają głosu rozsądku, świetnie. Jeśli nie, i tak jedziemy z naszymi miastami, bez ich oficjalnej zgody.

Wszyscy pokiwaliliśmy głowami. Nie był to superimponujący plan, jak na plany. Ale lepszy niż otwarta wojna i strzelanie.

– To niedopuszczalne! – Spojrzenie radnego Benbena w okienku wideo można by opisać jako piorunujące. Starałem się powstrzymać od uśmiechu. Powiedzieć, że moja propozycja napotkała na opór, byłoby wielkim niedomówieniem.

Wtrącił się radny Murray z drugiego okienka.

– Dopiero zbliżamy się do optymalnego zgrania populacji z zapotrzebowaniem na siłę roboczą na poszczególnych dywanach i w miastach. Jeśli teraz ludzie zaczną się przypadkowo przemieszczać, albo nawet emigrować w inne miejsca, nastąpi chaos. Nie wystarczy nam ludzi do wszystkich niezbędnych zadań. Muszą mieszkać tam, gdzie są potrzebni.

– Już nie wspominając – odpowiedziałem – o kwestii, czy to w ogóle moralnie do przyjęcia, mówić ludziom, gdzie mają mieszkać i jaką pracę wykonywać.

– Marcus, tak mówi prawo.

Uśmiechnąłem się do radnego Brennana.

– To tylko obejście mojego argumentu. Możecie sobie uchwalić, co zechcecie, i mówić, że to prawo. Ale to nie sprawi, że to będzie moralnie słuszne. I jest jeszcze kwestia umowy, którą podpisaliście z Rikerem, zanim was tu wysłaliśmy. Ona ustala...

– Ta umowa nie jest prawnie wiążąca – odparł Brennan. – Już nad tym głosowaliśmy.

– Czyli możecie sobie w każdej chwili przegłosować, że każda umowa, która się wam nie spodoba, jest nieważna, a potem uchwalić wszystko, co zechcecie. A reszta ma się temu po prostu podporządkować, bo takie jest prawo, tak?

Murray spojrzął na mnie, zadzierając nosa. Naprawdę. Dosłownie.

– To, że pan coś powie szyderczym tonem, to żadna riposta, panie Johansson. Myślę, że w tej kwestii mamy jasność. Żadnych latających miast. Może kiedyś, w przyszłości, ale to my zdecydujemy, nie pan. – Rozejrzał się, pewnie oceniając nastawienie innych radnych. – Wydaje mi się, że na dziś skończyliśmy. Miłego dnia.

I wyłączył się. Po sekundzie czy dwóch pozostali radni zrobili to samo.

Ja rozsiadłem się w moim biurowym fotelu i pokręciłem głową. Skończyliśmy? A skąd. W *Człowieku demolce* jest taka scena, kiedy kapitan policji nie potrafi sobie wyobrazić, że ktoś może nie wykonywać poleceń. Reakcja Rady pachniała właśnie czymś takim.

Wysłałem krótką wiadomość do Rady Rewolucyjnej – Kala, Denu i Giny.

Spróbowałem. Nie ustąpili. Wygląda na to, że idziemy na ostro.

Naprawdę nie chciałem zaprzątać głowy Billowi czy Rikerowi. Albo nawet Bobowi. Każdy miał swoje problemy. Podejrzewałem, że Inni w końcu staną się także moim problemem, na razie jednak miałem lokalne zagadnienia.

Sprawdziłem aktualną pozycję swojego androida. Po spotkaniu u Kala załadowałem go do drona transportowego i puściłem na orbitę wokół Posejdona. Potem skierowałem go na Zachodni Dywan 4 i kazałem dać znać, kiedy tam dotrze.

Zaludnienie na dywanach na razie nie spadło. Zbudowano tylko kilka pływających miast i Rada nie odczuwała potrzeby przeznaczania ich na cele mieszkalne. Tylko niezbędny personel i przemysł. Kolejny powód, dla którego społeczeństwo miało dość Rady. Kiedy po raz pierwszy wybutlowaliśmy tu kolonistów, przewidywano, że będą mieszkać na dywanach co najwyżej przez dziesięć lat, stopniowo przenosząc się w tym czasie do pływających miast. Teraz, dwa-

dzieścia lat później, dziewięćdziesiąt procent populacji Posejdona wciąż żyło na dywanach.

Dostałem sygnał z drona i uśmiechnąłem się. Już po kilku dniach posiadania własnego androida znalazłem pretekst, żeby się nim przejść.

Uaktywnienie go potrwało tylko chwilę i obudziłem się zawieszony na stojaku. Otworzyłem drzwi ładowni i wyszedłem na słońce.

Pogoda na dywanach przeważnie nie była problemem. Koloniści celowo osiedlili się głównie na tych dryfujących w strefie zwrotnikowej. Przez całkowity brak lądów ocean Posejdona podzielił się na pasma przypominające Jowisza. Każde z pasm różniło się, niewiele, ale wyraźnie, temperaturą, ekologią, a nawet zasoleniem.

Często zdarzały się tropikalne deszcze, były jednak łagodne, ciepłe i krótkie. Sporadyczne większe burze dawało się zaobserwować z parodniowym wyprzedzeniem, a dywany dysponowały oddziałem dronów mogących je odholować na bok.

Przeszedłem na skraj lądowiska i wtopiłem się w ruch pieszych. Nowa Georgia była pod każdym względem małym miastem i emanowała takim klimatem. Ludzie znali się nawzajem, nikt się na oko nie śpieszył, nie czuło się zatłoczenia, przynajmniej publicznie. Taka już ludzka natura. A największy problem ludzi mieszkających tutaj? To, że nie mieli wyboru.

Westchnąłem i ruszyłem w przypadkowym kierunku. Nie miałem celu, chciałem się po prostu cieszyć tym dniem.

Dzień wytrzymał pięć minut, zanim postanowił się zepsuć.

Bzyczenie w środku głowy zasygnalizowało rozmowę przychodzącą. Metadane powiedziały, że to Kal. Odebrałem, tylko na audio.

– Co tam?

– Radzie nie wystarczyło, że po prostu powiedziała ci „nie”. Podjęli kroki...

– Ojej, kroki – prychnąłem. – Co zrobili?

– Wyłączyli wszystko, co mogłoby nam posłużyć za zaopatrzenie. Poprzenosili wszystkie osoby, które mogłyby nam pomóc. W tym Ginę i Denu. I pozmieniali harmonogramy wszystkich drukarek.

– Gina i Denu im ustąpili?

– Na razie tak – odpowiedział. – Na razie nie ma sensu im się sprzeciwiać. Po prostu będziemy dużo więcej gadać przez telefon.

– Hmm. A może właśnie o to chodziło? – Potarłem w namyśle brodę.

– O co?

– O podsłuchiwanie, Kal. Jak będziemy rozmawiać przez sieć, mogą nas monitorować.

– Ha. – Zamilkł na chwilę. – I oczywiście jeśli wprowadzą takie prawo, to będzie legalne. I tym samym etyczne.

– Coś w tym rodzaju. A propos, powinniśmy chyba się rozłączyć.

– Jasne. Podejdiesz?

– Dokładnie, stary. Za pół godziny u ciebie. – I rozłączyłem się, a potem zająłem do swoich zapasów szopów. Jeśli Rada jest skłonna podsłuchiwać rozmowy, to może i normalne pluskwy pozakłada. Robi się poważnie.

– Co to, kur... – Kal otworzył drzwi i odskoczył.

Niezrażony uśmiechnąłem się do niego szeroko. Idąc, trzymałem szopy w kieszeniach, ale, jak Bobowie lubią podkreślać, my zbyt poważni nie jesteśmy. Kilkanaście małych szopów pełzało mi po ubraniu, a jeden stał na mojej głowie i tańczył.

– Twoja złośliwość nie zna granic. – Cofnął się, kręcąc głową.

Ze śmiechem rozkazałem szopom sprawdzić pokój.

– Minuta, dwie, nie więcej.

Szopy zbiegły ze mnie i rozproszyły się po pomieszczeniu. W niecałą minutę znalazły trzy pluskwy. Popatrzyliśmy z Kalem po sobie w milczeniu, oszołomieni. Rozważać teoretyczną możliwość to jedno, a zupełnie co innego – odkryć rzeczywistość.

Dwa szopy spokojnie niszczyły podsłuchy, podczas gdy ich pobratymcy szukali dalej.

W sumie znalazły tylko te trzy. Kal sapnął głośno.

– Niewiarygodne. Brak wyborów, brak wolności wyboru i teraz to. Zdecydowanie już przekroczyliśmy granicę totalitaryzmu.

– Aha. Zostawię tu dwa szopy, żeby pilnowały, jakby ktoś próbował podrzucić kolejne pluskwy. I zaniosę reszcie taki sam zestaw. Gina oczywiście się wścieknie.

– Marcus, ona pracuje w bezpieczeństwie. Jeśli jest monitorowana i o tym nie wie, to jest odcięta od informacji. A to nie wróży dobrze.

Pokręciłem głową.

– Może jest inaczej: oni to robią regularnie, ale ona nie jest na tyle wysoko, żeby o tym wiedzieć. To oczywiście jeszcze gorzej.

Kal zbył tę uwagę machnięciem ręki.

– No dobra. To co teraz, latające miasta?

– Sądząc po reakcji Rady na moim spotkaniu z nimi, myślę, że samo poinformowanie o miastach będzie uznane za wystarczającą prowokację – odpowiedziałem. – A jeśli nie, jeśli nic nie zrobią, wygrywamy walkowerem.

– A teraz co, ukrywamy się?

Kiwnąłem głową.

– Atrakcje same się pojawiają. – Wyciągnąłem coś z plecaka. – A na razie tu jest nasz nowy system łączności. Oparty na UNOP-ie, szyfrowany i pod pokrywkę wypełniony nanitami. Ktoś spróbuje przy tym grzebać, to czeka go paskudna niespodzianka.

Kal wziął urządzenie, ostrożnie dotykając go tylko czubkami palców.

Rozbawił mnie jego niepokój.

– Stary, raz przyznaj, że może się na czymś znam. Nanity rozpoznają, że ktoś niepowołany majstruje. Nic ci się nie stanie.

Wzruszył ramionami i rzucił mi krzywy uśmiešek.

– Denu i Gina dostaną to samo?

Kiwnąłem głową.

– Uhm, wszystko jedno, co postanowimy robić, telefonia nie będzie bezpieczna. Nie da się jej zabezpieczyć od końca do końca.

Kal westchnął i położył UNOP na biurku.

– A pamiętasz tę granicę, której niby nie mieliśmy przekroczyć?

– Taa. Widzę ją we wstecznym lusterku. Oficjalnie jesteśmy rewolucjonistami. Juhu!

9. Napięcie

Howard, luty 2218, Wolkan

– Zostawiłbyś matkę w spokoju.

Właśnie leniwie przyglądałem się wystawie w centrum handlowym, więc aż podskoczyłem na tę niespodziewaną uwagę. Odwróciłem się. Starsza córka Bridget, Rosie, patrzyła na mnie spode łba.

– Że co? – Och, cóż za cięta riposta, Howard. Naprawdę.

– Jesteś maszyną. Nie jesteś nawet człowiekiem. Matka musi przepracować śmierć ojca i żyć dalej. Ale nie z maszyną.

No proszę. Moja płodna i pełna niepokoju wyobraźnia przedstawiła sobie coś takiego. Nie ucieszyłem się specjalnie, że jej przewidywania się sprawdziły.

– Rosie, jedno i drugie się nie wyklucza. Ja, prawdziwy ja, jestem człowiekiem. Ja...

– Daruj sobie tę naukową ściemę. Jesteś nagraniem człowieka. I nie interesuje mnie debata na ten temat. Bo ja...

– To czemu w ogóle ze mną rozmawiasz?

– Co? – Rosie zamrugła i cofnęła się odrobinę.

Wyglądało na to, że wykoleiłem przemowę, do której się zbierała. Kątem oka zauważyłem zbierających się gapiów. Paru przechodniów przystanęło, żeby poobserwować rozwijający się spektakl, a co najmniej jeden miał uniesiony telefon. Ciekawe. Czy ja już się łapię na celebrytę?

– Rosie – ciągnąłem, starając się nie zwracać na nich uwagi. – Może ciebie nie interesuje debata, ale mnie nie interesuje twój wykład. Jak to się mówiło, kiedy byłem młody: nie jesteś moim szefem. I, co jeszcze ważniejsze, twoja matka z własnej woli postanowiła się ze mną związać.

– A ja jej dokładnie powiedziałam, co o tym myślę! – Rosie prawie pluła mi w twarz tymi słowami. – Ale ty ją sobie owinąłeś...

– Ja pierdzielę! – wykrzyknąłem, przewracając oczyma. – Ty w ogóle znasz swoją matkę? Próbowalaś ją kiedyś zmusić do czegoś, czego nie chce? – Machnąłem lekceważąco ręką. – Posłuchaj: ja nie chcę konfrontacji. Głównie z szacunku dla twoich rodziców, których bardzo lubię i kocham. Ale Bridget jest

doroślą osobą i sama podejmuje decyzje. Przestane się z nią widywać, kiedy ona mi tak powie. A tobie głos nie przysługuje.

I to by było tyle. Staliśmy, łypiąc na siebie wrogo, wszelka nadzieja na dyskusję czy zrozumienie została pogrzebana, możliwe, że na zawsze. Po paru chwilach takiego impasu Rosie skrzywiła się drwiąco i bez słowa odeszła.

No wspaniale.

Rozejrzałem się po małym tłumku. Nikt nie spojrzał mi w oczy i gapie szybko się rozproszyli.

Dalej kręciłem się bez celu, próbując z powrotem złapać nastrój do oglądania wystaw, ale nie mogłem zapomnieć o Rosie. A niektóre spojrzenia tej publiczności były otwarcie wrogie. Ewidentnie mnie tu rozpoznawano. Zacząłem się zastanawiać, co będzie, jeśli ten dramat wciągnie także Bridget.

Siedzieliśmy z Bridget na kanapie. Opowiadałem jej o zdarzeniu z centrum handlowego.

– Nie mówiłam ci, Howardzie, bo to nie twój problem. – Minę miała smutną, ale nie przepraszającą. – Moje dzieci, przede wszystkim chyba Rosie, wołałyby, żebym spotykała się z kimś bardziej, ten... biologicznym. Za każdym razem, kiedy się z nią widzę, robi mi wykład na ten temat. Lianne i Howard głównie stoją i patrzą z zakłopotaniem.

– Super. Czegoś jeszcze mi nie powiedziałaś?

Uśmiechnęła się do mnie.

– No, krąży garstka plotek. Niektóre co ciekawsze zawierają także pytania o twój sprzęt. Że tak powiem.

Nie mogłem się powstrzymać. Zacząłem się śmiać z bezradności. Dzięki bardzo realistycznym układom propriocepcyjnym androida musiałem usiąść, żeby się nie przewrócić. Chyba z dziesiąty raz zapisałem sobie w pamięci, żeby doinstalować mu kanaliki łzowe.

Bridget znowu się uśmiechnęła, łapiąc nastrój.

– À propos tego...

– O, no nie. Nic z tego. Już ci mówiłem, że zrobię Manny’emu ten upgrade, wystarczy jedno twoje słowo. To zależy od ciebie.

Teraz ona też się śmiała. Śmiech nakręcał się sam sobą. Leżeliśmy na kanapie, z trudem łapiąc oddech i bezradnie pojękując.

Wreszcie, po minucie czy dwóch, doszliśmy do siebie. Bridget wzięła mnie za rękę.

– Między innymi dlatego cię kocham. Nawet Stéphane czasem patrzył na mnie jak na wariatkę. Musiałam się hamować przed żartami nie na poziomie. A ty to łapiesz.

– Razem na dennym poziomie. Na zawsze. – Uśmiechnąłem się do niej. Boże, jaka była piękna.

Internet przez ostatnie dwieście lat właściwie się nie zmienił. Prawda, były nowe firmy, a stare poupadały. Zmienił się prawie cały techniczny żargon. Ale ludzie nadal byli ludźmi i interesowali się tym samym. Wciąż były różne fora, można było obserwować kogoś, każdy miał jakąś własną stronę na którejś z kilku różnych platform, wciąż popularne były blogi. Ewidentnie narcyzm i voyeueryzm miały się dobrze.

Chodziło jednak o to, że nie trzeba było się specjalnie napinać, żeby prześledzić komentarze dotyczące pewnej lokalnie sławnej – lub osławionej – osoby. Moja androidowa persona nie była żadną tajemnicą i stanowiła niezbyt ważny, ale stały temat rozmów. W sieci było też dość zdjęć, żeby ktoś, kto chce, mógł mnie rozpoznać.

Opinii na mój temat nie brakowało, choć dzieliły się chyba pół na pół. Albo byłem jakimś potworem Frankensteina, albo po prostu pewnym typem, który ma takie samo prawo do istnienia, jak wszyscy. Pośrednich opinii w zasadzie nie było.

Wyglądało na to, że kością niezgody jest głównie mój związek z Bridget. Większość ludzi nie miała problemu z tym, żebym sobie łąził po mieście, po centrum handlowym i tak dalej. Ale randki poza własnym chemicznym gatunkiem – tu stawiali granicę.

Mało prawdopodobne, żeby Bridget o tym nie wiedziała. A to znaczyło, że stara się mnie chronić. Cholera. Wciąż byłem na tyle szowinistą, by uważać, że to ja powinienem być tym chroniącym.

Zastanawiałem się, czy ona ma jakiś plan. Albo, co ważniejsze, czy ja go mam. Bo ktoś musi coś z tym zrobić.

10. Napad Bob, marzec 2224, Camelot

Deltanie nie potrafili gwizdać przy pracy. Czy właściwie w ogóle – inaczej dawno bym wydobywał z siebie jakąś melodię. A dzień był taki, że nie radowałby tylko kogoś naprawdę ponurego. O świcie śniadanie z jagód i jajek, parę godzin wygrzewania się w porannym słończku... Moje mechaniczne ciało oczywiście niczego takiego nie potrzebowało, ale interfejs neuronowy aż nadto wystarczał, żebym na równi z innymi czuł się przyjemnie.

Po leniwym poranku, gdy Archimedes zaczął rozkładać swoje krzemienie, poszedłem na polowanie. Przy odrobinie szczęścia, liczyłem chociaż na miejscowy odpowiednik indyka.

Archimedes i jego rodzina byli aż nadto gościnni i od początku traktowali mnie jak swojego. Musiałem się jakoś rewanżować. Indyk czy inna niewielka zwierzyzna od czasu do czasu były mile widziane.

Marvin czasami oskarżał mnie, że zaprzeczam rzeczywistości i na sto procent staję się Robertem. Nie dyskutowałem z nim, bo w tym oskarżeniu było ziarno prawdy. Zdecydowanie czułem się bardziej częścią deltańskiego życia niż życia na Ziemi jako Pierwszy Bob. Pewnie do mojego zdeltanienia przyczyniła się też ogromna tęsknota za rodziną.

Gdy byłem pogrążony w tych ospałych rozważaniach, na HUD-dzie wyskoczył mi alarm. Ruch w pobliżu. Przywołałem jednego z wielu dronów obserwacyjnych, dzięki którym VR-ka z Camelotem była na bieżąco, i kazałem mu się skierować na siebie.

Przy komputerowych szybkościach w niecałą sekundę ustaliłem, że to nie jakiś zwierz się na mnie czai.

To był Fred. Z czterema kumplami. I zdecydowanie mieli na celowniku mnie.

Mogłem oczywiście ich rozwalić niszczycielami. Ale nie miałem sumienia mordować nawet takiego upierdliwego gnoja jak Fred. Mogłem też pewnie pobić się z nimi i wygrać, ale bym się zdemaskował. Jako przyjaciel Archimedes, Robert, zwykły Deltanin, byłbym skończony. Nie ma takiej opcji.

Zawołać pomoc? Nie, zanim podlecę dronem do Archimedes, on znajdzie Donalda czy kogoś, a ten dotrze tutaj, będzie już po zabawie. Jestem zdany na siebie.

Przywołałem jeszcze dwa drony, żeby mieć lepszy ogłąd sytuacji, i przez parę chwil obserwowałem moich prześladowców. Generalnie wiedzieli, gdzie jestem, ale widziałem, że często patrzą lub idą w nieco innym kierunku. To sugerowało pewne możliwości.

Na początek wyłączyłem swój zapach. Deltanie polegali na tym zmyśle bardziej niż ludzie, a mniej na wzroku. Można to było wykorzystać.

Ustawiłem się pomiędzy dwoma tropicielami, znieruchomiałem i ucichłem, jak to potrafi tylko android, a oni przeszli koło mnie. Bez ruchu, dźwięku i zapachu po prostu mnie nie dostrzegali.

I znalazłem się za nimi.

Odnotowałem pozycję Freda i obszedłem go boki, aż znalazłem się blisko niego. Jeśli w którymś momencie odłączy się od grupy, jest mój.

Kordon w końcu zacieśnił się i zaczęli widzieć się nawzajem. Fred w furii cisnął włócznię na ziemię.

– Już go mieliśmy! Na jajca moich przodków, jak mogliście dać mu się wymknąć?!

– A może to ty, Fred? – odpysknął jeden z pozostałych, ewidentnie mając dość.

Fred w okamgnieniu rzucił się i przewrócił go na ziemię, podniósł jego dzidę i przytknął mu ją do szyi.

– Jeszcze raz się do mnie tak odezwiesz i to ty będziesz na obiad, *kuzzi*.

Rany, co za kutas. Przyszło mi do głowy, że może zrobiłbym Deltanom dobrze, usuwając go z puli genetycznej.

Myśliwi miotali się jeszcze przez parę minut, lecz ja po prostu wyszedłem z ich zasięgu i patrzyłem na nich tylko z dronów. W końcu poddali się i ruszyli z powrotem do Caerleonu, a Fred nieustannie przeklinał.

Śledziłem ich przez pół drogi, niestety Fred cały czas trzymał się grupy. Będę musiał sam zaaranżować to spotkanie.

Odesłałem wszystkie drony na normalne pozycje i wróciłem do Camelotu. Szybkie polecenia dla dwóch z nich i już mogłem być pewien, że nic mnie nie zaskoczy. Sytuacja wymagała poważnego namysłu, a ja znałem siebie na tyle

dobrze, by wiedzieć, że kiedy wejdę w ten tryb, mogę zlecieć do przepaści i nawet nie zauważyć.

Szedłem, patrząc na własne stopy i rozmyślając. Fred był stuprocentowym dowodem, że kutasy występują we wszelkich kształtach, rozmiarach i gatunkach. Ale co go do tego nakręcało? I resztę? Nie zachowywali się tak dla zabawy. To zachowanie było zbyt powtarzalne. Mieli takie same możliwości łowieckie jak my, taki sam dostęp do bulw – może nawet trochę lepszy niż w Camelocie.

Zanotowałem sobie, żeby poobserwować Caerleon z dronów. Może uda się zauważyć coś istotnego.

Wciąż jednak nie upolowałem niczego na obiad, za to straciłem masę czasu na tańce z Fredem i jego przydupasami. Pokręciwszy głową, wysłałem drony na poszukiwanie drobniejszej zwierzyny w pobliżu. Oszukaństwo, ale byłem już spóźniony, a ludzie muszą coś jeść.

– Wygląda na to, że Fred wziął to do siebie – rzucił Donald i się wyszczerzył.

– No, nikt nie lubi dostawać lania. Ale nie spodziewałem się, że będzie na mnie polować.

Wygrzewaliśmy się w słońcu na polanie, gdzie Archimedes obrabiał krzemienie, a on robił, co mógł, żeby nie zwracać na nas uwagi. Niszczyciel pracował razem z ojcem, obrabiając wstępnie co prostsze narzędzia i odkładając dla Archimedesów do wykończenia. Nie wykazywał wielkiego zainteresowania specjalizacją w obróbce krzemienia, choć był równie zręczny jak ojciec i całkiem nieźle mu to szło. Lubił za to polować, a jego ulubioną bronią był łuk. W tym był spokojnie najlepszy w wiosce – może i w obu wioskach.

Uwielbiał także po prostu przebywać z ojcem. A jeśli dodatkowa para rąk sprawiała, że robota szła szybciej, to pomagał chętnie.

Ta trójka była chyba moimi ulubionymi ludźmi na tej planecie.

– Szkoda, że nie miałeś okazji poderżnąć mu gardła. Wszystkim byś dobrze zrobił.

Zawierciłem się niespokojnie, zastanawiając się nad odpowiedzią. Raczej nie byłem w stanie na zimno poderżnąć nikomu gardła, ale jak wyjaśnić XXI-wieczną wrażliwość istotom z epoki kamienia łupanego?

– Tylko wiesz, Donaldzie, dobrze wiemy, że to nie tylko Fred. On się najbardziej do tego zapalił, ale jest w tym coś więcej.

– Hmm... – Donald położył się z rękoma za głową. Jego ton sugerował, że on sam nie będzie miał najmniejszego problemu z nadzianiem Freda na włócznię

przy następnym spotkaniu. – Może pora, żebyśmy my też poszli na polowanie.
I może zadali parę pytań.

No, to nie był zły pomysł. Jeśli nie liczyć słowa „my”.

11. Szczątki

Bill, marzec 2223, Epsilon Eridani

Właśnie robiłem pewne zmiany w Superktosiu, gdy pingnął mnie Mario. Dałem szopom zajęcie na jakieś czas i z powrotem zmaterializowałem moją VR-kę. Mario pojawił się chwilę później. Zerknął na Jeevesa, który pojawił mu się za łokciem, zażyczył sobie kawy, po czym usiadł i wpatrzył się we mnie.

– Dobra, Mario, znam cię na tyle dobrze, że wiem, że nieodgadniona mina oznacza problemy. Co się urodziło?

Spuścił wzrok i uśmiechnął się, przyznając mi punkt.

– No tak. Hmm. W sumie to nie wiem, od czego zacząć. – Wziął łyk kawy, odstawił ją i splótł palce. – Wiesz, że badaliśmy gwiazdy wokół GL 877, bo chcieliśmy się zorientować w skali rabunku Innych.

Kiwnąłem głową.

– Rozumiem, że ta dramatyczna pauza nie oznacza dobrych wiadomości.

– Ha! – Pokręcił głową. – Jeśli już, to okazało się, że w innych kierunkach byli bardziej aktywni. Pewnie kombinacja szczęścia i większej bliskości gwiazd. W każdym razie znaleźliśmy pięć innych planet z życiem, które zlikwidowali. Na jednej była cywilizacja. Późnoprzemysłowa, wczesnoatomowa. Mniej więcej odpowiada Ziemi w połowie XX wieku.

– Pięknie. Czyli Inni mają na swoim pasku jeszcze jedno nacięcie.

– I kolejny gwóźdź do swojej trumny. Bill, wiem, że nawracam nawróconego, ale nie widzę jakiegokolwiek rozwiązania tego problemu, w którym Inni nadal istnieją.

– Tak, wiem. Dyskutowaliśmy nad tym. Wiesz, że tak właśnie jest. I to my będziemy musieli to zrobić, zakładając, że w ogóle jesteśmy w stanie.

– Są Dedal i Ikar...

– Małe szanse. – Machnąłem ręką. – A ty i twoje klony? Jesteście najbliżej. Dacie radę cokolwiek zrobić?

Mario uśmiechnął się bez humoru.

– Pewnie. Tylko jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności wokół GL 877 w ogóle nie ma żadnych metali.

– Dobra, dotarło.

Mario miał oczywiście rację. Macierzysty układ Innych był na peryferiach zbadanego kosmosu. Z definicji, bo odkąd ich odkryliśmy, eksploracja w zasadzie ustała.

– Claude i mnóstwo Bobów z obrony Delt Pavonis lecą na Gamme Pavonis. Może z nimi coś ci się uda zorganizować. – Mario zerknął na mnie, unosząc brew.

Skinąłem głową, a potem się skrzywiłem.

– Tak zrobię, Mario, ale coś mi się wydaje, że Claude naprawdę ciężko zniósł tę porażkę. Chyba w kwestii Innych nie będzie do końca racjonalny. Jedyne, o czym mówił, to żeby bronić Gammy.

– No wiesz, ale zanim jego grupa dotrze do Gammy, masz parę lat. Może wypracujesz sobie jakąś gadkę sprzedażową.

Westchnąłem. Wiecie, czego najbardziej nie cierpię? Sprzedawania.

12. Pogrzeb Julii

Riker, październik 2218, Wolkan

Właśnie przeglądałem ostatnie raporty produkcyjne od Charlesa, gdy zadzwonił do mnie Justin Hendricks. Z uśmiechem zamknąłem raporty. Rozmowa z rodziną zawsze miała najwyższy priorytet.

Justin dorósł. Kosmiczny Kadet Justin był teraz kapitanem statku w Korpusie Kosmicznym Nowego Jeruzalem. Sama myśl budziła śmiech. Korpus składał się z sześciu transportowych statków opartych z grubsza na *Niebie* w wersji 2.

Dexter, obecny Bob-rezydent, mocno napierał, by kolonie uniezależniły się od pomocy replikantów. Bliźniacze planety w Omikronie-2 Eridani miały teraz osady z dwunastu różnych enklaw i każda z nich miała przynajmniej jeden statek. Dexter wciąż kręcił się po układzie, ale liczba próśb od osadników spadała do może dwóch w tygodniu.

Odbierając, miałem uśmiech na twarzy, który zniknął, gdy tylko zobaczyłem jego minę. Oczy mu lśniły od ledwie powstrzymywanych łez.

– Wujku, chodzi o mamę. Jest w szpitalu. Jest bardzo źle.

Wysiadłem z drona transportowego i uniosłem wzrok na budynek szpitala. Potem spojrzałem w dół na moje dłonie i stopy. Howard, gdy usłyszał nowinę, bez wahania użyczył mi Manny’ego. Przewiezienie go z Wolkana na Romulusa trwało nieco ponad godzinę.

Po raz pierwszy siedziałem w androidzie i strasznie się denerwowałem. Przypomniało mi się, że Howard pierwszy raz użył Manny’ego w bardzo podobnych okolicznościach. Oby to nie był trend. Ze smutkiem stwierdziłem, że chyba jednak będzie. Efemerydy.

Zobaczyłem, że Justin wychodzi z drzwi frontowych szpitala, odszedłem więc od drona i odesłałem go. Justin podbiegł do mnie i zatrzymał się w odległości

dwóch metrów, nagle onieśmielony. Po raz pierwszy spotykaliśmy się „osobiście”, że tak powiem.

– Wujek – powiedział, lekko się rumieniąc. – Przez telefon... eee... młodziej wyglądasz.

Uśmiechnąłem się.

– Kwestia oświetlenia w studiu. – Nie chciałem opowiadać mu o Howardzie i Bridget. Zakładając, że już o nich nie wiedział.

Odwrócił się i ruszył z powrotem do wejścia. Przyjrzałem mu się ukradkiem. Po raz pierwszy dostrzegłem zmarszczki wokół ust i na czole. Oraz parę siwych włosów. Wysiłkiem woli odepchnąłem od siebie tę myśl, gdy zaczął opowiadać.

– Była w domu i nagle złapała się za głowę, krzyknęła i padła. Zajmowała się moimi dziećmi, na szczęście wiedziały, co trzeba zrobić. – Mówiąc, Justin wytrzeszczał oczy. – Karetka była po chwili i przywiozła ją tutaj. Ale chyba było już za późno. – Spojrzał na mnie, w oczach miał teraz łzy. – To był tętniak. Lekarze mówią, że nie ma szans, żeby się jeszcze obudziła.

Dotarliśmy do jej sali, ja się rozejrzałem. Bardzo nowoczesny sprzęt, żadnych widocznych obrazów czy wizerunków religijnych. Oczywiście około dwudziestu lat temu odbyło się tu coś w rodzaju ludowej rewolty, związanej trochę z zakazem importu alkoholu, a także z aferą czy dwiema... W każdym razie Nowe Jeruzalem było teraz regularną demokracją z rozdziałem Kościoła od państwa. Howard i ja świętowaliśmy to wtedy, skanując butelkę irlandzkiej whiskey i wgrywając szablon do VR-ki.

Jasne, grałem na zwłokę i dobrze o tym wiedziałem. Wziąłem głęboki wdech i podszedłem do łóżka.

Przypomniałem sobie, kiedy pierwszy raz zobaczyłem Julię Hendricks – na wideokonferencji z pastorem Cranstonem. Wspomniałem, jak żołądek mi się skurczył, gdy spojrzałem na niemal idealną kopię mojej siostry, n-prababci Julii. Wciąż wyglądała jak Andrea – jak wyglądałaby Andrea, gdybym dożył do czasów, kiedy została babcią. Wyciągnąłem rękę, dotknąłem policzka Julii. Po raz pierwszy jej dotknąłem.

Oj, zdaje się, że Howard w końcu zainstalował kanaliki łzowe. Ja nie mogę...

Otarłem oczy i odwróciłem się do Justina. Po jego twarzy płynęły nieskrępowanie.

Głos zadziałał mi dopiero po paru próbach.

– Co zrobisz?

– Nie chciała, żeby ją podtrzymywać przy życiu, jeśli nie będzie szansy...

Kiwnąłem głową, zalała mnie fala bezbrzeżnego smutku. Cały czas ktoś odchodzi...

– Rozumiem, że przy tętniaku nie ma szans na replikację?

Justin pokręcił głową.

– Wujku, nie bierz tego do siebie, ale... myślę, że mało który człowiek zdecyduje się na replikację. To był eksperyment z gorszych, autorytarnych czasów, kiedy na ludzi patrzono jak na trybiki, które można zastąpić jeden drugim. – Uśmiechnął się do mnie ze smutkiem. – A po drugie, tyle pracy, co zainwestowaliście ty i inni Bobowie... dla normalnego człowieka to jak wieczne niewolnictwo. Kto by chciał całe życie po życiu spędzić na ciężkiej robocie?

– No tak, to wiele wyjaśnia. – Kiwnąłem w zamyśleniu głową. – Odkąd Howard zrekonstruował technologię, spodziewaliśmy się fali wniosków. A dostaliśmy dokładnie zero.

– Wy pewnie jesteście końcem tego eksperymentu.

Nic nie powiedziałem. Spojrzałem tylko na Julię. Może to i dobrze.

Pogrzeb odbył się po kilku dniach. Teraz też pożyczyłem Howardowego androida. Nie było możliwości, by ktoś nas pomylił – Howard nigdy nie pokazał się w nim na Romulusie. Ci ludzie znali tylko Willa, swojego stryjecznego n-pradziadka w wersji software'owej. Justin poprosił mnie, bym poniósł trumnę, na co z wdzięcznością się zgodziłem.

Julia żyła długo i zacnie, miała wielu krewnych, a wszyscy ją znali i kochali. Po mowie Justina żadne oko nie pozostało suche, w tym piszącego te słowa.

Przez większość stypy byłem w centrum uwagi. Wiele osób pytało o moje siostry i o życie w XXI wieku. Ale o replikację nikt nie pytał. Wyobrażacie sobie?

Wreszcie, wyczerpany emocjonalnie, pożegnałem się i przywołałem drona transportowego. Odwróciłem się, pomachałem tłumkowi, który wyszedł za mną, wsiadłem do środka i się wyłączyłem.

Wskoczyłem Howardowi do VR-ki. – Hej. Masz Manny'ego z powrotem. Już leci z Romulusa. Będzie za parę godzin.

– Dzięki. Pogrzeb w porządku?

Usiadłem i zrobiłem miejsce Kolczatce. Przyjęła zaproszenie i zaczęła mruczeć, zanim ją pogłaskałem. Nigdy nie zgrywała niedostępnej.

Westchnąłem i przez chwilę patrzyłem w przestrzeń.

– Żadnych konfrontacji, żadnych awantur. Nie to, co ty i dzieciaki... – Zerknąłem ukradkiem na niego. – Ale to chyba już jakby pozamiatane?

– No... niby tak, Bridget rozmówiła się z potomstwem. Chyba Rosie nie będzie już za mną ganiać, żeby się na mnie wydrzeć.

– Ale wiesz, że sam się o to prosiłeś? Randki z żywym człowiekiem...

– To nie są „randki”, Will. Nie ma elementu seksualnego. Po prostu lubimy swoje towarzystwo. Zawsze tak było. Rozumiemy się nawzajem.

Kiwnąłem głową.

– Ja rozumiem. Ale paszcze będą kłapać i tak.

Howard parsknął śmiechem.

– A walić ich wszystkich. Ja jestem teraz szczęśliwszy niż kiedykolwiek... znaczy... od czasów Jenny.

– Jenny dawno nie żyje. I Bridget też to spotka. – Wzruszyłem przepraszająco ramionami, gdy spojrzał na mnie ostro. – Przepraszam, chyba to ten pogrzeb mnie zdołował. Raptem rok po pułkowniku. „Efemerydy”, jak nic.

– No... – Howard wyciągnął rękę i pogłaskał Kolczatkę. – Nieśmiertelność to nie jest sam cud-miód i orzeszki.

Wstałem i położyłem Kolczatkę z powrotem na fotelu.

– Z tym muszę się zgodzić. Idę do domu, włączę sobie receptory alkoholowe i zaleję smutki. A jutro z powrotem na szychtë do kopalni.

Pomachałem Howardowi i przeskoczyłem do własnej VR-ki, w Układzie Słonecznym.

13. Latające miasta

Marcus, luty 2215, Posejdon

– Zapewne wszyscy się zastanawiacie, czemu was tu zebrałem. – Odwróciłem się i omiotłem wzrokiem zaproszonych. Zobaczyłem paru przewracających oczyma, parę uśmiechów i kilka martwych twarzy mówiących „niech to się już skończy”.

Filistrowie.

– Przepraszam. Ciągłe mnie kręci, jak to mówię. W tym wypadku jednak te słowa bardzo pasują. Przez piętnaście lat pracowałem nad pewnym projektem. Myślę, że może was zainteresować. – Rozejrzałem się po publiczności, próbując wyczuć ich nastrój. Zauważyłem, że paru zerka na mnie z zainteresowaniem. Jak dotąd mało kto widział mnie w ciele androida.

Spotkanie zorganizowałem w ustronnej części Wielkiego Dywanu Północnego, jakieś pięć kilometrów od gęsto zaludnionego Nowego Male. Osobiste fruwacze stały zaparkowane chaotycznie na powierzchni gęstej roślinności. Zaproszeni byli różnorodną mieszanką ludzi z bezpieczeństwa, władz i służb technicznych oraz paru osób bez specjalizacji, którym wystarczało, że je lubiłem i im ufałem. Moi przyjaciele, których zacząłem uważać za najbliższy krąg, stali nieco z boku. Oznajmili mi, że to mój spektakl i nie będą się w niego angażować.

Starąłem się powstrzymać uśmiech, ale poddałem się. Bo dlaczego nie? Praktycznie miałem zainauguować nowe państwo.

– Dobra, Marcus, trochę już dość mamy. Dawaj. – To był Yoshi, starszy inżynier od infrastruktury i kumpel Kala z pracy.

– Jasne, Yoshi. Panie i panowie, przed państwem... latające miasto Hel!

Wypowiadając te słowa, opuściłem miasto poniżej chmur, aby zawisło dwadzieścia metrów nad nimi. No dobra, „miasto” to była trochę przesada. Na dowolnym przedmieściu zajmowałoby obszar podwójnej działki pod zabudowę. Okrągła platforma, około trzydziestu metrów średnicy, od góry płaska i przykryta przejrzystą kopułą z fibrekusu, z ciągiem półkulistych wypukłości ustawionych promieniście od spodu.

– Ja pierdziele. – Yoshiemu opadła szczeka. Odwrócił się do mnie i wytrzeszczył oczy. – No dobra, na mnie to robi wrażenie. Jak to działa? Nie jak fruwacze...

– Oczywiście, że nie. Żadnych wirników. Ani helu. Paradoksalnie. Miasto Hel wykorzystuje serię cewek SURGE.

– Ale to niemożliwe. Pole SURGE eliminuje grawitację. Chyba nie mamy mieszkać w nieważkości, co?

Parsknąłem śmiechem.

– No nie, Yoshi. Żadnej nieważkości. Pole nie obejmuje miasta. Cewki SURGE są ustawione mniej więcej tak jak dysze pionowego startu w waszych fruwaczach. Dają siłę nośną i nic więcej. Są właśnie w tych półkulach od spodu.

– Cholera. – Brwi Yoshiego zaczynały schodzić się w typowego inżynierskiego marsa – ewidentny znak, że zaczynał się nad tym zastanawiać.

Odwrócił się i spojrzał mi prosto w oczy.

– A to, co mówiłeś wcześniej... czyli nie zaoferujesz tego kolonii?

– Niezupełnie. Nie zaoferuję tego wyłącznie władzom kolonii. Nie chcę, żeby to Rada je kontrolowała. Oni już i tak mają za dużo rzeczy pod kontrolą. – Powoli pokręciłem głową. – Zapytajcie dowolnego Boba, można by się domyślić, że to właśnie WIARA pójdzie w taki faszyzm. Nie żadna wyspiarska nacja.

Vinnie, mimo wcześniejszych obietnic grupy, wymamrotał niemal niesłyszalnie:

– Będą chcieli to zlikwidować.

– Nie licząc przemocy, Vinnie, właściwie niewiele mogą zrobić. Ich siła to głównie projekcja władzy, sugerowane groźby i presja społeczna.

– Czyli nie zwracamy na nich uwagi. – Kal kiwnął głową.

– A jak zaczną strzelać? – zapytała Gina. – Cały czas was o to męczę. Będziemy gotowi, żeby odpowiedzieć ogniem?

– Jeśli do tego dojdzie – odparłem – to i tak ja mam najcięższą broń. I oni to wiedzą. I wiedzą, że jak coś, mogę zniszczyć ich wszystkie zasoby w kosmosie.

Yoshi spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Czemu ty to robisz, Marcusie?

– Musisz pytać? To miał być nowy początek dla ludzkości. Zaczynamy od nowa, bez tych wszystkich prehistorycznych pierdół. A tu nowy rząd znów robi to samo. Chcę im wyrwać zęby.

Odwróciłem się w stronę Helu i objąłem go zamaszystym gestem.

– Po prostu daję ludziom opcję głosowania nogami.

Nie trzeba było ich w ogóle przekonywać, żeby weszli na Hel na inspekcję. Ludzie rozeszli się, zaczęli wyglądać przez przejrzystą kopułę albo po prostu obchodzić ją po obwodzie.

– Trochę jakby mało budynków – rzucił z uśmiechem Kal.

– Właściwie to nie wiem, czy są potrzebne, wiesz? – odpowiedziałem. – Kopuła jest klimatyzowana w całości. Żadnego deszczu, zimna, śniegu. Nie licząc podstawowych intymnych potrzeb, moglibyście sobie mieszkać po prostu *al fresco*. – Postukałem stopą w gołą metalową posadzkę. – Można by położyć warstwę gleby i posadzić wszędzie trawę.

Kal kiwnął głową. Wtrąciła się Gina:

– Marcusie, to jest tylko podstawowy szkielec. Świetny projekt pilotowy, ale brakuje jeszcze kupy rzeczy. Lądowiska dla transportowców, dla pasażerów, garaże na fruwacze, kapsuły ewakuacyjne, uzbrojenie, magazyny na żywność, kuchnie...

– No i masz. – Kal zaśmiał się i wskazał głową Ginę.

– No wiesz, to moja praca.

– Dobrze, dobrze – odparłem. – A Gina ma rację. Miasto nadające się do użytku musi mieć infrastrukturę, żeby ludzie mogli żyć i pracować. Jestem zatem otwarty na propozycje. Z waszą pomocą, wersja numer dwa będzie gotowa do wprowadzenia, pod klucz. No i oczywiście większa. Musicie mieć więcej miejsca, żeby dało się mieszkać i pracować.

Kal kiwnął głową.

– I kogo tam zaprosimy?

– A, no właśnie, to już zupełnie inna rozmowa. – Czekałem, aż ktoś poruszy ten temat. – Mam parę spostrzeżeń...

Gina wzięła dwa piwa z lodówki Kala i wróciła na kanapę. Jedno podała Vinniemu i otworzyła swoje. Machnęła nim w moją stronę i powiedziała:

– Jak będzie stało otworem dla wszystkich, to tak, jakbyś zapraszał szpiegów Rady.

– Gina, ja bym się tym nie przejmował. Bo jednocześnie chcę złożyć plany konstrukcji do odpowiednich urzędów.

– Tylko nie myśl, że ci wydadzą pozwolenia. – Kal uśmiechnął się szeroko. Zachichotałem.

– No nie, nie spodziewam się, że szybko się z tym uwiną. W każdym razie chodzi o to, żeby wszystko było maksymalnie otwarte. Żadnych tajemnic,

żadnego szpiegostwa. Pełna jawność. Wszyscy będą o tym wiedzieć, każdy będzie mógł uzyskać informacje. To pod wieloma względami rozbraja Radę.

– A sabotaż?

– Wow. – Spojrzałem na nią marszcząc brwi. – To by musiało być post factum, kiedy na pokładzie już będą mieszkańcy. Może jestem naiwny, ale jakoś nie widzę, żeby nawet Rada była gotowa zabijać ludzi.

– Masz rację – powiedziała Gina.

Uśmiechnąłem się do niej.

– No proszę.

– Masz rację: jesteś naiwny. – Odpowiedziała uśmiechem.

Przewróciłem oczyma, a Vinnie i Kal zachichotali.

– No dobra – przyznałem. – Ale jak dojdzie do tego, to będzie otwarta wojna.

– No właśnie – powiedział Vinnie. – *Vive la révolution*.

Westchnąłem po raz kolejny. Właściwie nie wiedziałem, co w tym mnie tak mentalnie męczy.

– Powtarzam to już któryś raz. Chciałbym tego całkowicie uniknąć. Słuchajcie, przecież my nie robimy niczego złego. Niczego nie wysadzamy, nie strajkujemy, nie palimy Bastylii, ani nawet nie żeglujemy na zachód. Ludzie będą dalej wykonywać swoją pracę, produkować żywność i tak dalej. Po prostu będą mieli inny adres zameldowania.

– Co to jest „adres zameldowania”?

Uśmiechnąłem się do Vinniego.

– Przepraszam. Nie możesz tego pamiętać. Chodziło mi o to, że po prostu będą mieszkać gdzie indziej. Sęk w tym, że dla Rady to żadna różnica, ani materialnie, ani gospodarczo. Pewnie, będziemy im grać na nosie, pewnie trochę się wkurzą, ale żeby strzelać? Zabijać ludzi? – Pokręciłem głową. – Nie mówię, że to niemożliwe, tylko że kompletnie straciliby wiarygodność, którą mogą jeszcze mieć.

Gina przewróciła oczyma.

– Marcusie, ty jesteś samotnikiem. I z tego, co mówisz, zawsze nim byłeś. Nigdy nie dążyłeś do władzy. Ale niektórzy ludzie chcą władzy i muszą mieć tę władzę nad kimś. Najlepiej, żeby to było dużo kogoś. Zatem odebranie im podwładnych, co w istocie robisz, będzie wypowiedzeniem wojny.

Wyszczrzyłem się do niej.

– Optymistka jak zawsze. Uwielbiam tę twoją opinię o ludzkości, prosto z Pollyanny.

– Rozmawiajmy poważnie, Marcusie. Jak mówię „wojna”, to mam na myśli, że pierwsze, co spróbują zrobić, to ciebie zabić. Nie masz jakiegoś immunitetu,

nie jesteś tabu czy coś. A kiedy za dziesięć czy dwadzieścia lat Bobowie przylecą, żeby zbadać sprawę, to będzie już fakt dokonany.

– Chyba trochę przesadzasz, nie sądzisz?

Przekrzywiła głowę.

– Nie popełniaj tego błędu, co wszyscy. Że myślisz, że twój przeciwnik jest głupi, dlatego że ma inny ogląd świata niż ty. Oni wiedzą, że jesteś potencjalnym zagrożeniem. I wiedzą też, że nam sprzyjasz, choćby dlatego, że...

Wytrzeszczyłem oczy na Ginę wstrząśnięty. Dotąd bardzo otwarcie informowałem o moich ruchach, o tym, co robię, i tak dalej. Dotarło do mnie, że będę musiał przestać.

Rada miała dostęp do kont administratorów autofabryk i drukarek od wystarczająco długiego czasu, żeby móc wyprodukować coś, o czym nie wiedziałem. I sam ich do tego namawiałem.

– Dobra, Gina. Punkt dla ciebie. Musimy to zacząć traktować poważnie. – Spojrzałem po reszcie. – To jaki będzie następny krok?

– Teraz piłka jest po ich stronie – odparła Gina. – Z drugiej strony tego twojego ostatniego popisowego numeru z latającymi miastami nie będą mogli zignorować. Ja myślę, że... jak ty to mówisz, zabawa zacznie się bardzo szybko.

14. Przyjaciele

Howard, maj 2218, Wolkan

– Niesamowite – powiedziałem. – Dwieście lat postępu i mężczyźni dalej muszą nosić krawaty? Jak to możliwe?

Bridget przewróciła oczyma, poprawiając mi niesforny element garderoby. Androida nie można było dusić – sprawdziłem w projekcie – ale garnitur z krawatem miał w sobie coś takiego, że czułem się, jakby ktoś mnie powoli podduszał.

– Jesteś jak duże dziecko – Bridget zrobiła ostatni szlif węzła. – I choć robisz, co możesz, wyglądasz świetnie.

Uśmiechnąłem się.

– W nagrodę pozwolisz mi nie włożyć...

– Howard!

Westchnąłem, najbardziej teatralnie, jak tylko mogłem.

– Tak, kochanie. – I nucąc piosenkę burłaków znad Wołgi, zdjąłem z wieszaka marynarkę.

Bridget nie powiedziała nic, ale jej mrozący wzrok mówił wszystko.

Szef sali podprowadził nas do stolika i odsunął dla Bridget krzesło. Rozejrzałem się. Przy stoliku siedziały dwie inne pary – od razu zauważyłem te same zakłopotane miny na twarzach dwóch pozostałych facetów. Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają, mimo wieków i lat świetlnych dystansu.

Bridget uśmiechnęła się i przedstawiła nas sobie. Kumar i Reeda, Arnie i Sylvie, przyjaciele Bridget z czasów, kiedy była biologką.

Zastanowiłem się chwilę, czy to nie dziwne, że nigdy ich nie poznałem.

Arnie patrzył na mnie w skupieniu, mrużąc oczy.

– Naprawdę, Howard, gdybym nie wiedział, że jesteś androidem, to nawet bym nie podejrzewał.

Sylvie odwróciła się do niego z opadniętą szczęką.

– Arnie! Na litość boską!

– A co? Umawialiśmy się, że nie zwracamy uwagi na słonia w pokoju? To jakiś sekret?

Zauważyłem, że Kumar z trudem powstrzymuje uśmiech. Reeda jakby nie wiedziała, kogo ma poprzeć. Machnąłem lekceważąco dłonią i uśmiechnąłem się do Sylvie i Arniego.

– Nie, on ma rację. Chybabym nie wytrzymał, gdyby wszyscy przez cały wieczór omijali ten temat. Miejmy to z głowy.

Arnie zrobił zadowoloną minę, Sylvie spojrzała na niego mrożąco. Zanim doszło do eskalacji, dodałem:

– I nic byście nie poznali, dopóki bym nie otworzył sobie brzucha, żeby się pozbyć jedzenia.

Bridget prychnęła, Kumar roześmiał się w głos, a Reeda w końcu stanęła po stronie Sylvie. Obie popatrzyły ze zgrozą najpierw na mnie, potem na Bridget.

– Wy jesteście po prostu stworzeni dla siebie – powiedziała Sylvie.

Uniosłem wzrok do sufitu.

– W moim przypadku dosłownie tak jest.

I rozparłem się z satysfakcją, gdy cały stół wybuchnął śmiechem. Gdzie jest ta trudna publiczność, o której ciągle słyszę?

Ocierając łzę z oka, Arnie zapytał:

– Ale naprawdę tak nie robisz, co? Z tym brzuchem i tak dalej.

– Nie – odpowiedziałem z uśmiechem. – Tylko często grożę, że tak zrobię. Bridget przestała już zwracać uwagę, więc miło mieć jakieś nowe ofiary.

Festiwal komedii zwrócił na nas uwagę wszystkich, ale teraz, gdy się uspokajaliśmy, inne stoliki wróciły do swoich spraw.

– No to jak realistycznie zrobiony jesteś? – Sylvie aż się skrzywiła, gdy dotarło do niej, co powiedziała. – O rany, źle to wypadło. Chodziło mi o...

– Nie ma sprawy, Sylvie, ja się tak łatwo nie obrażam. Staraliśmy się zaprojektować androidy tak, żeby były jak najbardziej realistyczne, tak dla nas, jak i dla innych ludzi. Czyli: ból, reakcje emocjonalne, odruchy i tak dalej. Projekt jest oczywiście ciągle rozwijany.

– Hmm, a czy to obejmuje...

Wyszczrzyłem zęby.

– Jest ciągle rozwijany.

Bridget przewróciła oczyma.

– Możemy już zamówić?

Uśmiechnąłem się do niej i kiwnąłem na kelnera.

Kiedy zebrał zamówienia, rozejrzałem się wokół stołu.

– Słuchajcie. Jestem człowiekiem. Kiedyś byłem, w każdym razie. Wychowałem się w Minnesocie, miałem siostry, rodziców, chodziłem do szkoły i tak dalej. Nad kimś, kto ma protezę ręki, byście się za długo nie zastanawiali, prawda? No to wyobraźcie sobie przypadek trochę bardziej ekstremalnej amputacji.

Bridget zakrztusiła się winem i rozkaszała. Po ekspresowym poklepywaniu po plecach i wycieraniu uśmiechnąłem się szeroko do reszty.

– Z drugiej strony bez takich odruchów mogę się spokojnie obejść.

Reszta posiłku przeszła bez większych wydarzeń. Rozmawialiśmy, śmieliśmy się, piliśmy. Pilnowałem, by konsumpcję alkoholu mieć poniżej innych. Bo oczywiście wyścigi byłyby nierówne.

Kumar jednak i tak obalił o jednego czy dwa za dużo, więc, co nieuniknione, rozwiązał mu się język. Kiedy siedzieliśmy, gapiąc się na puste deserowe talerzyki, wyszczerzył się do mnie. Głowę miał odrobinę przekrzywioną.

– A, słuchaj, macie plany na kontrolę nad światem? Spokojnie byście mogli to zrobić, nie? Macie przewagę, tyle broni...

Reeda popatrzyła na niego wilkiem i pokazała mu zaciśniętą pięść.

Uniosłem dłoń, by ją powstrzymać, i popatrzyłem na niego jak na idiotę.

– Nie rozumiem, czemu ktoś ciągle chce mieć władzę nad światem. Jak dla mnie to paskudna robota. Nigdy w życiu. Zajmiemy się Innymi, ale poza tym jesteście zdani sami na siebie.

Wyraziłem to chyba trochę ostrzej, niż zamierzałem, bo wokół stołu pounosiły się brwi.

– Posłuchaj – dodałem, chcąc trochę złagodzić. – Do rządzenia trzeba mieć określony charakter. Bob taki nie był. Żaden z nas nie jest. W każdym razie, kiedy skończy się ta afera z Innymi, najprawdopodobniej każdy poleci sobie w siną dal. Czyli na dłuższą metę to nie jest problem.

Kumar kiwnął głową, napięcie jakby opadło. Ja jednak dalej czułem się nieswojo po tym oświadczeniu.

Ściągnąłem krawat i cisnąłem go na kuchenny stół.

– Nareszcie wolny!

Bridget uśmiechnęła się szeroko, nastawiając czajnik na zamykającą dzień herbatę.

– Poszło dobrze. Chyba cię zaakceptowali, jak już początkowa niezręczność została rozproszona.

– Czy ty czasem nie dogadałaś się z Arniem, że ma to powiedzieć? – Łypnąłem na nią.

– Nie przyznaję się.

Zaśmiałem się.

– Dobra. Czyli jest jakiś większy plan?

Bridget wpatrywała się przez chwilę w czajnik, jakby go poganiając.

– Howard, ty i inni Bobowie jesteście trochę jak niedźwiedzie czy pумы – bez złożonej społeczności, przeważnie żyjące samotnie, bardzo niewielka potrzeba interakcji. Ale w przeciwieństwie do tych zwierząt czujecie się dobrze ze sobą. Na pewno duży wpływ ma zbieżność poglądów w wielu sprawach. Jednak z innymi ludźmi to robi się bardziej skomplikowane.

Musiałem się nie zgodzić co do tej „złożonej społeczności”, choć miałem pewne pojęcie, o czym ona tak naprawdę mówi. Ale jak wyjaśnić Zgromadzenia, reguły wizyt w VR-ce i tak dalej? Stwierdziłem, że jej odpuszczę.

Czajnik pstryknął, a ona na moment umilkła, nalewając.

– Tak naprawdę chciałabym, żebyś już nie był sensacją. Żebyś po prostu spowszedniał. Ekstremalny przypadek amputacji, jak sam powiedziałeś. Ludzie muszą widzieć w tobie po prostu innego człowieka.

– Ludzie w ogóle?

– I niektórzy w szczególe.

– Aaa. – No właśnie, to o to chodzi. – Dobra, Bridget. Dawno się przekonałem, że myślisz na parę ruchów do przodu. Zgadzam się. Tylko mi obiecaj, że nie będę musiał więcej nosić tego cholernego krawata.

– Nie obiecuję. Też musisz pocierpieć.

Zaśmiałem się i usiadłem obok niej, kiedy rozsiadała się z herbatą. A gdy ją piła, wykorzystałem czas na zastanowienie się nad tym ostatnim dialogiem z Kumarem i tym, co z niego wynikało.

15. Enklawy

Riker, kwiecień 2227, Układ Słoneczny

Patrzyłem z satysfakcją, jak najnowsze statki-kolonie przyśpieszają z Układu Słonecznego. Sytuacja poprawiła się trochę, gdy pierwsza fala statków zaczęła wracać po kolejny ładunek. W sumie z nowymi i powracającymi statkami była to już jakaś przepustowość.

Ale i tak za mało. Dochodziliśmy do miliona emigrantów. Sto lotów za nami, jeszcze tysiąc czterysta. Po raz drugi przejrzałem raport od Charlesa. Nie zmienił się magicznie. Cholera.

Pingnąłem go.

– Hej, Charles, czytałem twój raport. Aż tak źle?

– Cześć, Will. – Charles wskoczył do mnie. – No tak. Coraz więcej dronów posyłamy na poszukiwanie surowców, odrywając je od prac konstrukcyjnych. A i tak drukarki od czasu do czasu stoją i czekają na zasoby. Teraz nasza produktywność spadła o jakieś dwadzieścia procent, a będzie jeszcze gorzej.

Kiedy mówił, przewijałem raport.

– Żadnych nowych złóż metali?

– Niestety nie znaleźliśmy. Problem nie polega na tym, że nie ma metalu, ale na tym, że nie ma już go w dogodnych skupiskach. Ludzkość dawno wydobyła wszystko, co było dostępne, a wojna zamieniła w parę i pył mnóstwo miast i sprzętu wojskowego. Większość metalu na powierzchni planety to pył. Albo rdza. Z kosmosu pozgarnialiśmy cały złom, który był łatwy do znalezienia – reszta jest pewnie na dziwacznych długookresowych orbitach. Ja nawet puszczam oddziały szopów tyralierą po ziemi, żeby zbierały metalowe odpady. Naprawdę już jedziemy na oparach.

Potałem czoło.

– I mamy... ile? Osiemdziesiąt dwa statki? Może dojdziemy do stu, zanim pozyskiwanie surowców stanie się zbyt trudne. Lot w obie strony – średnio czterdzieści lat. To dwa i pół statku na rok. Czyli dwieście pięćdziesiąt tysięcy ludzi na rok. Pięćset sześćdziesiąt lat do końca.

– Rozmawialiśmy już o budowaniu statków-kolonii w innych układach. Taka opcja dalej istnieje.

– No tak, wiem. Ale inwestycja początkowa jest strasznie duża. I trzeba by postawić Boba, żeby nadzorował. Na razie nie było tłumów chętnych. Na przykład Oliver w Alfie Centauri skupia się na przygotowaniach do ataku Innych. Czy ci to odpowiada, czy nie, Słońce to najlepsze miejsce na budowę statków-kolonii. Nie licząc oczywiście problemu z surowcami.

– W kółko przeliczamy te liczby i one się od tego nie poprawiają. Enklawy możemy utrzymać przy życiu przez pięćdziesiąt, może sto lat. I to już wliczając wszystkie triki, jakie dotąd wymyśliliśmy.

– No, tak naprawdę to możemy je utrzymać w nieskończoność przy życiu.

– Pewnie, jakby się wkopać pod ziemię albo pod lód. Żyć wyłącznie pod ziemią, w stuprocentowym uzależnieniu od farm orbitalnych i hydroponiki.

– I od nas, bo tam nie będą mieli żadnego przemysłu.

– No. Ale wiesz, to się sprowadza do tego, że powiemy większości ludzi, że mają spędzić resztę życia w jaskini. – Charles usiadł prosto i wpatrzył się w sufit.

Uniosłem wzrok i zdałem sobie sprawę, że nigdy nie chciało mi się dodać sufitowi w mojej VR-ce jakichkolwiek szczegółów. Był jednolicie niebieski, bez żadnej tekstury. Szybko dodałem barankowy tynk i umieściłem na nim tablicę z napisem: „Oczy mam tutaj”.

Charles roześmiał się zaskoczony. Opuścił wzrok na mnie, uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Wiesz, Will, kiedyś nie miałeś za bardzo poczucia humoru.

Uśmiechnąłem się do niego ze smutkiem.

– Chyba próbuję zachować przy życiu jakiś fragment Homera.

Charles przestał się uśmiechać i kiwnął głową. Wszystkim nam brakowało Homera.

Wpatrzyłem się w dal, nie skupiając wzroku na niczym konkretnym. Nie chodziło tylko o Homera. W ciągu ostatnich dziesięciu lat odeszli Butterworth, Julia Hendricks i paru innych członków naszej rozszerzonej rodziny. Nie byli to ludzie, których jakoś dobrze znałem – tylko z nazwiska – lecz i tak stanowili memento, że w odpowiednio długim czasie umrą wszyscy, których znam.

Po paru chwilach pełnej namysłu ciszy Charles powiedział:

– Moglibyśmy wszystkich dać w hibernację...

– Też o tym myślałem. Czternaście milionów kapsuł hibernacyjnych. To tyle surowców co jakieś trzydzieści statków-kolonii. Nie tylko musielibyśmy przestać budować statki, ale i skanibalizować kilkanaście istniejących. Nie widzę, żeby ONZ na to poszła.

- W dłuższej perspektywie to by było bardziej sensowne.
- Ale ludzie nie myślą w dłuższej perspektywie.
- A wspomniałeś im o tym?

Westchnąłem.

– Nie. Pewnie z tchórzostwa. Ale masz rację, powinni mieć możliwość podjęcia tej decyzji. Dzisiaj im to przedstawię.

Delegatka Misra, zadając pytania, ani na moment nie opuściła wzroku. Była jedną z najbardziej zrównoważonych członkiń ONZ i nigdy się nie denerwowała. Jeśli uda mi się ją przekonać, może się to uda.

- Będziecie w stanie zbudować czternaście milionów kapsuł?
- Tak jak już mówiłem, trzeba będzie rozebrać dwanaście powracających statków kolonii i poświęcić wszystkie przyszłe moce produkcyjne.
- Ile czasu to zajmie?
- Chyba około pięćdziesięciu lat, głównie ze względu na problemy surowcowe.
- Czyli wielu z nas i tak umrze ze starości. A tymczasem nie wylecą nowe statki-kolonie.
- To prawda, ale po pierwszych dwunastu powracające statki będą brały kolejne porcje ludzi.

Swarna Misra na moment spuściła wzrok na biurko, potem wróciła nim do kamery.

– I to jest właśnie problem. W obecnym systemie za naszego życia jeszcze około trzystu tysięcy ludzi poleci do kolonii. W proponowanym układzie prawdopodobnie połowa populacji – siedem milionów ludzi – umrze ze starości na Ziemi, zanim zdążycie wyprodukować dla nich kapsuły. Druga połowa trafi do kapsuł i pozostanie w nich przez nieokreślony czas, zapewne setki lat. Matematycznie wasza propozycja ma pewien sens. Ale emocjonalnie nie jest atrakcyjna. Póki żyjemy, to przynajmniej jesteśmy panami własnego losu. – Wyciągnęła rękę i dodała: – Nie mogę poprzeć tego planu. Przykro mi. – Wyłączyła mikrofon i usiadła.

Cholera.

Następny był pastor MacIntyre. Zastąpił Gerrolda na Nowej Zelandii po aferze ze SZLAG-iem. Był tylko trochę mniej wrogo nastawiony do mnie niż Gerrold. Przeprowadziłem dyskretne śledztwo, ale nie znalazłem przyczyny tej

antypatii. Chyba powinienem się pogodzić z faktem, że nigdy nie będę ulubionym replikantem na Nowej Zelandii.

– A jakie gwarancje nam dacie, że w ogóle nas obudzicie? – zapytał, nie siląc się nawet na jakieś wstępne uprzejmości.

No niech mnie szlag.

– Bo gdybym miał na to ochotę, to po prostu was bym tu zostawił, nie potrzebowałbym żadnych podstępów.

– Czyli teraz nam grozisz, tak?

Przewróciłem oczyma, tak by widziały to kamery.

Posiedzenie trwało jeszcze kilka godzin i zakończyło się wnioskiem, że potrzeba dalszej debaty na kolejnych sesjach, a tymczasem mamy kontynuować dotychczasowy plan.

Westchnąłem i zamknąłem okienko wideo. Ale głupi ci ludzie.

16. Wyprowadzka

Marcus, marzec 2215, Posejdon

Wściekły tłum stanął naprzeciwko pracowników ochrony.

– Nie macie prawa nie pozwolić nam wyjechać! – wrzasnął ktoś.

Oddział ochrony stał dokładnie pomiędzy nimi a zaparkowanymi fruwaczami. Nie do końca celowali w nich bronią, ale ta groźba wisiała w powietrzu.

Wyglądało na to, że Rada wreszcie się pozbierała. W parę minut od mojego ogłoszenia, że imigrantów przyjmuje czwarte napowietrzne miasto, Thark, pojawił się oddział ochrony i odgrodził ludzi od fruwaczy.

Spodziewałem się, że w końcu jakoś zadziałają, choć dochodzili do tego dużo wolniej, niż się po nich spodziewałem. No i dobrze. Czas na fazę 2.

Za plecami tłum, naprzeciwko oddziału ochrony, wylądowało sześć dronów transportowych. Ja podniosłem swojego drona obserwacyjnego na tyle wysoko, żeby mnie dobrze widziano i słyszano, poleciłem dronom otworzyć drzwi ładowni i obwieściłem:

– Autobusy do Thark podstawia się na stanowiska. Proszę zajmować miejsca od tyłu.

W ciągu paru sekund tłum zapakował się do dronów. Ochrona zgrzytała zębami, paru zrobiło ruch, jakby chcieli podnieść broń. Ich przywódca warknął rozkaz i przestali.

Wpuściłem powietrze. Nawet nie wiedziałem, że wstrzymałem oddech. Mimo całej swojej brawury zdawałem sobie sprawę, że jadę po bandzie. Gdyby Rada postanowiła mnie sprawdzić, ludzie mogliby zginąć albo zostać ranni. I to byłaby moja wina.

Teraz jednak zaludniłmy już cztery miasta i nie doszło do żadnej przemocy. Powstał swego rodzaju precedens.

Jest bardzo prawdopodobne, że za chwilę zadzwoni do mnie radny Brennan.

Riker wskoczył mi do VR-ki.

– Właśnie się nasłuchiwałem od Rady Posejdona. Podżegasz do rewolucji, co?

Pokiwałem głową na boki i machnąłem, by usiadł. Riker opadł w fotel, przyjął kawę od Jeevesa i spojrzał na mnie w milczeniu, uniósłszy brew.

– Daj spokój, Will, ty wiesz, co oni robią? Utrudniają podróże, korzystanie z fruwaczy, narzucają pracę, miejsce zamieszkania...

– Marcusie, to jest nietypowa sytuacja. Posejdon ma miejsca, ile tylko chcesz, o ile jesteś rybą.

Zbyłem to machnięciem ręki.

– Rozumiem sytuację niedoboru, ale oni tak do tego nie podchodzą. W ogóle nie mówią „jedziemy na tym samym wózku”. Po prostu ogłaszają zarządzenia i masz robić, co ci każą, bo inaczej... A „inaczej” obejmuje konsekwencje od utraty uprawnień, przez areszt domowy, aż po więzienie. Jeśli jest coś głupszego niż więzienie, kiedy potrzebujesz wszystkich rąk do pracy, to ja o tym nie słyszałem.

Will westchnął.

– No dobra, stary. Poza protokołem to ja się z tobą zgadzam. I czytałem na twoim blogu o podsłuchiowaniu, co zbulwersowało mnie tak samo jak ciebie. Ale oficjalne stanowisko Rady jest takie, że zakłócasz plany rozwoju planety.

Przewróciłem oczyma.

– Oczywiście, że zakłócam. O to właśnie chodzi. Ale... – Uniosłem palec jak wykładowca. – Czego nie robię? Nie psuję im harmonogramu. Przenoszenie ludzi do napowietrznych miast szybciej rozprasza populację, szybciej wyprowadza ludzi z dywanów, szybciej rozwija technologię... Planeta pełna latających miast byłaby idealną sytuacją. Jak się zastanowić, to samo można by osiągnąć z pływającymi miastami. Ale Rada specjalnie buduje je powoli i tylko do celów komercyjnych i przemysłowych, mieszkalnictwa w ogóle nie ma na priorytetowej liście. Nie chcą dopuścić, żeby ludzie rozleźli im się po dziesiątkach niezależnych miast, bo wtedy nie będą w stanie ich kontrolować.

– Nie wiem, jak to się stało, że do władzy doszła banda reakcjonistów. W ogóle to nie pasuje do stereotypu luźnego mieszkańca tropikalnej wyspy. Sharma nigdy by do czegoś takiego nie dopuściła.

Westchnąłem.

– Efemerydy, Will. Umierają.

– Tylko nie mów tego przy Billu.

– No tak, wiem. – Wstałem i zacząłem chodzić w kółko. – Posłuchaj. W skrócie: nie robię niczego nielegalnego ani niemoralnego. To tak jak Howard i ta jego gorzelnia. Cranston się wkurzył, ale to zupełnie normalne komercyjne

przedsięwzięcie. – Odwróciłem się do Willa. – A w ogóle to nie ty byłeś jednym z typów, co pomogły wywalić Cranstona, bo nie podobała ci się jego polityka?

Will wyszczerzył zęby.

– Nie zrobiłem tego, nikt mnie nie widział i nic nie możesz mi udowodnić.

– No to ja jestem trochę mniej dyskretny. Ale problem jest ten sam: jak współpracować z rządem, który według nas robi źle według podstawowych moralnych kryteriów?

– Dobra, Marcus. Porozmawiałem z tobą, a o to właśnie prosiła mnie Rada. – Will wstał i zasalutował mi. – Tylko nie dopuść, żeby ktoś zginął, dobra? – I nie czekając na odpowiedź, zniknął.

No pewnie. O to właśnie chodzi, nie?

Wzdychając, otworzyłem najnowsze raporty. Dwa kolejne miasta prawie gotowe do zasiedlenia. Kal zebrał uwagi pierwszych mieszkańców i opracował szereg sugestii dla kolejnej ich generacji. A Thark było pełne i w pełni funkcjonujące.

Wszystko to dobrze wyglądało. Ale wcześniej czy później Rada wymyśli sobie jakąś strategię i zacznie ją wdrażać. Nie do końca udało mi się powstrzymać złe przeczucia.

17. W drodze Ikar, styczeń 2232, przestrzeń międzygwiezdna

Wyrażenie „pustka wewnętrzna” nabiera całkiem nowego znaczenia, gdy jest się pomiędzy układami gwiazdnymi. Tkwiłem pośrodku sfery pustej przestrzeni, gdzie przez dosłownie lata świetlne nie było niczego poza sporadycznymi samotnymi atomami wodoru. Przez niebo ciągnęło się Ramię Oriona Drogi Mlecznej, poopisywane etykietkami z odległościami, odczytami i pozycjami miejscowych atrakcji turystycznych.

Następna stacja benzynowa: sto bilionów kilometrów. Parsknąłem śmiechem na tę myśl.

– Sprawdzam status?

Uniosłem wzrok, gdy zadzwonił Ded. Jak zawsze idealnie o czasie. Bo czemu nie? Ja nie wypominałem mu jego tików nerwowych, on nie śmiał się z mojego dookólnego planetarium.

Zanim odpowiedziałem, wróciłem do biblioteki i otworzyłem stronę z obliczeniami.

– Wszystko na zielono.

– τ masz trochę niskie.

Zerknąłem na liczby.

– Siedziałem trochę przed tobą. Musiałem minimalnie zmniejszyć przyśpieszenie.

– Lepiej by było, gdybyś bardziej wydłużył swoją krzywą. Musimy być zsynchronizowani.

– Jasne. Ale mam na to jeszcze kupę czasu.

– Niby tak. À propos, jak tam idą obliczenia?

– A tak sobie... Na razie nie mogę znaleźć żadnego definitywnego rozwiązania. Ale przecież nikt tego wcześniej nie robił, prawda?

Dedał zachichotał.

– No raczej. Ale ustaliłeś maksymalne bezpieczne τ ?

- Pewnie – odparłem. – Ale to chyba aż za duży margines bezpieczeństwa.
- „Za duży margines” mnie w sumie pasuje.

Usłyszałem uśmiech w jego głosie.

– Mnie też, Ded. Jak i wszystkim Bobom. I znamy to τ . Albo będziemy znać, zanim je osiągniemy. Czyli według naszych subiektywnych zegarów niedługo. – Uśmiechnąłem się. – Wygląda na to, że zapiszemy się w Księdze Rekordów Bobiwersum. Najwyższe τ osiągnięte statkiem *Niebo*.

- O, no. Myślisz, żeby lecieć do jądra galaktyki?

To z kolei rozśmieszyło mnie.

- No wiesz, jak skończymy...

- ...o ile to się uda...

- Tak, tak. Ale to nie jest zły pomysł.

Chwila ciszy.

– Wiesz, Iki, chciałem się z ciebie śmiać. Ale... jak dłużej o tym myślę... to naprawdę, co nas tu trzyma?

- *Homo sideria*, stary. Może pora się do nich przyłączyć.

Dedał pojawił się w VR-ce, z kawą.

– Albo w ogóle to zapoczątkować. Nawet Mario tak naprawdę nie opuścił naszego obszaru. Chyba nikt jeszcze się nie łąpie na tę nazwę.

Przywołałem dla niego leżak, jego ulubiony mebel do siedzenia, a dla siebie zmateriałizowałem kawę.

- Nie myślisz, że my jako grupa jesteśmy trochę bojaźliwi?

- Nie. Po prostu lubimy swoje nawyki. I strefę komfortu.

Kiwnąłem głową, powoli, stopniowo uśmiechając się coraz szerzej.

- To jak, ty się piesz?

- A czemu nie, kurna?

Uniosłem filiżankę do toastu.

- Do Strzelca A Gwiazdka! I żeby nie zesmażył nas na frytki.

Ded zrobił okrągły gest ręką.

- Tylko dowieźmy ten towar.

18. Przylot do 82 Eridani

Mack, październik 2220, 82 Eridani

Miałem niesamowite szczęście, że akurat przygotowywałem się do odlotu formacją statków-kolonii, gdy zbadano układ 82 Eridani. Głosowanie kolonistów za zmianą kierunku było tylko formalnością. Odbyło się zapewne najbardziej jednostronne głosowanie w historii Ziemi, przed czy po wojnie.

I teraz, dwadzieścia pięć lat później, dolecieliśmy. Trzy statki-kolonie, dwa z Wyspy Vancouver i jeden z Japonii, mieściły pierwsze istoty ludzkie mające zasiedlić ten układ.

Wewnętrzna z dwóch nadających się do zamieszkania planet przypominała Wenus z dawnych pulpowych powieści – gęsta, nieprzenikniona dżungla, ciężkie chmury, mgła i wielkie, żarłoczne zwierzęta. Zewnętrzna była chłodniejsza, o klimacie głównie stepowym. Ale miała także o siedem procent większe ciśnienie niż Ziemia. Drugie pokolenie się przystosuje. Pierwsze przez resztę życia będą boleć nogi.

Do zamieszkania nadawał się także największy księżyc zewnętrznej planety. Ledwo. Wymagałby solidnego podkręcenia ciśnienia atmosferycznego. Ale dzięki latom badań oraz, szczerze mówiąc, rozpieprzania środowiska na Ragnaröku Bill miał już gotowe rozwiązania. Za pięćdziesiąt lat mogliśmy mieć atmosferę o ziemskiej gęstości.

Sprawdziłem punkty L4 każdej z planet, szukając składowiska surowców, które według notatek zostawił nam Verne. I oczywiście, było tam parę milionów ton najrozmaitszych pierwiastków, opatrzonych radiowymi bikonami, gotowych do rozpoczęcia fabrykacji. Fantastycznie.

Dobra, czas się zgadać. Pingnąłem statki-kolonie i zaprosiłem je do mojej VR-ki. Pojawili się Isaac, Jack i Owen. Ta grupa nie miała jakiegś szczególnego motywu tematycznego w VR-ce i wszyscy trzej nosili proste zestawy dżinsy plus koszulka. Pierwszy Bob zawsze był typem raczej koszulowym, więc zaskakująca była ta sama odmiana jednocześnie u trzech klonów. Ktoś będzie musiał kiedyś zrobić jakieś badanie i sprawdzić, czy w tych różnicach pomiędzy klonami zachodzi jakaś prawidłowość.

– Cześć, Mack – powiedział Isaac. – Jak sytuacja?

– No, materiał, który zostawił nam Verne, jest na miejscu. I układ na razie wygląda na bezmedeirosowy, co też jest plusem.

Rozstawiłem w powietrzu hologramy oraz tabele z danymi trzech planet i odwróciłem się do pozostałych Bobów.

– Trzeba je ponazywać. Ludzie przeważnie akceptują nazwy, które my nadajemy, a jak zostawi się to im, to... na nazwę dla Klaunomobila nadal czekamy.

– A to nie miał być *Patchwork*? – zapytał z uśmiechem Jack.

– Może tak się stanie po prostu przez potoczne użycie, ale oficjalna nazwa to dalej Klaunomobil, póki oni się nie dogadają.

Jack machnął niezainteresowany ręką.

– Patrząc na zdjęcia, propozycja Owena, „Walhalla” dla księżycy trójki wydaje się całkiem niezła. Możemy to już ustalić?

Rozejrzałem się. Wszyscy kiwnęli głowami.

– Ok, jest Walhalla – powiedziałem. – Mnie też się podoba. Teraz pierwsza?

– Asgard?

– Trochę wieje banałem, nie sądzisz? – Łypnąłem spode łba na Jacka.

Wzruszył ramionami nieskruszony.

– Ja tam lubię, jak jest motyw przewodni.

Nikt poza mną nie miał z tą nazwą problemu, więc wzruszyłem ramionami.

– Tymczasowo może być. Teraz dwójka?

– Tartar?

– No super, jeśli chcemy, żeby nikt tam nigdy nie zamieszkał.

Jack wyszczerzył zęby i znów wzruszył ramionami.

– No to jak mamy się trzymać motywu, to Muspelheim.

– E, to brzmi jak jakaś wysypka czy coś – przerwał Isaac.

Roześmialiśmy się.

– Jotunheim?

Popatrzyliśmy na Owena.

– Kraina olbrzymów – stwierdziłem. – W sumie pasuje.

– I do reszty też! – zawołał Jack.

– Dobra, głosujemy. Kto za, kto przeciw? – Uśmiechnąłem się do wszystkich.

– Przeszło. Mamy tu mitologię skandynawską.

Usiadłem i wziąłem sobie colę.

– Ok. Pobawiliśmy się chwilę, a teraz poważne sprawy. Jak rozwiążemy to osiedlanie?

– Obudzimy po przedstawicielu każdej kolonii i niech decydują. – Isaac machnął dłonią ku hologramom. – Na Asgardzie i Jotunheimie jest tyle miejsca,

że mogą spokojnie wszyscy wybrać jedną planetę.

– Hmm. Planeta Dżungla, Planeta Ciężka, Planeta Nie Ma Czym Oddychać. Świetnie będzie.

Katsu Ito, przywódca japońskiej enklawy, był intelektualistą po Harvardzie, który znalazł się u władzy, mimo że robił wszystko, żeby tego uniknąć. W każdym razie tak to tłumaczył. Teraz obejmował kubek z kawą w mesie *Exodusu-43*. Ja wydrukowałem sobie androida z planów Howarda i siedziałem naprzeciw niego, czekając, aż będzie w stanie się skupić.

Uniósł na mnie wzrok, wciąż nie do końca zogniskowany. Przechylając nieznacznie głowę, powiedział:

– Nie jesteś na wideo. Ale wyglądasz jak Riker. To jak to...?

Uśmiechnąłem się do niego.

– Android, proszę pana. Technologia idzie do przodu. Jestem Mack, replikant, którego zadaniem było eskortowanie statków-kolonii do 82 Eridani.

Christie Campbell, przywódca enklawy z Wyspy Vancouver, dzierżyła kubek z herbatą rumiankową. Poświęciłem chwilę na zdziwienie. Kapsuły tak naprawdę nie zamrażały ludzi. Nie mieli powodu, by marznąć ani się rozgrzewać. Ale po wybutłowaniu zawsze chcieli przytulić kubek z czymś ciepłym. Dziwna sprawa.

Spojrzała na nas jednym okiem, wyraźniej w gorszym stanie niż Katsu.

– Wniosek, panie Ito, jest taki, że przylecieliśmy i trzeba podjąć pewne decyzje.

– Dokładnie, ser Campbell – potaknąłem. – Przygotowałem dla was podsumowanie sytuacji, które możecie przeczytać, póki się grzejecie. I pogadamy za jakąś godzinę, dobrze? – Skinąłem jeszcze raz głową, wstałem i wyszedłem. Mogłem się po prostu wyłączyć na ich oczach, ale uznałem, że takie nachalne demonstrowanie sztuczności nie będzie politycznie korzystne.

Wróciłem godzinę później i zastałem dwoje przywódców kolonii pogrążonych w dyskusji. Unieśli głowy, kiedy usiadłem.

– Podjęliście już jakieś decyzje?

– Sądę, że tak – odpowiedziała ser Campbell. – Kontyngent kanadyjski osiedli się na Asgardzie. Akceptujemy pierwsze rekomendowane przez ciebie miejsce. – Odwróciła się do pana Ito i skłoniła głowę, oddając mu głos.

Mówiąc, uśmiechał się ze skrepowaniem.

– My zasiedlimy drugą planetę i zgadzamy się na rekomendowane miejsce, bardziej na północy, gdzie ekosystem nie jest tak przytłaczający. Jednak ta nazwa...

Uniosłem brwi.

– Jotunheim? Brzmi, jakby ktoś kichał. – Pokręcił głową. – Tak być nie może. Wolimy „Takamagahara”.

Szybko zajrzałem do bibliotek. W niecałe pięć milisekund znalazłem definicję.

– Miejsce, gdzie mieszkają Kami. Ładnie. I być może pasuje. Ale zachodniacy będą to skracać do Takama. Od razu mówię.

Wyszczrzył zęby.

– Ryzyko do przyjęcia.

– Dobra. Załatwione. – Odpowiedziałem uśmiechem. – Ale Jack się wkurzy. Motyw przewodni poszedł się walić.

Jack wskoczył mi do VR-ki, przywołał fotel z podnóżkiem i padł na niego.

– Aaaa! Cholerne człowieki! Stękają, mendzą, niewdzięczni! Złe człowieki!

– Co znowu?

– Okazało się, że dżungle na Takamie śmierdzą. I to nie jest taki sobie pierwszy z brzegu smród. Podobno to taki smród, że chcesz wrócić z powrotem na Ziemię. A na Asgardzie jest za mocne ciążenie. Co za niespodzianka. Ale to oczywiście nasza wina, źle ustawiliśmy ten suwaczek od grawitacji. A słońce jest za jasne, chmury za ciemne, owady zbyt owadzie, wzgórza zbyt górzyste.

– Przesadzasz.

– Może. Trochę. – Usiadł prosto i potarł twarz dłońmi. – Przypomnij mi: po co my to robimy?

– Bo jesteśmy dobrzy i opiekuńczy?

– Chyba ty.

Wyszczrzyłem się do niego.

– Właściwie, Jack... to mi przypomina jedną rzecz. Dexterowi świetnie idzie na Wulkanie i Romulusie, bo skupił się na tym, żeby osadnicy byli jak najbardziej niezależni. Dał im kontrolę nad grupami drukarek, dopilnował, żeby

mieli własne transportowce, tego typu rzeczy. Może powinniśmy od razu iść w tę stronę?

Jack wzruszył ramionami.

– To bardziej twoja decyzja. Nasza trójka odlatuje, jak tylko wyładujemy wszystkich kolonistów. To ty będziesz się tu musiał z nimi użerać.

– Hmm. No dobra. To małymi krokami.

Ser Campbell nie była rozbawiona. Dobra, zapamiętać: w przyszłości nie próbować żartów.

– Bardzo dobrze. Co dokładnie chcecie, żebym zrobił z tymi komarami?

– Przy tych latających wampirach komary to pikuś. Byłoby nieźle, gdyby zdychały po ukąszeniu kogoś, ale niestety ludzie są na oko biozgodni. Na pewno da się coś z nimi zrobić?

Kupidynki na Wolkanie, ohydki na Klaunomobilu i Super Turbo Wampiry tutaj. Wyglądało na to, że wszechświat ma pewne motywy, które lubi wykorzystywać wielokrotnie. Wspaniale.

– Pani rozumie, że jeśli je zlikwidujemy, to będzie miało wpływ na ekologię?

– Mam to gdzieś. Sama mam trzy ukłucia, przez które nie mogę w nocy spać, i szczerze powiem, że gdybym mogła wytłuc młotkiem wszystkie te... stwory...

Musiałem przyznać, że ze wszystkiego, czego mi nie brakowało z biologicznego życia, komary były bardzo wysoko na liście.

– Rozumiem. Dobrze. Wydaje mi się, że uda mi się zaadaptować tępiciele kupidynków Howarda do czegoś trochę mniejszego.

Ser Campbell kiwnęła głową wyraźnie uspokojona.

– Bo z grawitacją to raczej nic nie zrobicie, prawda? – Rzuciła mi przelotny uśmiech.

– Niestety. – Zachichotałem. – Wbrew plotkom nie mamy takiego suwaczka.

Westchnęła i skinęła głową.

– Ser Ito opisał smród Takamy tak elokwentnie, że nie proponowałabym naszym obywatelom przeprowadzki. Jednak, kiedy dostępna będzie Walhalla, możemy mieć liczną emigrację.

– Hmm, no tak, ciążenie 0,8 g to byłaby znaczna ulga. Ale to będzie za jakieś pięćdziesiąt lat. Waszym dzieciom status quo może bardziej odpowiadać.

Pokiwała głową. Pożegnaliśmy się i rozłączyliśmy. Zajrzałem w archiwa i zaraz znalazłem zrobione przez Howarda plany dronów do niszczenia pasożytniczych kupidynków. Dałoby się je zminiaturyzować do czegoś mniej

więcej rozmiarów osy. Poślałem plany w kolejkę drukarki, czując coś w rodzaju ulgi. Kolejna rzecz z głowy.

19. Miasta pod ostrzałem

Marcus, wrzesień 2215, Posejdon

– Zrobili to! Naprawdę to zrobili! – Vinnie, pędząc ku mnie, wymachiwał telefonem jak bronią. Nie był imponującej postury, ale w trybie „wściekłego marszu” udawało mu się wyglądać jak moloch nie do zatrzymania.

– A „to” oznacza...? – Kal podniósł wzrok znad tabletu, gdzie dopracowywał szczegóły konstrukcji nowego systemu poławiania ryb.

Siedzieliśmy w kilkanaście osób na trawiastym pierścieniu na obrzeżu latającego miasta Amhor. Większość mieszkańców mogących pracować zdalnie robiła to z leżaków czy nawet koców. Układy cyrkulacji powietrza były bardzo starannie zaprojektowane, tak by pod kopułą zawsze był przyjemny wiosenny dzień – pomagało też to, że fibreks nie powodował efektu cieplarnianego jak tradycyjne szkło.

Życie było straszne, ale staraliśmy się jakoś znosić ten ciężar.

Vinnie rzucił się na trawę i cisnął telefon na pobliski stolik.

– Rada oskarżyła nas o dezercję i zabroniła wszelkich kontaktów z nami. Konfiskują wszystkie zasoby posiadane przez wszystkich mieszkańców miasta, na których są w stanie położyć łapę. I wydali nakazy aresztowania.

Nie było to zbyt niespodziewane. Właściwie to stało się miesiąc później, niż na początku szacowaliśmy. Rada, jeśli miała trochę rozumu, powinna starać się wyrwać zęby największemu zagrożeniu dla swojej władzy – mnie. Jak najszybciej. Sprawdziłem swoje dane i rzeczywiście – zostałem odcięty od kanałów bezpieczeństwa, monitoringu i ochrony kolonii.

No, jaka szkoda. To oznaczało, że już nie będę mógł poświęcać czasu na monitorowanie dla nich różnych rzeczy, naprawianie dla nich różnych rzeczy, zarządzanie dla nich różnymi rzeczami... buuu... Wyszczrzyłem się, a Kal popatrzył na mnie pytająco.

– Wygląda na to, że mnie zwolnili. – Wzruszyłem ramionami. – I dobrze, nie będę musiał sam rzucać papierami.

– I co zrobisz? – zapytała jedna ze specjalistek od planowania, blondynka imieniem Freida.

– Nic – odparłem. – Przez ostatnie dwa miesiące prowadziłem dialog z Radą. Powiedziałem im jasno, że my, a zwłaszcza ja, nie strzelimy pierwsi. I także, że jeśli oni spróbują postawić na swoim przez wojnę czy walkę, będą mieli przeciwko sobie całe Bobiwersum. Więc niespecjalnie spodziewam się, że będą strzelać. Raczej manewry prawne i groźby.

– I sankcje ekonomiczne. Odcięli cały handel i wszystkie kontakty. – Kal wzruszył ramionami.

– Czyli co właściwie odcięli? – Denu podparł się łokciem i spojrzał na Kalę, unosząc brew. – Mamy jedną trzecią ludności planety, ale produkujemy połowę kalorii w żywności. Większość specjalistów technicznych przeniosła się do miast w pierwszym miesiącu. Produkcja jest poza planetą, więc mamy do niej tak samo dobry dostęp jak oni...

– To może nie być do końca prawdą – wtrąciłem.

Wszyscy spojrzeli na mnie.

Wzruszyłem ramionami.

– Kiedy rozmawialiśmy, sprawdzałem statusy. Radzie udało się zgromadzić wszystkie zasoby surowcowe w punktach Lagrange’a. – Spróbowałem machnięciem ręki pokazać ten obraz, ale przypomniałem sobie, że nie jestem w VR-ce, więc tylko wysłałem link na wszystkie tablety naszej grupy. – To chyba tłumaczy, dlaczego tak powoli działali – wykorzystywali czas na zebranie sił. Moje drony pokazują, że siły ochrony Rady zajmują strategiczne pozycje wokół tych złóż. I jeszcze – dodałem, kręcąc głową – wygląda na to, że położyli łąkę także na autofabrykach w punktach Lagrange’a.

– I Bobowie przejdą nad tym do porządku dziennego? – Kal łypnął na mnie.

Zaśmiałem się w odpowiedzi.

– No wiesz, w tym układzie „Bobowie” to ja, więc to nie jest zbyt wielkie zagrożenie. Mam niszczycele statków, ale one przydają się tylko w otwartej wojnie. Mam trochę szopów, ale nie chciałbym ich poświęcać na partyzantkę. Mam swoje drukarki, ale zrobienie nowej autofabryki zajęłoby trochę czasu, a jeszcze więcej – powrót do wydobywania.

– Czyli mamy przerąbane?

– Przez chwilę tak, w ich oczach. Ale też wiedzą, że zaraz wszystkie zasoby sobie odbudujemy. Muszą nas spacyfikować, zanim to zrobimy.

– Jak?

Wzruszyłem ramionami.

– Odcięcie zasobów, co już zrobili; odcięcie źródeł żywności, co im się wydaje, że mogą zrobić; odcięcie nas od wszystkich zasobów w kosmosie – jestem zdziwiony, że jeszcze tego nie...

W tym momencie urwał się sygnał od mojego wabika.

– Cholera. Jednak to zrobili.

Wszystkie głowy odwróciły się do mnie. Wzruszyłem ramionami i uśmiechnąłem się krzywo.

– Właśnie mnie wysadzili!

20. Życie

Howard, czerwiec 2219, HIP 14101

Wreszcie.

Dron leciał sobie przez górną-średnią warstwę chmur Odyna, całkiem nonszalancko, jak gdyby stado jego poprzedników nie spadło w dół w płomieniach przy próbie osiągnięcia czegoś podobnego. Odyn był trochę mniejszy od Saturna, ale o wiele bardziej aktywny meteorologicznie, ze względu na bliskość swojej gwiazdy. Takie środowisko bardzo utrudniało zaadaptowanie do niego drona z napędem SURGE.

Gdy sunął przez atmosferę, uważnie obserwowałem wszystkie odczyty. Atmosfera nie była może bardzo żrąca, ale w każdym razie bardzo aktywna chemicznie. Dużo możliwych reakcji egzotermicznych dawało mi nadzieję, że znajdę coś, co można będzie nazwać życiem.

Nie miałem pojęcia, czy cała ta praca w ogóle się opłaci, było to jednak bardzo interesujące. Widok z drona był niezrównany. W miejscach bez chmur sięgałem wzrokiem na setki kilometrów w głąb, gdzie kolorowe organiczne masy tworzyły ogromne chmury. Układ warstwowy był od razu widoczny – atmosfera Odyna miała silną stratyfikację, zarówno równoleżnikową, jak i wysokościową.

I nagle to zobaczyłem – grupa punktów, daleko przede mną, na oko lecąca w szyku. Wycelowałem drona w tamtą stronę. Zbliżywszy się na parę kilometrów, widziałem już, co to takiego – olbrzymie sterowce otoczone mackami.

Nie było wątpliwości, że są żywe. Nie do końca przypominały sterowce, nie do końca meduzy i nie do końca kalmary. Były dziwaczną mieszaniną wszystkich trzech. Jakies pięćdziesiąt metrów długości, macki – ich dokładna liczba zmieniała się u poszczególnych osobników. Poruszały się jak ławica.

Ławica nie zareagowała obronnym odruchem na drona, zapewne był o wiele za mały, by stanowić zagrożenie. Okrążyłem je kilkanaście razy, a każdy osobnik śledził mój lot czymś, co mogło być okiem na słupku.

Odczyty drona w końcu weszły daleko na czerwone pole, tak że musiałem przestać i ściągnąć go z powrotem – sekcje zwłok dronów wciąż stanowiły istotną część tego projektu, a ten akurat model okazał się wyjątkowo udany. Kiedy podlatywał do mojego położenia na orbicie, ja w kółko odtwarzałem nagrania wideo.

W końcu wyłączyłem je i wpatrzyłem się w przestrzeń, a na mojej twarzy powoli pojawił się uśmiech. Bridget będzie zachwycona. Żaden biolog by się nie oparł.

– To jest... niewiarygodne! – Po obejrzeniu wideo Bridget chyba na zawsze dostała oczu jak spodki. – Zdecydowanie są żywe. Są oparte na węglu? Na DNA?

– Prawdopodobnie. Kto wie? – Uśmiechnąłem się do niej z okienka w rogu tabletu. Nie chciałem tracić czasu na uruchamianie Manny'ego, więc po prostu zadzwoniłem.

– Rany, Howard. I masz całą wieczność na ich badanie...

– Ty też byś mogła mieć.

– Howard... – Łypnęła na mnie z wyrzutem.

– Przepraszam, Bridge. Wiem, obiecywałem. Wymknęło mi się.

Odpowiedziała jednym ze swoich patentowych atomowych uśmiechów, po czym odwróciła się z powrotem do nagrania.

– Strasznie bym chciała je zobaczyć.

– Twoje życzenie zostanie spełnione. Zaraz będę.

Uniosła brew.

– Howardzie, jesteś jakoś podejrzanie dobrze przygotowany. W coś mnie wkręcasz?

Wyszczerzyłem zęby, mrugnąłem do niej i się rozłączyłem.

Bridget oglądała trzymane w dłoniach urządzenie – lekki hełm z wbudowanymi czujnikami, zintegrowanymi goglami i słuchawkami. Na stoliku przed nią leżała para bardzo technologicznie wyglądających rękawic.

– I co się stanie, kiedy to założę? – zapytała, unosząc brew.

– No wiesz, to był szczyt techniki w branży gier wideo, tuż przed tym, jak WIARA rozdeptała całą tę branżę. Pełnoimersyjna wirtualna rzeczywistość, czy raczej jej dwudziestopierwszowieczna wersja. Znalazłem plany w bibliotece i ci to wydrukowałem.

– I co się stanie, kiedy to założę? – powtórzyła.

– Będziesz mogła mnie odwiedzić. I lepiej się przyjrzyć życiu na Odynie.

Kiwnęła głową, naciągnęła rękawiczki i nasunęła hełm.

I wskoczyła do mojej VR-ki.

Uśpiłem Manny’ego i wróciłem do wirtualki. Siedziałem na plażowym leżaku i uśmiechałem się szeroko, gdy powoli się obracała, chłonąc scenerię. Awatara Bridget zrobiłem na podstawie obrazów z czasów, kiedy się poznawaliśmy i kiedy zobaczyłem, jak stoi obok mnie, znów młoda, poczułem niemal fizyczny szok.

Wstałem i podszedłem do niej.

– Interfejs jest oczywiście bardzo ograniczony. Nie masz pełnej interakcji... ale da się podnosić przedmioty albo poczuć, że trzymam cię za rękę... – ująłem ją za rękę – ...i poruszać się, używając interfejsu gry.

– Dobra. Pokazuj tego Odyna.

Wyświetliłem wszystkie wideo i pliki z danymi, jakie zgromadziłem. Bridget aż się zatchnęła i wytrzeszczyła oczy. Podeszła do nich i zaczęła przesuwać obrazy i przewijać dane. Poczułem zadowolenie, że nasz interfejs użytkownika jest tak ewidentnie intuicyjny, lecz oczywiście Bobowie mieszkali w nim i ulepszali go od jakichś stu lat.

– Inwentaryzowałem to wszystko – powiedziałem. – Niesamowicie zróżnicowany ekosystem. Ma odpowiedniki roślin, budujące substancje organiczne ze światła i surowców; ma zwierzęta, które zjadają rośliny i inne zwierzęta.

Bridget oderwała się na moment, uśmiechnęła się do mnie i wróciła do materiałów. Cały czas coś mamrotała – ekspertka pogrążona w swojej specjalności.

Usiadłem i patrzyłem, jak pracuje. Oprócz radości czułem też niewyraźne poczucie winy. Bo tu tak naprawdę nie chodziło o życie na Odynie. Mogłem jej wysłać te materiały mailem. Obiecałem, że nie będę jej męczył o replikację. Ale mnie też było stać na prawnicze sztuczki. Nie mogłem nic mówić, ale przekonywanie pozawerbalne było dozwolone.

Wreszcie Bridget zauważyła swoje dłonie. Stanęła, zbadała je uważnie. Potem chwyciła pukiel włosów i podsunęła je pod oczy. Odwróciła się do mnie z urażoną miną.

– Howardzie, naprawdę? To nieczysta gra.

– Po prostu, żeby było sprawiedliwie. Ja tu stale mam trzydzieści jeden lat. Poza tym ja tak właśnie cię widzę. I zawsze będę. Nie ma tu żadnych niecznych intencji.

– Zły z ciebie człowiek, zły, zły. I podstępny. – Ton był pełen dezaprobaty, ale lekkiego uśmiechu nie mogła powstrzymać.

– Powtarzasz się...

Parsknęła śmiechem i obwiodła gestem otoczenie.

– I ta tropikalna plaża to też zbieg okoliczności, co?

– No przecież muszę coś mieć dookoła. Żałuj, że nie widziałas, co ma Marvin. To jest człowiek, który ma za dużo czasu.

Spojrzała na mnie z miną, którą trudno było mi sklasyfikować. Rozbawienie? Tęsknota? Czułość? Przynajmniej już nie uraza.

– Ładny jest ten twój świat, Howardzie. Ale kiedy wrócę do poprzedniego, dalej będę miała siwe włosy. – Pokazała ręką wideo. – A to mogłeś mi pokazać na monitorze na ścianie. Rozumiem twoje argumenty, ale nie życzę sobie tego. – Uniosła rękę do głowy i zniknęła z VR-ki.

Pośpiesznie włączyłem Manny'ego. „Obudziłem się” w salonie u Bridget, stojąc na baczność. Ona dopiero zdejmowała rękawice.

Nim zacząłem przeproszać, podeszła do mnie, objęła mnie i położyła mi dłoń na ramieniu. Przytuliłem ją i wszystko inne przestało się liczyć.

21. Powrót Bill, czerwiec 2223, 82 Eridani

Właśnie odwiedzałem Macka w 82 Eridani. Staralem się nadążyć za sprawami w różnych miejscach jednocześnie i mówiąc szczerze, potrzebowalem chwili wytchnienia. Inni właśnie skończyli „wydobycie” w świecie Pawonisów, a parę lat obserwowania ich techniki nie stępiło emocjonalnego wzburzenia.

Siedziałem w jednym z foteli ogrodowych i dmuchałem na kawę, żeby wystygła. Okazało się, że Mack lubi rytuał związany ze studzeniem kawy, by nadawała się do picia. Mogłem ją sobie po prostu zmodyfikować, ale to by było niekulturalne.

Mack upił łyk własnej kawy i wrócił do raportu.

– Nieźle to wygląda. Kanadyjska kolonia na Asgardzie dobrze sobie radzi – nawet lepiej, odkąd opanowano komary-wampiry.

– Superkomary-wampiry-mutanty – poprawilem go.

– Super-turbo-zmutowane-komary-wampiry – uzupełnił. – Serio, Bill, Pierwszy Bob uciekłby stamtąd z krzykiem. Pamiętasz, jak nasza skóra reagowała nawet na najmniejsze ukłucia?

– No. Tak. Wrażliwa nordycka skóra. – Uśmiechnąłem się szeroko. – Jak myślisz, czemu nie prosiłem o zdjęcia?

Mack pokiwał głową, wciąż uśmiechnięty.

– W każdym razie eksterminatory komarów to chyba najpopularniejsze automaty w Nowym Vancouver. Wystarczy, że powiem „eksterminator komarów”, i od razu mi zatwierdzają do drukowania.

– A skoro już jesteśmy przy niedogodnościach, to jak sobie radzi ze swoim nietypowym problemem japońska kolonia?

Roześmiał się.

– Oczywiście starannie nie wypowiadasz nazwy słonia w pokoju? Bardzo śmierdzącego słonia? – Poruszył brwiami. – A może po prostu czegoś, co słoń po sobie zostawił?

– Tak, o to chodzi. – Zachichotałem. – Naprawdę, nie mogą się do tego przyzwyczaić?

– To jest sezonowe i zależne od pogody, wiatru... Okazało się, że ta roślina jest powszechna na bagnach, które są wszędzie. Taka miejscowa wersja skupnika cuchnącego, ale o wiele mocniejsza.

– I co oni chcą z tym zrobić?

– Proponowali bombki atomowe – rzucił z kamienną twarzą Mack.

– Serio?

– Serio pewnie nie, ale padła taka propozycja. Sprawdziłem raz androidem, chciałem się przekonać na własne oczy, znaczy nos. Powiem ci tyle: masakra. Zaraz wyłączyłem czujniki węchowe.

– A bardziej realistycznie, co mogą zrobić?

Wzruszył ramionami.

– Osuszyć bagna, opracować coś, co wybije te rośliny, wyhodować mniej śmierdzącą wersję, która wyprze tę dziką... oraz atomówki.

Pokręciłem głową.

– W to się nie mieszaj... po prostu nie.

– Z miłą chęcią. – Mack uśmiechnął się szeroko. – I tak jestem za bardzo zajęty przemysłem orbitalnym. Verne zgromadził w punktach Lagrange’a masę surowców, ale przy dwóch wielkich koloniach i sprzęcie do terraformacji na Walhalli... – Wzruszył ramionami. – Szybko mi schodzą. Rozpuściłem drony i szopy po układzie, żeby znalazły jeszcze...

W połowie jego zdania wylądowałem we własnej VR-ce.

– Gupik, co się stało?

[Łącze z drugim statkiem przerwane. Brak sygnalizacji zakończenia połączenia.]

Co za cholera?

Spróbowałem wywołać Macka, ale na próżno.

– Gupik, spróbuj wszystkiego, co masz. Jakakolwiek łączność z Mackiem czy czymkolwiek w jego okolicy.

[Tajest.]

Odczekałem parę denerwujących milisekund. Co go mogło tak załatwić? Może to tylko problem z łącznością?

[Nawiązano połączenie UNOP z paroma pokładowymi szopami. Statek poważnie uszkodzony, replikant wyłączony.]

– Co takiego? Daj mi któregoś z nich.

Gupik rzucił mi łącze, wszedłem do szopa.

I wpatrzyłem się zszokowany w pustą przestrzeń – przez wielki otwór w burcie statku Macka. Unosiły się w nim odłamki metalu i części, odbijając się od ścian i innych śmieci.

Jak to się mogło stać?

Na myśl od razu przyszli mi Inni. Czyżby wysłali tu ekspedycję, żeby się czegoś o nas dowiedzieć? Nie, to się nie trzymało kupy. O tym układzie nie wiedzieli.

Nagle, ruch. Jakaś sylwetka poruszyła się na tle gwiazd. Przepuściłem parę kadrów z wideo z szopa przez analizę obrazu i udało mi się wyekstrahować kontur.

Medeiros. Dziad musiał podlecieć bez napędu do Macka i strzelić w niego z bliska pociskiem.

Nie było jednak czasu się wściekać. Wyszedłem na chwilę z szopa, podkręciłem sobie zegar na maksa i zastanowiłem się nad sytuacją.

Dwie milisekundy później wróciłem do normalnego czasu i wysłałem do wszystkich Bobów wiadomość o najwyższym priorytecie.

– *Medeiros w układzie 82 Eridani. Mack zabity. Potrzeba Bobów, żeby zlokalizowali i podłączyli się do wszystkich dostępnych MSI. Koordynacja przez mojego Gupika.*

– Gupik, inspekcja i inwentaryzacja. Przygotuj raport o stanie statku Macka.

[Tajest.]

Nie czekając na odpowiedź, wróciłem do szopa. Dokładne plany Medeirosa były nieznane, ale miał kilka możliwości i wszystkie trzeba mu było odciąć.

Przyszło parę wiadomości od Reszty Bobów, którzy popodpinali się do innych szopów na pokładzie Macka lub w autofabrykach. Zacząłem wydawać rozkazy.

– *Bobowie na pokładzie: bronić macierzy replikanta, przejść lub zniszczyć sprzęt UNOP, SUDDAR i uzbrojenie. Sprawdzić reaktor pod kątem możliwości samozniszczenia. Jeśli ktoś może podrzucić szopa na statek Medeirosa, niech to zrobi. Musimy go śledzić.*

– *Bobowie na autofabrykach: zebrać i zinwentaryzować drukarki. Nie wolno dopuścić, żeby wpadły mu w ręce.*

– *Pozostali Bobowie: meldować się.*

Skupiłem się z powrotem na brazylijskim statku, który przysuwał się do statku Macka. W tym momencie Medeiros zrobił skan SUDDAR-em. Zamarłem, podobnie jak wszystkie szopy na pokładzie. Po co mu pokazywać, że coś tu jeszcze działa? Skan trwał niecałą sekundę, Brazylijczyk przysuwał się dalej. Najbezpieczniej byłoby, gdyby nas wysadził. Jednakże albo oszczędzał pociski, albo chciał dostać *Niebo* w nienaruszonym stanie.

Przyszła wiadomość od Thora.

– *Kostka z Mackiem jest nienaruszona.*

Zdjęcie, które Thor wysłał razem z wiadomością, nie pozostawiało wątpliwości. Kostka Macka była poza strefą zniszczenia. To dobrze i źle.

Dobrze, bo nie straciliśmy Boba na zawsze. Źle – bo Medeiros mógł się na nią właśnie zasadzać. Mógł ją postawić na platformie, włączyć i albo czymś zainfekować, jak kiedyś Homera, albo nawet torturować.

– *Thor, zabierz stamtąd kostkę. Po prostu tam przeskocz. Jeśli będzie groziło przejście, zniszcz ją.*

Thor odpowiedział od razu:

– *Przyjąłem.*

– *Kto ma oko na reaktor?* – zapytałem.

Odpowiedział Oliver:

– *Trup. Bez możliwości samozniszczenia.*

Cholera. To oznaczało, że prosto nie będzie. Oraz że jedziemy teraz na bateriach. W którymś momencie zdechnie nadajnik UNOP i to będzie koniec naszego dostępu do układu 82 Eridani.

Nie miałem czasu na rozważanie alternatyw.

– *Dobra, panowie: rozmontować cały sprzęt i wywalić części w kosmos. Nic ma nie przeżyć. Oliver, możesz wyciągnąć UNOP i parę ogniw?*

– *Jasne.*

Moją uwagę zwrócił ruch Brazylijczyka. Otworzył drzwi ładowni, stado szopów wyskoczyło z nich w kierunku statku Maca.

Wysłałem ogólny alarm.

– *Przygotować się na odparcie abordażu.*

Po chwili sześć szopów rzuciło się na mnie w dziurze w kadłubie Macka.

Było ich dwa razy więcej, nie miałem więc złudzeń, kto wygra. W tej sytuacji nasze szopy nie miały specjalnej przewagi. Najlepsze, co mogliśmy zrobić, to powstrzymać je, póki reszta ekipy nie skończy sabotażu.

Szopy wroga atakowały otwarcie, bez finezji, bez manewrów. Zresztą czemu miałyby? Prosta liczebna przewaga to taktyka dobra jak każda inna.

Bitwa trwała niecałe dwie minuty. Szopy są bardzo odporne, są specjalnie skonstruowane, by móc funkcjonować po pozbawieniu połowy odnóży. Ulubioną bronią obu stron były palniki plazmowe. Bitwa przypominała, całkiem poważnie, jedną z tych grupowych walk na miecze ze starych filmów z Errolem Flynnem, o ile tylko zamiast facetów w rajtuzach wyobrazimy sobie wielkie pająki. Szopy parowały i ripostowały w całej ładowni, a od czasu do czasu przez pobojowisko przelatywało samotne odnóże.

W końcu jednak nas załatwiły. Ostatni szop, sterowany przez Jacques'a, stoczył świetną walkę wciśnięty we wgłębienie, tak że nikt nie mógł go zająć od tyłu. Wreszcie jednoczesny atak dwóch przeciwników pozbawił go odnóży z palnikiem i to był koniec. W sekundę zmienił się w złom.

– *Jak się mamy?* – zapytałem grupową wiadomością. Sytuacja była zbyt dynamiczna na spotkania w VR-ce, zresztą spodziewałem się, że wszyscy obecni je na razie powyłączali.

– *Mack jest daleko stąd. Ma dwa szopy do towarzystwa* – odpowiedział Thor.

– *Będzie trzeba, to go bardziej pokroją.*

– *Pokładowy SUDDAR i UNOP są w plasterkach* – dodał ktoś inny.

– *Poza nadajnikiem* – odezwał się Oliver. – *Ale jakby miał być przejęty, to go zniszczę.*

Zastanowiłem się.

– *Dobra, panowie, teraz na niego. Wrak niech sobie weźmie, a my idziemy na jego statek.*

Wszyscy potwierdzili, a ja patrzyłem, dzięki kamerom pięciu ocalałych szopów, jak przeskakują na statek Brazylijczyka.

Niestety Medeiros był na nas przygotowany. Z jego ładowni wyskoczyło kilka szopów, żeby nas przechwycić. Wywiązała się kolejna bitwa na palniki plazmowe, tym razem w nieważkości pomiędzy statkami. Szopy miały małe dysze na sprężone powietrze do manewrowania w próżni, które jednak nie wystarczały na zbyt długo. Nasze starały się więc jak najszybciej stanąć stopami na metalu, a przeciwnicy próbowali do tego nie dopuścić.

Niecałą minutę później z zaskoczeniem stwierdziliśmy, że wygraliśmy walkę. Przeżyły dwa z naszych szopów, jeden ledwo, ledwo. Ale przeżyliśmy i to wystarczało.

Medeiros ewidentnie też tak pomyślał, bo jego statek wycofał się gwałtownie z tego obszaru, zanim zdążyliśmy mu wylądować na kadłubie. Mniej więcej wiedziałem, co będzie. Parę sekund później moje podejrzenia się potwierdziły, bo z oddali nadleciał pocisk.

– *No to jesteście ugotowani, panowie.*

Pocisk doleciał i po raz kolejny znalazłem się z powrotem w swojej VR-ce.

– Gupik? Co my tam jeszcze mamy?

[Macierz z replikantem na trajektorii balistycznej, razem z dwoma szopami. Znaleziono cztery drony z nadajnikami UNOP, sterujące autofabrykami. Jeden w drodze po macierz. Wszystko pod kontrolą HIC71683-8. Osiem kolejnych grup w zewnętrznym układzie jest o kilka dni drogi przy pełnym przyśpieszeniu.]

Mimo woli uśmiechnąłem się, słysząc jego odpowiedź. Gupik z jakiegoś powodu odmawiał nazywania jakiegokolwiek Boba po imieniu. Albo numer seryjny, albo nic. Ciągle obiecywałem sobie, że któregoś dnia się tym zajmę, wiedziałem jednak, że to nigdy nie nastąpi.

Ten konkretny replikant, Isaac, był jednym ze wczesnych klonów Barta, starszym nawet od Olivera. Podłączył się do drona w układzie i pędził, by przechwycić macierz Macka, razem z dwoma szopami.

– *Uwaga wszyscy – rozesłałem. – Pilne Zgromadzenie, w pubie. Sterujący urządzeniami mogą być przez wideo.*

Wskoczyłem do VR-ki Zgromadzenia i skonfigurowałem pub. Po chwili pojawiło się kilka obrazów wideo i kilkunastu wirtualnych Bobów.

Rozejrzałem się, na szybko zaglądając w metadane obecnych.

– Dzięki wszystkim za szybką reakcję. Sytuacja jest taka: brazylijski statek zakradł się do 82 Eridani i rozwalił Macka. Niestety to był jedyny Bob w układzie i nie zaczął jeszcze żadnych klonów.

– Skąd przyleciał, jak myślisz? – zapytał Oliver.

Pokręciłem głową.

– Nie zdążyłem się za dobrze przyjrzeć...

– Ja zdążyłem – wtrącił Loki. – Byłem w grupie, która walczyła ze statkami, i lepiej się przyjrzałem. On jest z Alfy Centauri. Zdecydowanie inna seria od tych, które tłukliśmy w 82 Eridani.

– O, to ciekawe. – Potarłem brodę. – Mamy Calvina albo Goku? – Rozejrzałem się. Nic z tego. – W każdym razie pamiętam, że byli przekonani, że Medeiros, którego wypędzili z Alfy, nie był kompletny.

– Prawda, nie miał jeszcze autofabryki – dodał Oliver.

– Tak, i to sprawia, że jego strategia jest oczywista. Zlikwidować Boba-rezydenta, potem przejąć autofabryki. – Zastanowiłem się. – Da się je jakoś ochronić?

– Nie ma szans. – Loki wzruszył ramionami. – Cztery... no, na razie trzy... drony, parę byle jakich szopów i sprzęt wydobywczy? Nie zaszalejemy. Mack robił wszystko pod rozwijającą się kolonię. Nie zaczął nawet pracy nad klonami.

– To zniszczyć je po prostu? – zapytał Isaac.

– Wolałbym nie. Inaczej oni mają przerąbane, póki nie przyleci kolejny Bob. A kto w ogóle jest najbliższy?

Uniosłem w namyśle wzrok.

– Hank na P Eridani, prawie jedenaście lat świetlnych. Tau Ceti i Wolkan – dwanaście, no i oczywiście Epsilon Eridani – dwanaście i pół. Jakkolwiek by na to patrzeć, dziesięć lat czekania na pomoc.

– To dużo za długo na to, żeby Brazylijec łąził po układzie i rozwalał wszystko.

– Ale co on niby robi? – Loki popatrzył na nas, unosząc ręce w błagalnym geście. – Siebie nie rozmnoży, nie robi holowników, żeby zrzucać skały na nasze kolonie, broni nie robi...

– Nie chciałbym się przekonywać – odparłem. – A może ma drukarkę w ładowni. A może dorwie którąś z naszych. A może wszystko ma i tylko po prostu chciał się pozbyć Macka, a ja myślę się we wszystkich innych kwestiach?

– A tu jest ciekawa rzecz – odezwał się Isaac. – Pocisk, który załatwił statek Macka, nie był wojskowy i daleko mu do tego. Gdyby był, to już po tym pierwszym nic by ze statku nie zostało. Wygląda mi na to, że Medeiros ma, albo miał, gdzieś jakąś fabrykę i narobił sobie chałupniczych materiałów wybuchowych.

Kiwnąłem głową w zamyśleniu.

– Lekceważymy go jako inżyniera, ale to pewnie zbyt łatwe. Brazylia na pewno wgrała mu masę wiedzy wojskowej, a produkcja materiałów wybuchowych spokojnie się w tym mieści. Mógł zrobić coś w rodzaju naszego niszczyciela, ale z głowicą z przodu. Nie musiałby być jakoś superskuteczny.

– Czyli nie da się powiedzieć, ile on ma na pokładzie pocisków czy czego tam. – Isaac potarł podbródek. – Ale, żeby je uzupełnić, musi wrócić do swojej fabryki, o ile ona jest w ogóle w układzie.

– Mam przecucie, że nie. Calvin i Goku odbili Alfę Centauri w dwa tysiące sto sześćdziesiątym trzecim. Sześćdziesiąt lat temu. A to tylko dziewiętnaście lat świetlnych od 82 Eridani, to co on by robił przez cały ten czas? Czaiłby się w tym układzie?

– No nie – odparł Loki. – 82 Eridani zajęliśmy w dwa tysiące sto dziewięćdziesiątym piątym. Wtedy by już tu był, a przeskanowaliśmy cały układ bardzo dokładnie.

Westchnąłem i potarłem czoło.

– No dobra. Prawdopodobnie zatrzymał się na kilkadziesiąt lat w innym układzie i nabudował sobie trochę fabryk. Nie za dużo i nie za dobrych, bo inaczej miałyby porządne rakiety. Zaopatrzył się i poleciał dalej, tutaj, pewnie wiedząc, że to był jeden z docelowych brazylijskich układów.

– To i tak się trochę nie klei, Bill.

– Zgoda. Ale tyle możemy wydedukować z tego, co wiemy, dalej to już wszystko spekulacje. – Rozejrzałem się. – Kto powozi tymi szopami na Macku?

– Teraz nikt – odparł Oliver. – Kiedy Medeiros wysadził Macka, straciliśmy łączność po UNOP-ie. Wszystkie ocalałe szopy chodzą autonomicznie, wykonują ostatnie polecenia, które dostały.

– Da się podłączyć do szopów przez UNOP w dronie? – zapytał Loki.

– Pewnie – odpowiedział Will. – W Słonecznym od lat tak robiliśmy, kiedy trzeba było działać w zewnętrznym układzie. Stawianie oddzielnej stacji przekaźnikowej to było zawsze za dużo roboty.

Odwróciłem się do niego z uśmiechem.

– Jak to dobrze, że jesteś. Od którego miejsca słuchasz?

Will kiwnął głową.

– Podkręciłem się i odtworzyłem sobie nagranie spotkania. Jestem na bieżąco.

– Zwrócił się do Lokiego: – To tylko mała poprawka do softu, zaraz ci podeślę.

Loki również kiwnął głową.

– Mamy cztery drony, czyli cztery punkty kontroli w układzie. Ale jakoś za dużo do kontrolowania to nie mamy. Ściągnięcie sprzętów z zewnętrznego układu zajmie dłużej, a zresztą nie jestem pewien, czy powinniśmy go ściągać, chyba że mamy jakiś plan.

Wtrącił się Oliver:

– Panowie, policzyłem, że mamy maks trzy godziny, zanim Medeiros dotrze do najbliższej fabryki w punkcie Lagrange’a. Może najpierw zrobimy coś z drukarkami?

Zapadła cisza, którą po chwili przerwałem.

– Dobra. Robimy tak: oddzielamy głowice drukarek. Wysyłamy je każdą po innej trajektorii, tak żeby z czasem trafiła w okolice jednej lub drugiej kolonii. Bez żadnych bikonów, znajdziemy je tylko przez wyliczanie pozycji, więc dopilnujcie, żeby starannie zmierzyć i zapisać parametry orbit. – Spojrzałem po pozostałych Bobach. – Mamy w ogóle coś, co wybucha? Cokolwiek.

Zobaczyłem, jak kręcą głowami.

– Nie lubimy rzeczy, które wybuchają – powiedział Oliver.

– No właśnie. I patrzcie, co nam z tego przyszło.

Zastanowiłem się.

– Musimy powiadomić kolonie. Trzeba też zrobić inwentaryzację wszystkiego automatycznego, co mają. Może mają jakieś materiały wybuchowe, może małe drukarki. Ktoś też musi dokładnie przeczesać blog Macka, może znajdzie się coś przydatnego. Zaczniemy od tego, potem się przegrupujemy i zobaczymy, co się udało.

Wszyscy skinęli głowami i zaczęli znikać, rozchodząc się do swoich zadań.

A ja rozparłem się w fotelu i potarłem czoło. Jakby za mało było Innych.

Niesamowicie.

22. Wraki

Herschel, marzec 2227, pas Kuipera, Delta Pavonis

Neil i ja sunęliśmy powoli pomiędzy dryfującymi wrakami, z napędami SURGE na minimalnej mocy. Dwa transportowce Innych przytłaczały nas – przy dziesięciu kilometrach długości i kilometrze średnicy robiły wrażenie raczej planetoid niż czegoś zbudowanego przez inteligentne istoty.

Miały nawet własne pole śmieci kosmicznych. Sądząc po ich gęstości, oba musiały nieźle oberwać. Fragmenty konstrukcji kręciły się leniwie po skomplikowanych orbitach wokół obu statków. Efekt był niesamowity, coś jakby płynąć przez podwodne cmentarzysko.

Napisałem do Neila:

– *Nic nie wykrywam, a ty?*

– *Nic. Temperatury koło punktu równowagi. Te sprzęty od dawna nic, tylko dryfują.*

– *Tak?*

– *Celowaliśmy w podstawowe układy. Pewnie poszły generatory, a wiesz jak to się zawsze kończy...*

– *No. Ka-bum!*

Rozdzieliliśmy się i każdy z nas opłynął jeden z wraków. Żadnych niespodzianek. Zgodnie z niepisaną umową wypuściliśmy drony niosące grupy szopów. Drony miały polecenie zrobienia skanów z bliska, a szopy miały wylądować i pogrzebać we wszystkim, co okaże się ciekawe.

Wejście do środka nie stanowiło większego problemu. Jeden z kadłubów był przecięty prawie na pół. Dwie połówki były praktycznie oddzielone od siebie – tylko w nieważkości taki cienki pasek metalu był w stanie utrzymać tak potężne masy.

Drugi wrak był w o wiele lepszym stanie. Dziura, przez którą można by dosłownie przepłynąć pancernikiem, na statku tej wielkości kwalifikowała się na

drobną usterkę. Ale w uszkodzeniach nie liczy się wielkość, lecz jakość. Musieliśmy trafić w coś krytycznego.

Statki dryfowały od dziesięciu lat. Tak naprawdę nie spodziewaliśmy się jakiegokolwiek aktywności. Ale poprzednie kontakty z Innymi i cała generacja filmów klasy B nauczyły nas ostrożności.

Oczywiście okazja spenetrowania wnętrza transportowca Innych była zbyt dobra, by ją przepuścić. Parę godzin – czasu rzeczywistego – zajmowaliśmy się planowaniem kroków awaryjnych na wszelkie możliwe sytuacje, jakie przyszły nam do głowy. Potem, zostawiwszy na warcie dwa drony, ostrożnie wlecieliśmy do środka statku przez otwór w jego boku.

I sprawy od razu się skomplikowały. Okazało się, że statek nie był po prostu jedną wielką komorą. Znaleźliśmy się w wielkiej ładowni, pomieszczeniu, czy czymś podobnym, w kształcie kawałka tortu, stanowiącym wycinek wnętrza. I to mógł być koniec eksploracji, gdyby nie fakt, że to, co unieruchomiło transportowiec, najwyraźniej leciało sobie dalej prosto, po drodze rozwalając masę sprzętów.

Na drugim końcu tej wielkiej przestrzeni wydostaliśmy się do czegoś, co wyglądało na centralny korytarz. Miał około stu metrów średnicy i ciągnął się od końca do końca statku. To wyjaśniało, skąd na ich obu końcach wzięły się wielkie pancerne wrota.

– Ten jest prawie nienaruszony – powiedział Neil, zniżając głos do szeptu. – Myślisz, że dałoby się go z powrotem uruchomić?

– Widziałeś ten sprzęt tam, nie? – Zauważyłem, że sam też szepczę, ale nie mogłem nic na to poradzić. Czułem się, jakbym eksplorował nawiedzony zamek.

– Nie wiem, co tam dokładnie rozwaliliśmy, ale coś krytycznego.

– Dasz mi to na piśmie?

– Pewnie, nie ma problemu. Pochyl się, już wyciągam długopis.

– Ha, ha. Jak zeżrą nas mrówki, to naprawdę będzie ci głupio.

– Dlatego umówiliśmy się, że nie robimy żadnych skanów SUDDAR-em. Słuchałeś chyba, co?

Prychnął, ale nie odpowiedział wprost.

– Ja polecę tam, do końca, do tego pancerneho pierścienia.

– Spoko. Tylko uważaj.

I podryfowaliśmy w przeciwnych kierunkach na wyłącznie wizualną obserwację.

Dotarcie na końcu statku zajęło niecały dzień. Odebrałem połączenie od Neila.

– Hej, Herschel, wiesz co...?

– No?

– Mam przed sobą takie wielkie ustrojstwo. Myślę, że to jest generator.

– Czekał, mówisz... cały jest? I co ty robisz w ładowni?

– Była otwarta. To wszedłem. Możesz mnie pozwać do sądu.

Westchnąłem. Zrobiłbym to samo.

– To co nasz atak im zniszczył, jeśli to jest generator?

– Może fuksem trafiło w sztuczną inteligencję czy coś podobnego. Ale to jest na sto procent generator mocy. Widać od razu po samej wielkości tych obwodów.

– I ten reaktor się prawidłowo wyłączył?

Chwila ciszy.

– No właśnie o to chodzi. To mi nie wygląda na reaktor termojądrowy.

Nagle się okazało, że ta misja to znacznie więcej niż zbieranie złomu.

– Jakies ślady mrówek?

Neil zaprzeczył. Sam przez chwilę zastanawiałem się nad własnym tokiem rozumowania, po czym powiedziałem:

– Dobra, nie możemy tego dłużej odkładać. Musimy wiedzieć, czy będziemy mieć problem, zabieramy więc z wraków cały nasz sprzęt. Potem robimy skan SUDDAR-em, na małej mocy, żeby zobaczyć, czy uaktywnią się jakieś mrówki. Kiedy będziemy mieć pewność, że jest czysto, zrobimy parę skanów w wysokiej rozdzielczości. Zobaczymy, co ta tajemnicza machina ma w środku i czy uda nam się to rozpracować.

– Potwierdzam. – Wskaźniki pokazały, że sprzęty Neila opuszczają wraki. Rozkazałem swoim to samo.

Za godzinę mieliśmy skany. Ale żadnych odpowiedzi. Żadnych.

Neil wskoczył do mnie, żeby omówić wyniki. Pokazałem powoli obracający się w powietrzu hologram.

– No, miałeś rację. To nie jest na fuzji termojądrowej. Ale na pewno to jest generator energii. – Spojrzałem na niego uśmiechnięty od ucha do ucha. – Chyba właśnie odkryliśmy całkiem nową technologię!

– Super – odparł Neil. – To jak, dzwoniemy do Billa?

– Żartujesz sobie? Oddajemy to wszystko i niech ktoś inny zbiera całą chwałę? Mowy nie ma!

– Jeeezu, Hersch, ja znowu mam to przeczucie pod tytułem „zły pomysł”.

– Znowu? Przeważnie to ty jesteś ich źródłem.

– Ja? Od kiedy?

Uśmiechnąłem się, ale nic nie odpowiedziałem. Po tej tradycyjnej wymianie zdań, jak zawsze, poczuliśmy się lepiej. Ale Neil wcale niekoniecznie nie miał racji. Miejmy nadzieję, że właśnie nie zrobiłem pierwszego kroku w stronę pożegnania z własną dupą.

23. Śmierć

Howard, maj 2220, Omikron-2 Eridani

Od wielu lat bałem się tego telefonu. Doktor Onagi spojrział na mnie z okienka wideo. Widziałem po tle, że dzwoni ze szpitala.

– Nie było żadnego ostrzeżenia, Howardzie. Po prostu straciła przytomność. Przyjeliśmy ją do szpitala, ale nasze starania były niewystarczające.

Poczułem, że pieką mnie oczy, i opanowałem się wysiłkiem woli.

– Dziękuję za telefon, panie doktorze, ale trochę jestem zdziwiony, że to pan do mnie dzwoni. Nie powinny raczej jej dzieci? – No, może Howie. Wątpię, czy Rosie by mnie zawiadamiała.

Lekarz zerknął w bok.

– Hmm, pewnie by już dzwoniły. Ale zgodnie z poleceniami pani Brodeur natychmiast po stwierdzeniu zgonu umieściliśmy ją w hibernacji. Dzieci były wściekłe i o ile wiem, będą podejmować kroki prawne. Odniosłem wrażenie, że pan jest w tym wszystkim istotną osobą. Zapewne w ogóle nie będą z panem rozmawiać.

Oszołomiony wytrzeszczyłem oczy. Bridget niczym mi nie zdradziła, że zmieniła zdanie. Podziękowałem doktorowi za informację i rozłączyłem się. I natychmiast zadzwoniłem do mecenas Benning.

– Dzień dobry, panie Johannson. Właśnie się dowiedziałam o pani Brodeur. Tak mi przykro.

– Została poddana hibernacji. Pan doktor mówi, że zgodnie z jej poleceniami. Czy coś się zmieniło?

– Parę miesięcy temu zmieniła testament. Standardowo nie mogłabym z panem o tym rozmawiać, ale ona dała mi konkretne polecenie, by pana wtajemniczyć. – Sięgnęła po coś za ekran. – E-Sąd mówi, że jej dzieci właśnie złożyły do sądu wniosek o nakaz przerwania hibernacji. To nie jest niespodzianka i już złożyliśmy kontrwniosek. Będzie wysłuchanie, na które powinien się pan stawić. Będziemy w kontakcie.

Wymieniliśmy się jeszcze paroma informacjami i pożegnaliśmy. Usiadłem z powrotem na leżaku i wpatrzyłem się w przestrzeń. Bridget umarła.

Powinienem być teraz nieistotną kałużą na podłodze. I pewnie niedługo będę, ale na razie wpadłem w pętlę przez te nieoczekiwane nowiny, że zmieniła zdanie w kwestii replikacji.

No, dopóki się jeszcze trzymam, mogę się na coś przydać. Sprzęt do skanowania zbudowałem już jakiś czas temu, na podstawie informacji zebranych przeze mnie i Rikera. Trzeba mu zrobić inspekcję.

Wysłuchanie stron było raczej nieformalne i odbywało się w gabinecie sędziego, a nie na sali sądowej. Howie, Rosie i Lianne siedzieli po jednej stronie, mecenas Benning i ja po drugiej. Doktor Onagi, reprezentujący szpital, siedział na bardziej neutralnej pozycji pośrodku.

Sędzia Ulrich Katz przez chwilę w milczeniu przepatrywał dokumenty, które miał przed sobą. Potem uniósł wzrok.

– Kwestie ostatnich życzeń zmarłych są zawsze trudne, kiedy przeżywające ich ukochane osoby...

– On nie jest ukochaną osobą! – przerwała Rosie.

Sędzia spojrzał na nią, a Lianne położyła jej dłoń na ramieniu.

Po przywróceniu porządku sędzia kontynuował:

– ...kiedy przeżywające ich ukochane osoby spierają się o szczegóły. Jednakże sąd nie może podejmować żadnych założeń przed wydaniem ostatecznego wyroku. Wybutłowanie zmarłej w tym momencie byłoby decyzją na rzecz powódki, natomiast pozostawienie jej w hibernacji nadal pozwala na wybutłowanie, jeśli taki zapadnie wyrok. I vice versa, także pozwolenie na zeskanowanie przed ostatecznym wyrokiem byłoby nieodwracalne. Dlatego sąd nie wyda nakazu natychmiastowego wybutłowania ciała. Panie doktorze, nakazuję panu utrzymywać ciało w obecnym stanie i nie zezwalać na wykonywanie na nim jakichkolwiek operacji, do momentu wydania innych decyzji przez sąd.

Nie walnął młotkiem, chociaż trochę się tego spodziewałem. Oczywiście moje doświadczenia z sądami były przeterminowane o sto lat oraz pochodziły z innego kontynentu, innej planety i głównie z telewizora.

Wstałem i spojrzałem w stronę dzieci Bridget. Dziewczyny były aż sztywne z wysiłku niepatrzenia w moją stronę. Syn Bridget, Howie, zerknął na mnie i nieznacznie pokręcił głową. Zrozumiałem aluzję.

Pozwoliliśmy im wyjść pierwszym. Spojrzałem na mecenas Benning i uniosłem brew. Otworzyła usta do odpowiedzi, ale się zawahała. Po czym się

uśmiechnęła.

– Panie Johansson, intelektualnie od jakiegoś czasu jestem świadoma, że pan chodzi w sztucznym ciele. Bo nie tylko ma to wpływ na tę sprawę, ale jest też przedmiotem licznych plotek. Zwłaszcza dotyczących, eee... natury pana związku z panią Brodeur. – Zarumieniła się lekko. – Ale dopiero teraz zdałam sobie naprawdę sprawę, że nie rozmawiam z żywą, biologiczną istotą. Realizm jest powalający.

Uśmiechnąłem się ze smutkiem.

– Dziękuję, pani mecenas. My, Bobowie, włożyliśmy wiele pracy, żeby androidy wypadały jak najbardziej wiarygodnie. A odpowiadając na nie do końca niewypowiedziane pytanie, moja relacja z panią Brodeur nie miała aspektu seksualnego. Odpowiednie przekonstrowanie androida jest możliwe, ale tego nie zrobiłem. Ja nadal ją bardzo kocham, a ona kocha mnie – czy kochała – mniej intensywnie, ale wciąż szczerze.

– Nie mam wątpliwości co do pana człowieczeństwa. Współpracowałam z panem przy przeniesieniu własności firmy, pamięta pan? Pana emocjonalne wzburzenie było widoczne i bardzo prawdziwe.

Chwilę szliśmy w milczeniu, zanim dokończyła.

– Powodowie będą mieli bardzo pod górę, ale i dla nas to nie będzie bułka z masłem. Jednak pani Brodeur przewidziała opór swoich dzieci i podjęła pewne kroki wyprzedzające, w tym utworzenie funduszu na obronę prawną, którego dzieci nie będą w stanie zablokować.

Kiwnąłem głową. Bridget zawsze myślała starannie i metodycznie. To chyba konieczne przy takiej specjalizacji. Zabezpieczyła wszystkie drogi.

To jednak niczego nie ułatwiało. Miałem zgodę Bridget na zreplikowanie jej, ale musiałem z tym czekać, aż tryby sprawiedliwości powoli przemielą decyzję.

24. Eksploracja Herschel, kwiecień 2227, pas Kuipera, Delta Pavonis

Tak się chyba czują mrówki.

Transportowiec Innych, który nazwaliśmy *Złom-1*, był ogromny. Walec o dziesięciu kilometrach długości i kilometrowej średnicy przytłaczał kadłuby naszych *Nieb* w wersji piątek. W tym momencie powoli dryfowałem środkowym tunelem, a szopy malowały numerki na drzwiach kolejnych ładowni. To nie była patologiczna pedanteria – doszliśmy do wniosku, że musimy mieć jakiś sposób na odwołanie się do konkretnej lokalizacji, lepszy niż pomruki i pokazywanie paluchem.

Skany SUDDAR-em ujawniły wiele szczegółów statku i jego zawartości, ale wcześniej czy później będziemy musieli spróbować go uruchomić. Ogromne drzwi poszczególnych segmentów ładowni nie dadzą się otworzyć ręcznie, już nie mówiąc o stumetrowych włączach na obu końcach.

– Jak tam, Herschel?

– Dobrze – odpowiedziałem. – Prawie kończę. Osiemset sześćdziesiąt cztery ładownie. Coś ci mówi ta liczba?

Nastąpiła chwila ciszy, zanim Neil odpowiedział.

– Sześćset w systemie dwunastkowym. Jak się nad tym zastanowić, na tym skanie uzyskanym przez Billa Inni mieli po sześć odnóży pokarmowych po obu stronach paszczy.

Wyszczrzyłem zęby.

– Zbieg okoliczności? Raczej nie.

– Nie. To chyba kolejna uniwersalna prawidłowość. Twoja podstawa liczbowa zależy od tego, ile masz palców. Pawonisi mieli system dziesiątkowy.

– Mają. Nie wszyscy zginęli.

Westchnienie.

– No tak...

Najlepszy sposób na zepsucie nastroju.

– Dobra – powiedziałem, może trochę zbyt pogodnie. – Jak tylko z tym skończę, możemy się zabrać do rozkminiania układów tego generatora. Nie mogę się doczekać, kiedy się dowiem, do czego służą niektóre z tych rzeczy.

– Żebyśmy ich tylko nieopatrzenie nie powłączali.

– Tak, tak, słyszę. Może na wszelki wypadek wstawimy do środka jakąś atomówkę? Jakbyśmy z ostrożności chcieli wszystko zniszczyć.

– Trochę niechętnie, Hersch. Unikałbym wszystkiego, co prowadzi do zniszczenia *Złomu-1*.

– No... zaraz, czekaj. – Poświęciłem chwilę na załadowanie dronów i szopów oraz podziwianie numerka 864 na ostatniej ładowni. – W takim razie musimy się zgodzić na pewne ryzyko, jeśli będziemy próbować.

– Słuchaj, a może wytniemy jeszcze dziurę i zajrzemy do jednej z tych ładowni?

To była jakaś opcja. Ściany działowe były absurdalnie grube, ale przecież nie goniły nas żadne terminy.

– Dobra. Tak zrobimy.

Wycięliśmy dziurę do ładowni nr 1, po prostu dlatego, że skan SUDDAR-em pokazywał, że jest w niej mnóstwo niezidentyfikowanych rzeczy. Szopy musiały wyciąć w ścianie rowki, a potem je poszerzać. W końcu jednak udało im się usunąć prostokątny kawał ściany.

Zostawiliśmy go wiszącego pośrodku centralnego korytarza i posłaliśmy do środka sześć szopów.

Wyglądało na to, że transportowiec nie zdążył uaktywnić wszystkich jednostek bojowych, zanim go zniszczyliśmy. Ładownia zawierała kilkadziesiąt dronów, każdy trochę większy od naszego *Nieba 1*. Stały w stacjach dokujących połączone pępowinami ze statkiem. Zapewne zasilanie i sterowanie. Zasilania oczywiście nie było, nie było też kontroli, bo zniszczyliśmy MSI statku.

Neil szturchnął palcem zbliżenie złącza przewodów.

– Myślisz, że jak to odepniemy, ten dron się nie obudzi?

– Nie wiem, Neil. – Potarłem czoło. To była gra na zwłokę, o czym oboje doskonale wiedzieliśmy. – W sumie mamy jakąś alternatywę?

Neil przez pełne dwie sekundy wpatrywał się w obraz wideo. Dopiero potem mi odpowiedział.

– Słuchaj, a może tak: rozbieramy jeden na części. Po kawałku. Wszystko po drodze analizujemy. W którymś momencie pewnie uda nam się ustalić, jaki jest

ich stan gotowości.

– To jest najmniej zły pomysł, jaki w życiu słyszałem. – Uśmiechnąłem się szeroko do niego. – Tak robimy.

Rozmontowanie drona na części potrwało ponad tydzień. W końcu byliśmy zmuszeni wyciągnąć wniosek, że sygnał aktywacyjny prawdopodobnie przychodzi z pokładowej SI, a nie z samego drona. W każdym razie ten rozmontowany był nieaktywny. Nie miał zasilania i nie miał możliwości włączenia się bez zasilania.

Ale i tak słowem dnia była „paranoja”. Wybraliśmy losowego drona, wsadziliśmy mu do środka stado szopów, gotowych go niszczyć, gdyby zaczął rozrabiać.

– Gotowy? – zapytałem.

– Gotowy! – odpowiedział Neil.

Neil odpowiadał za zniszczenia, a ja za odłączenie. Nie dając sobie okazji do zbędnego zastanowienia, kazałem szopowi odczepić pępowinę.

Czekaliśmy... pięć sekund... dziesięć sekund...

– Dobra, wystarczy – burknął Neil. – Skanujemy. – Z tymi słowy polecił jednemu z naszych dronów dobrze przetrzepać tamtego.

Skan pojawił się w moim holo po paru milisekundach.

– Nic. Nieaktywny. – Spojrzałem na Neila. – Wystarcza ci?

– Mi? Odkąd to ja jestem tym złym?

– Od zawsze. Ja zawsze muszę cię uspokajać.

– A wal się. Pierdzielisz głupoty. – Pokręcił głową ze smutkiem. – Następne pytanie. Mamy się przebijać do każdej ładowni i wszystko w nich odłączać?

– To zajmie lata. Jest jakaś alternatywa?

– Coraz bardziej do mnie przemawia opcja z atomówką. – Neil rzucił mi krzywy uśmiech.

– Dobra – odparłem. – Musimy prześledzić całe okablowanie, żeby sprawdzić, czy przed uruchomieniem reaktora możemy jakoś odciąć zasilanie od ładowni. A także, przykro mi to mówić, ale i tak wstawiamy do środka atomówkę, na wypadek gdybyśmy obudzili coś, czego nie powinniśmy. Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Neil westchnął.

– Coraz bardziej to wygląda jak ciężka praca.

„Ciężka praca” – to był bardzo trafny opis. Niektóre decyzje projektowe Innych były, hmm, suboptymalne. Przynajmniej na nasze oko. W paru wypadkach przewody energetyczne rozdzielały się, omijały wielką połąć niczego szczególnego i schodziły się po drugiej stronie. Dwa razy skanowaliśmy tę połąć niczego i oczywiście niczego nie znaleźliśmy.

– Wiesz co... – rozmyślał na głos Neil. – Czasami, jak coś projektujesz, robisz miejsce na przyszłą rozbudowę. Jeśli masz mniej więcej pojęcie, co to ma być, możesz to zaplanować.

– Czyli to jest gniazdo rozszerzeń.

– Tak, dziękuję, panie Zgryźliwy. Zapewne zbytnio się nie mylisz.

– To świetnie, Neil. Ale przybliży nas to jakoś do uruchomienia tej latającej wyspy?

– Zobaczymy. – Wyciągnął nasz roboczy diagram. Szybko naniósł na niego te najnowsze informacje i odpalił symulację.

Patrzyliśmy, jak wskaźniki pokazują stan zasilenia kolejnych obszarów.

W końcu symulacja zakończyła się, zostawiając wrak w stanie stabilnym, bez żadnych widocznych problemów. Popatrzyliśmy z Neilem po sobie, uśmiechnęliśmy się i rzuciliśmy jednocześnie:

– To jedziemy!

25. Bitwa

Bill, czerwiec 2223, 82 Eridani

Premier Campbell ukryła twarz w dłoniach i przez chwilę milczała. Prezydent Ito starał się zachować stoicyzm, choć widać było, że jest wstrząśnięty.

W końcu ona podniosła głowę.

– Mack... zginął?

– Nie, proszę pani – odpowiedziałem. – Mamy jego macierz. A w każdym razie jest cała i wiemy, gdzie jest. Przynajmniej teraz. Staramy się przetransportować ją do kolonii, dla bezpieczeństwa.

Pokiwała głową z wyraźną ulgą.

– A jak my możemy pomóc?

Odwróciłem się do obrazu prezydenta Ito.

– Trzeba zinwentaryzować wszystkie nasze zasoby w tym układzie. Wszystko, co da się użyć jako broń, wszystko, czym da się zdalnie sterować, wszystko, co ma UNOP, wszystko, co jest w stanie wyjść ponad atmosferę...

– A androidy w to wchodzi? Zdaje się, że każda kolonia ma po jednym.

Ucieszyłem się.

– A, tak, one są sterowane przez UNOP, czyli da się je wykorzystać. To jeden więcej... dwa więcej ośrodki kontroli w układzie. Jak tylko się da, wyślę dwa drony, żeby je zabrać. Wykorzystamy je do przekazywania rozkazów do dronów wydobywczych, które nie mają UNOP-a. – Zastanowiłem się. – Poza tym mogą pomóc szopom przy pracy.

Ito kiwnął głową i zapadła cisza.

W końcu przerwała ją Campbell.

– Jesteśmy w stanie wojny, prawda? Czy kolonie są zagrożone?

Zastanawiałem się przez milisekundę.

– Nie widzę zagrożenia, przynajmniej nie od razu. Medeiros nie ma niczego, czym mógłby was zbombardować z orbity. Jeśli nie dopuścimy go do autofabryk, albo przynajmniej usuniemy z nich drukarki, to się nie zmieni. Jeśli zdobędzie drukarkę, albo już ją ma, i tak musi przejść przez wszystkie kroki budowania coraz większych klocków, zanim zrobi autofabrykę i zacznie

budować coś w stylu holownika asteroid. I nie ma mowy, żeby był na tyle głupi, by produkować materiał wybuchowy.

– Niemniej jednak... – wtrącił Ito, przeciągając sylaby. Chciał, żebym opowiedział o drugiej stronie medalu.

Uśmiechnąłem się.

– Niemniej jednak my też nie mamy teraz zdolności drukowania, choć poniekąd posiadamy drukarki, i będziemy musieli przechodzić przez taki sam proces. Może trochę prostszy, skoro mamy szopy, drony, a teraz także dwa androidy.

– Czyli mamy zimną wojnę.

– Według mnie to nawet nie jest ten poziom. To raczej coś jak bójka Hugh Granta i Colina Firtha w *Bridget Jones*.

Spojrzała na mnie z ukosa i nie pytając, pokręciła głową. Wyraźnie Mack już się tutaj zasłużył.

– Posłuchajcie – ciągnąłem. – Gdyby mi się udało ściągnąć jedną lub więcej drukarek na wasze planety, a razem z nimi dość surowca, i zrobić to bez przechwycenia przez Medeirosa, to może udałoby się zbudować niszczyciele czy coś podobnego.

– Dużo tych gdybów – odparła Campbell.

– Bo to zależy od tego, co teraz robi Medeiros. Niestety, chyba jesteśmy skazani na reagowanie na jego ruchy. Każda próba przejęcia kontroli skończy się tym, że oberwiemy rakieta.

– A ile on ma tych rakiet?

– Myśleliśmy, że zero. Czyli – nie wiadomo.

Ito zastanawiał się przez chwilę.

– Rozumiem, że masz kilka dronów wydobywczych. Nie da się ich użyć do staranowania Brazylijczyka?

Dobry kierunek. Kiwnąłem z aprobatą głową.

– Niestety, to by było coś jak próba staranowania sportowego samochodu traktorami. Teoretycznie da się go uszkodzić, ale najpierw trzeba go dogonić.

Ito westchnął i wyprostował się. Znow zapadła cisza.

– Posłuchajcie – powiedziałem w końcu. – Jeśli coś wam przyjdzie do głowy, to zadzwońcie albo wyślijcie wiadomość. My też będziemy nad tym pracować i informować na bieżąco.

– Dobrze. – Campbell kiwnęła głową i rozłączyła się. Chwilę później zgasał także Ito.

Westchnąłem, rozparłem się w fotelu i popatrzyłem w sufit. Jakby mało było Innych.

Kiedy Medeiros dotarł do autofabryki w najbliższym punkcie Lagrange'a, my dawno wyrzuciliśmy drukarki i ich głowice poza zasięg jego czujników. Bobom udało się także poukrywać, pouszkadzać lub pozbierać większość automatyki, nie zostawiając niczego wartościowego poza samymi sztabami metali. Obserwowaliśmy Medeirosa z drona bez UNOP-a, starannie zakamuflowanego jako kosmiczny śmieć i chodzącego na ogniach paliwowych, żeby nie pokazywał się na miernikach promieniowania. Niedługo się mu wyczerpią, ale jeśli nie napadnie go Medeiros, później będziemy mogli go podjąć. A jeśli tak – zyska tylko zwykłego drona wydobywczego i to bez reaktora.

Brazylijski statek kręcił się, oglądając wszystko i szukając, po czym zatrzymał się w jednej lokalizacji. Na wpół oczekiwałem jakiejś furii i niszczenia, ale realistycznie patrząc, Medeiros był zawodowym wojskowym, zapewne bardzo zdyscyplinowanym. Nie traciłby pocisków dla wyżycia się.

Liczyłem, że obierze jakąś strategię, zanim zdechnie nasz dron. Rozpatrywaliśmy trzy możliwości. Pierwsza: lecieć do kolonii i stanąć na straży, z założeniem, że przynajmniej jedną drukarkę wysłaliśmy w tamtym kierunku; druga: latać i skanować w poszukiwaniu drukarek i głowic na rozproszonych trajektoriach, i trzecia: zacząć szukać szopów i dronów wydobywczych, żeby je zniszczyć lub spróbować przejąć.

Wreszcie, gdy dron już chodził na ostatnich watach mocy, Medeiros odleciał z jego obszaru.

– Wiemy coś o kierunku?

Podskoczyłem spłoszony. Tak skupiłem się na obserwowaniu Medeirosa, że nie zauważyłem, że w mojej VR-ce siedzi Will. Odwróciłem się do niego.

– Nie za bardzo. Najprawdopodobniej poleciał w pierwszym z brzegu kierunku. Ogniwa zaraz się skończą, więc nie możemy pingnąć go SUDDAR-em.

Will zmełł przekleństwo, widać było jasno, że sytuacja go denerwuje.

– Musimy założyć scenariusz pierwszy lub drugi, bo to najgorsze przypadki. Ile drukarek i głowic puściliśmy do każdej kolonii?

– Po dwie do każdej. Dobrze rozrzucone. Oczywiście na podejściu może je wykryć SUDDAR-em, ale żeby je fizycznie przechwycić, musi być blisko.

– Żeby przechwycić i nie zniszczyć. Z naszego punktu widzenia zniszczenie jest do zaakceptowania.

Kiwnąłem głową.

– Ta bitwa będzie się ciągnęła w nieskończoność.

Siedzieliśmy z Garfieldem i piliśmy kawę, ciesząc się jedną z coraz radszych przerw, gdy pojawił się Gupik.

[Konwój z drukarką w drodze do Asgardu został omieciony wiązką SUDDAR-u.]

Spojrzeliliśmy po sobie.

– Cholera – powiedział. – To znaczy, że wybrał opcję numer jeden.

– Najbardziej sensowną – odparłem. – Opcja dwa oznaczałaby, że musi przeszukiwać coraz większą objętość przestrzeni. A tak praktycznie samo wpada mu w ręce.

Odwróciłem się do Gupika.

– Udało się namierzyć?

[Nie. Zbyt krótki impuls.]

– Sprytnie – stwierdził Garfield. – Nie sygnalizuje swojej obecności, póki nie siedzi praktycznie na karku.

– Co znaczy, że siedzi nam na karku. – Pacnąłem się w czoło.

– Ale to nie ma znaczenia. Sprawdziłem i ta akurat grupa urządzeń nie ma UNOP-a. Będą musiały działać według stałych poleceń.

[Konwój zniszczony. Strumień wideo przerywany.]

Zerknąłem na Garfielda. Medeiros po prostu je zniszczył? Miał w planie pozbawienie nas tych drukarek?

Bez słowa wywołałem ucięte wideo. Garfield obejrzał trzysekundową sekwencję.

– No kurczę – powiedział, kiedy skończyliśmy. – Najwyraźniej Medeiros też się uczy.

– Hmm, no tak. Buduje niszczyciele. Albo budował. Czekaj, ale kiedy on mógł budować niszczyciele? – Garfield zmarszczył czoło i mówił dalej. – Jeśli to jest Medeiros z Alfą Centauri, to jego pierwszy kontakt z nami był w dniu, kiedy zniszczyliśmy ich instalację. Musiał zbudować te niszczyciele później. Do tego momentu nic nie wskazywało, żeby Medeirosy budowały broń kinetyczną.

Uśmiechnąłem się krzywo.

– Słuchaj, chyba przegapiłeś rozmowę po ataku. Sądzymy, że miał co najmniej jedną własną drukarkę. Ale nauczył się na przykładzie z Alfą Centauri.

– Ale czemu on robi to, co robi?

– Ta strategia ma dwa końce. Próbuje zdobyć jak najwięcej drukarek, jednocześnie odbierając je nam. A postęp geometryczny oznacza, że mała przewaga na początku w końcu zmieni się w przewagę nie do pokonania. – Przez

parę milisekund patrzyłem w przestrzeń. – Musimy go zniszczyć, i to teraz. Jeśli nas wyprzedzi, to koloniści już praktycznie nie żyją.

Garfield zamknął oczy i powoli pokręcił głową.

– A to my ich tu wsadziliśmy.

Kapitan Richards z kolonii na Asgardzie zasznurował usta i nic nie powiedział. Nie musiał. Do wszystkiego, z czym musieli sobie w kolonii radzić, dostali jeszcze Medeirosa.

– Jesteście pewni, że zaatakuje kolonię?

– Pewni to nie. Ale podczas poprzednich kontaktów jasno wykazał, że jest stuprocentowo lojalny wobec Brazylii, z nami pozostaje w stanie wojny, a dyskusja go nie interesuje. Nie można też wykluczyć, że on nie jest już całkiem zdrowy na umyśle. – Zerknąłem na Garfielda, a ten przewrócił dramatycznie oczyma. – Nie chciałbym próbować się z nim komunikować tylko po to, żeby ściągnąć jego uwagę na kolonie.

Richards kiwnął głową i usiadł z westchnieniem.

– A my nie mamy nic.

– Jak dotąd nic nie znaleźliśmy. Moglibyśmy zapytać Macka, gdybyśmy podłączyli go z powrotem, ale na razie nie możemy ryzykować ściągnięcia jego macierzy do układu. Od czasu do czasu mignie nam gdzieś ten Medeiros. Od razu niszczy wszystko, co wykryje.

Zastanowiłem się sekundę.

– Jego pojawienia są rozłączne w czasie, więc jest tylko jeden. Ale wygląda na to, że zaprogramował swoje niszczyciele do patrolowania i niszczenia wszystkiego, co wykryją. Zatem na razie ma przewagę.

Generał Kiroshi z japońskiej kolonii słuchał bez słowa w kolejnym okienku wideo. Nagle się odezwał.

– My mamy tylko małe drukarki, do szybkiej produkcji drobnych rzeczy, ale za małe do czegoś w rodzaju niszczycieli. Przeskalowanie się do porządných przemysłowych zajmie wiele miesięcy.

Richards kiwnął głową.

– U nas to samo. Wystarczą, żeby robić eksterminatory komarów i to tyle.

– Zaraz, co? – Usiadłem prosto.

Uniósł brew.

– Superkomary-wampiry-coś-tam-coś-tam-mutanty. Mack nie wspominał?

– A tak, coś pamiętam. – Spojrzałem na niego z ukosa. – Po prostu nie wiedziałem, że sami coś produkujecie.

– Musieliśmy, bo potrzebne ich były tysiące, a Mackowi się nie chciało. Są mniej więcej wielkości piłki do baseballa, więc do niczego poza komarami się za bardzo nie nadają.

– Ale... tysiące? – Nachyliłem się ku niemu z ogromnym zainteresowaniem.

Richards coraz bardziej wytrzeszczał oczy, w miarę jak docierało do niego, że coś jest na rzeczy.

– No... większość jest teraz wyłączona, bo chyba daliśmy sobie radę z tą plagą. Mieliśmy je w końcu rozdrukować z powrotem na surowce. Ale wydaje mi się, że w pewnym momencie mieliśmy ze trzy, cztery tysiące sztuk.

Na moją twarz powoli wypłynął uśmiech.

– Może są małe, ale jak kilkaset zderzy się jednocześnie z niszczycielem, skutek będzie. Może uda się nam oczyścić niebo nad Asgardem na tyle, żeby bezpiecznie posadzić drukarki na ziemi.

– One w ogóle będą w stanie latać poza atmosferą?

– To na pewno nie problem. Większym problemem jest przystosowanie ich do latania w atmosferze.

– Znakomicie – powiedział kapitan. – To jedziemy z tą operacją.

Eksterminatory komarów były za małe, żeby mieć nadajniki UNOP, musieliśmy więc każdej MSI dać komplet poleceń na każdą sytuację, jaka przyszła nam do głowy. Jeden na sto był przeznaczony na obserwatora – miał nagrywać wideo i wysyłać je do kolonii, jeśli to możliwe, a w przeciwnym wypadku nagrywać i wrócić z nagraniem.

Wypuściliśmy dwa tysiące eksterminatorów w pięciu grupach, licząc, że jak najwięcej niszczycieli weźmiemy z zaskoczenia. Niektórym kazaliśmy siać w paśmie radiowym jakimiś danymi, licząc, że to przyciągnie parę urządzeń Medeirosa.

Kapitan Richards ślał wszystko na bieżąco Kiroshiemu i mnie. Patrzyłem w mrowie okienek wideo z obserwatorów, ze statusami i telemetrią.

– Coś mignęło – obwieścił kapitan.

Oczywiście zobaczyłem zmianę w okienku parę milisekund przed nim, ale po co miałem mu przypominać o swojej prawdziwej naturze?

Telemetria z obserwatora pokazała dwóch zbliżających się wrogów. Eksterminatory zgodnie z programem zmieniły kurs na przechwytyjący.

Mieliśmy nadzieję, że Medeiros nie wbudował swoim niszczycielom nadmiernej ostrożności. Grupka urządzonek wielkości piłek nie powinna wyzwolić procedury unikania zagrożenia.

Niszczyciele ruszyły na hałasujące kulki, z pozoru ignorując towarzyszącą im chmurę. W ostatniej możliwej chwili wszystkie eksterminatory co do jednego zmieniły kurs, celując prosto w dwa niszczyciele. Zmiana dotarła do mózdków ich tępawych MSI, bo oba zrobiły ostry zwrot. Za mało i za późno. Mniejsze i zwrotniejsze urządzenia z łatwością za nimi nadążyły.

Kontakt nie był dramatycznym rozbłyskiem, do jakich byliśmy przyzwyczajeni, kiedy z kosmicznymi prędkościami zderzają się dwa ciężkie urządzenia.

Eksterminatory ominęły wielką stalową kulę z przodu i wycelowały w chłodzenie reaktora, emitery SURGE i inne widoczne elementy techniczne.

Działo to trochę jak gradobicie. Pierwsze dziesiątki zderzeń prawie nic nie zrobiły, potem pojawiły się wgniecenia, potem rozchodzące się spawy, wreszcie odpadające części. W niecałe trzydzieści sekund niszczyciele zaczęły bezwładnie dryfować, a nam wciąż została ponad setka eksterminatorów.

– Zobaczcie, czy uda się nimi ściągnąć te części na niższą orbitę – zaproponował Richards. – Jeśli uda się odzyskać surowce, to świetnie. Jak nie, to wpychamy wszystko w atmosferę, żeby Medeiros tego nie dostał.

Dobra strategia. Nie byłem pewien, jak ściągnąć tak wielką masę na ziemię inaczej niż w oczywisty sposób – ale tym się będę martwić, jak odzyskamy jakieś drony.

– Dwa z głowy... – Richards wyszczerzył się do mnie, potem odwrócił się w okienku do Kiroshiego. – Panie generale, jak oczyścimy okolice Asgardu, wyśle oddział eksterminatorów do was.

Generał Kiroshi kiwnął głową.

– Dziękuję. Nawet jeśli w końcu to się nie uda, takie wyniszczanie zwiąże Medeirosowi ręce.

– Tak – odparłem. – Po prostu trzeba je rozwalać szybciej, niż nadąża je robić. A jak produkuje niszczyciele, to nie produkuje drukarek.

– Bill, my to już pociągniemy – stwierdził kapitan Richards. – Będę cię informować na bieżąco.

I dobrze. Bo ja miałem na głowie jeszcze przygotowania do wojny z Innymi.

26. Walka o miasta

Marcus, wrzesień 2215, Posejdon

Patrzyłem na obraz dalekiego zasięgu, pokazujący rozszerzającą się chmurę odłamków, która była kiedyś moim Niebem-wabikiem. Od paru miesięcy wprowadzałem Radę w błąd co do mojej lokalizacji i najwyraźniej to kupiła. Trzy statki ochrony Rady opuszczały obszar z przyśpieszeniem o wiele za dużym, jak na transportowce, które udawały. Wyglądało na to, że i Rada potrafi być podstępna.

Wysłałem raport do Rikera, z kopią do Billa, i zapisałem własną kopię zapasową w mojej Twierdzy Samotności, orbitującej wokół Ety Kasjopei B. Gdyby Rada to kiedyś znalazła, byłbym w ciężkich tarapatach. Na szczęście to było mało prawdopodobne. Mieli może z kilkanaście statków, a druga gwiazda układu po prostu od dawna nie pojawiała się w rozmowach.

Oczywiście, Rada też prowadziła potajemne przygotowania, czego dowodem były te trzy podrasowane i uzbrojone transportowce. Sądziłem, że teraz, uznawszy mnie za martwego, rozegrają resztę kart.

Wróciłem do androida, który stał na spocznij. Kiedy poruszyłem rękoma, ustawiając je w luźniejszej pozycji, wszyscy się do mnie odwrócili.

– No i? – zapytał Kal.

Wyszczrzyłem się do niego.

– Trzy bardzo niestandardowe statki transportowe właśnie zniszczyły mój wabik. A próbował uników, zgodnie ze swoimi publicznie znanymi parametrami. Jestem pewien, że bezpieczeństwa Rady jest bardzo z siebie dumna.

– A co z tymi transportowcami?

– Leci za nimi parę zakamuflowanych niszczycieli. Ale nie wiemy jeszcze, jaka jest sumaryczna siła ognia Rady ani gdzie ją rozmieścili. Trzeba zakładać, że mój szacunek, kilkanaście statków, może być błędny. Musimy czekać i obserwować, niech zagrają kolejne karty. No i pamiętajcie: oficjalnie ja nie żyję.

Gina uniosła wzrok znad telefonu i włączyła się do rozmowy.

– Zaatakowali cztery miasta: Lothara, Morbusa, Xanatora i Gathola. Próbowali wejść na pokład i przejąć kontrolę. Tu miałeś rację, starali się ich nie uszkodzić.

– Status? – zapytałem.

– Odparci przy znacznych stratach po ich stronie. Nie spodziewali się oporu.

– Ani – wtrąciła Gina – systemów uzbrojenia, których nie było na projekcie.

Uśmiechnąłem się szeroko.

– To przeze mnie. Zapomniałem zgłosić te poprawki do Wydziału Pozwoleń.

Kal machnął telefonem.

– Wydali oświadczenie.

Wszyscy odwrócili się do niego, nie mogąc się doczekać, co też tam Rada wymyśliła. Kal przeczytał tekst na głos, umyślnie nadętym tonem. Kiedy skończył, usiedliśmy w półkołu gotowi na naradę wojenną.

– Czyli w skrócie – powiedziałem, patrząc na kopułę nad głową – zły replikant przestał działać i wszyscy mają być teraz dobrymi, grzecznymi obywatelami i wrócić na dywany. Bo inaczej...

– Bo inaczej w ciągu dwudziestu czterech godzin zaczną zestrzeliwać nasze miasta. – Kal pokręcił głową w przesadzonym niedowierzaniu. – Jesteśmy w stanie wojny, nawet jeśli to słowo nie zostało użyte. Wysadzenia Marcusa nie da się zinterpretować inaczej.

– Zapewne mogą przyjąć stanowisko, że ja nie jestem żywy, więc to była kwestia odesłania na złom jakiegoś krnąbrnego sprzętu. – Uśmiechnąłem się do nich krzywo. – A to, co zrobią z tymi miastami, to może być „porządkowa akcja policji”.

Gina przewróciła oczyma, przedrzeźniając moją ulubioną minę.

– Albo po prostu mieli dość twojego gadania. Teraz to masz ochotę walczyć?

Pokręciłem głową.

– Nadal nie wiem, gdzie mają wszystkie swoje zasoby. A chcę zniszczyć wszystko jednocześnie, jednym czystym atakiem. I nie chcę nikogo zabijać.

– Z tym to powodzenia – mruknął Kal.

Następne kilka godzin poświęciliśmy na monitorowanie rozwoju sytuacji. Powstało coś w rodzaju pata – Rada rzucała groźby, a miasta odpowiadały, że niech spróbuje, albo po prostu ją ignorowały.

Nagle – kolejny problem.

Od słońca nadleciały dwa statki i wystrzeliły pociski w stronę Amhoru. Ja wszystkie zasoby skupiłem po przeciwnej stronie w układzie, gdzie śledziłem lub szukałem sił Rady, nie miałem więc nic do obrony. Na szczęście miasto miało pewne nieudokumentowane opcje...

A dokładnie: wieżyczki z działkami strzelającymi wiązką cząstek, dzięki pracom Billa i jego Skunk Works. Włączyły się natychmiast i próbowały zestrzelić pociski. Napastnicy natychmiast zareagowali wystrzeleniem kolejnych.

– Mnie zaimponowali – powiedziałem. – Podstawowa konstrukcja takiego transportowca nie pozostawia dużo miejsca na magazyny uzbrojenia i wyrzutnie. Ciekawe, jak...

– Jezus, Marcus, my tu jesteśmy w niebezpieczeństwie. Możesz się trochę przyciszyć?

Rzuciłem Kalowi przepraszający uśmiech i odwróciłem się z powrotem, żeby oglądać ten dramat.

Statki najwyraźniej pozbyły się wszystkich pocisków, a nasze baterie obronne straciły pierwsze dwa. Druga para była jednak niebezpiecznie blisko. Wyglądało też na to, że rozkminiły prawidłowości naszej obrony, więc teraz udawało im się uniknąć kolejnych salw.

W przypływie natchnienia przejąłem kontrolę nad kilkoma parkującymi na lądowisku fruwaczami. Posłałem je z pełnym przyśpieszeniem w stronę pocisków. Nie były wojskowymi pojazdami ani latającymi materiałami wybuchowymi, więc nie miały tak naprawdę szans na doścignięcie czy choćby przechwycenie nadlatujących rakiet. Udało im się za to odwrócić uwagę sterujących pociskami MSI. To wystarczyło, by trochę spowolnić uniki – i nasze wieżyczki zestrzeliły je oba.

Statki, na oko już nieuzbrojone, odwróciły się i odleciały. Zawołałem z orbity kilka dronów, żeby je śledziły. Jeśli polecą na jakąś bazę po zapasy, będę mieć cel.

Nie było jednak czasu na świętowanie zwycięstwa.

Kal zerwał się na nogi i wybuchnął litanią przekleństw. Potem odwrócił się do nas i powiedział:

– Skurwysyny zestrzeliły Thark.

Wszyscy sapnęli w szoku, ale to nie było zaskoczeniem. Thark i Amhor były siedzibami czegoś, co ironicznie nazywaliśmy Radą Rewolucyjną. Rozsiewaliśmy dezinformację, ale Rada ją jakimś sposobem przejrzała.

Rada właśnie podbiła stawkę.

Gina zapytała:

– Ktoś przeżył?

Kal przez kilka sekund patrzył w telefon, wodząc wzrokiem tam i z powrotem. Zauważyłem, że parę innych osób też wściekle stuka w swoje tablety.

– Widoczne były wystrzeliwane kapsuły ratunkowe, zanim miasto spadło do wody. Ale na pewno nie wszyscy zdążyli.

Gina łypnęła na mnie spođe łba.

– Teraz to już mamy wojnę. Spróbują rzucić na nas wszystko, co mają, żeby skończyć, zanim zdążymy zareagować. Nie przestaną, póki nie będą pewni wygranej. I to się będzie eskalowało i będą ginąć kolejni ludzie. Twoja kolej, Marcus.

Westchnąłem i pokiwałem głową. Bez słowa wyłączyłem mojego androida i wróciłem do VR-ki. Szybka kontrola statusu pokazała z komputerową szybkością, że moje niszczyciele obstawily już każdy statek Rady, który udało nam się namierzyć. Kazałem wszystkim zaatakować, skupiając się na zniszczeniu reaktora lub napędu.

Temat kamuflażu niespecjalnie pojawiał się w rozmowach z Radą, więc statki nie mogły nic poradzić. Każdy strzał idealny, nie powinno być żadnych ofiar, chyba że ktoś w złym momencie stał przy samym reaktorze. Ze wszystkich wystrzeliły kapsuły ratunkowe.

Ale na Radę to jeszcze za mało. Do tego potrzebna była Faza 2.

Rada розміściła ochronę w strategicznych lokalizacjach, jak elektrownie, parkingi fruwaczy, miała też patrole pilnujące, żeby obywatele siedzieli na miejscu i przestrzegali godziny policyjnej. Dałem polecenie i statki transportowe rzuciły oddziały szopów na całą powierzchnię dywanów Północnego i Południowego. Już sto lat temu w Nowym Handeltown poznałem ich przydatność w roli żołnierzy piechoty. Teraz dysponowałem modelami większymi niż dwudziestocentymetrowe.

Personel bezpieczeństwa Rady we wszystkich miastach i strefach przemysłowych został zaatakowany przez szopy, od parucentymetrowych modeli, które włożą ci do spodni, aż po dwumetrowe do ciężkich prac – a wszystkie uzbrojone w noże plazmowe, szczypce i całkowity brak strachu.

Po dziesięciu minutach Gina, koordynująca wszystko z miejscowym ruchem oporu, potwierdziła, że „czysto”. Otworzyłem okienko wideo.

– Namierzyłeś już członków Rady?

Pokręciła głową.

– Nie, tak jak się spodziewaliśmy, wszystkie ich publiczne lokalizacje były z dupy. Spora szansa, że i ostatnia historia przemieszczeń też jest fałszywa. Szukamy na podstawie łatwości obrony i tajności.

– Ja i tak obstawiam łodzie podwodne – odparłem.

Prychnęła.

– Jak tak, to mogą sobie w nich siedzieć, ile chcą. Nie będę ryzykować spotkania z krakenem albo hydrą tylko po to, żeby połapać tych gnojów.

– Może miejscowa fauna załatwi to za nas.

W drugim okienku pojawił się Kal, dołączając do konferencji.

– Mamy kontrolę nad centrum łączności. Mam coś rozgłosić do wszystkich?

– Tak zrób – rzuciłem. – I zobacz, czy są jakieś nowe wieści z Thark.

– Już to zrobiłem. Mniej więcej połowę mieszkańców wyłowiliśmy – odparł.

– Szukamy kolejnych kapsuł. Na teraz brakuje mniej więcej stu pięćdziesięciu osób.

Zamknąłem oczy, bo zrobiło mi się niedobrze. Przyznawaliśmy sami przed sobą, że mogą być jakieś ofiary, ale rzeczywistość – nawet, na razie, potencjalna – była o wiele trudniejsza do zniesienia.

– Dobra, Kal. Dawaj znać na bieżąco.

Jak będę miał czas, trzeba się będzie zastanowić nad sobą. Rewolucja na Posejdonie, wojna o Układ Słoneczny, obalenie Nowego Jeruzalem... moje kolejne wcielenia zawsze pakują się w sam środek takich rzeczy.

Za ile ofiar jestem osobiście odpowiedzialny?

27. Naprawa Herschel, lipiec 2227, Delta Pavonis

Naprawdę nie ma powodu, by twoja reprezentacja w VR-ce była spięta. Wiedziałem o tym. Nic to nie pomagało. Stwierdzałem, że zaciskam zęby tak mocno, że boli mnie szczęką.

Po miesiącach analizowania i majstrowania byliśmy z Neilem gotowi do uruchomienia generatora. Zabezpieczający ładunek atomowy tkwił pośrodku centralnego korytarza, tak na wszelki wypadek. Jednakże, szczerze mówiąc, nie sądziliśmy, by okazał się konieczny. Okablowanie poddało się w końcu naszemu detektywistycznemu wysiłkowi i byliśmy przekonani, że uda nam się uaktywnić generator i nie zasilić wszystkich ładowni.

Pozostawało jednak pytanie o sam generator. Tę technologię pierwszy raz widzieliśmy na oczy i opieraliśmy się w dużej mierze na domysłach. Nie trzeba chyba mówić, że domysły i wielkie generatory mocy niespecjalnie do siebie pasują.

Całkowitymi idiotami nie byliśmy – cofnęliśmy się na ponad tysiąc kilometrów, a ostatnie czynności wykonywały szopy i drony. Przez chwilę zastanawiałem się z nudów, czy MSI kiedyś znudzi się noszenie startrekowych czerwonych koszul. Pewnie nie. Dawno by zastrajkowały.

– Jeśli to się nie uda, będziemy w czarnej de. – Neil zerknął na mnie.

– Czarnej dziurze? To i tak lepiej niż być chmurą zjonizowanego gazu. Nawet jeśli się uda, i tak będą pytania. Naprawdę trzeba to było wszystkim rozgłosić pierwszego dnia po znalezieniu.

– Ech. Ty. – Łypnął na mnie złowrogo, unosząc kącik ust w uśmiešku niedowierzania. – Czemu ty mi to mówisz?

Wyszczrzyłem się do niego.

– Dobra, żarty na bok, stary. Jesteśmy Bobami z ósmego pokolenia. Pariasami. Nawet ochrona ze Star Treka patrzy na nas z góry. Chyba nie dziwne, że chciałbym mieć coś, żeby wymalować sobie pamiątkę na kadłubie?

Neil wziął głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze.

– No tak. Jeśli się uda, wszystko nam wybaczą.

– Czyli...

– Zaczynam skanowanie – odpowiedział, łapiąc aluzję w lot. – Jest obraz. Dobra, Herschel, startuj, kiedy tylko chcesz.

Wydałem rozkaz i szopy rozpoczęły procedurę aktywacji *Złomu 1*. Przejście przez kroki startowe zajęło obcemu generatorowi prawie trzy minuty. Później to sobie przeanalizujemy, na nagraniu wideo z SUDDAR-u.

W końcu sukces. Na statku obcych pozapalały się światła. Odczyty wskazały pojawienie się napięcia na różnych podsystemach. Dopilnowaliśmy, by większość statku pozostała niezasilona. Zdecydowanie nie chcieliśmy włączyć żadnych układów zabezpieczających. Szopy puściły parę testów i przysłały wyniki. Zagwizdałem.

– Poziom mocy tego czegoś jest po prostu absurdalny. Zakładając, że jest liniowy.

– Pamiętasz te wskaźniki z *Zakazanej planety*? – Neil wyszczerzył zęby. – To coś w tym stylu. Nawet do pierwszej kreski jeszcze nie dojechaliśmy.

Kiwnąłem głową wpatrzony w przestrzeń.

– Chyba, ten... teraz to już trzeba wpaść do Billa.

– Noo... w Bobiwersum oczywiście nie ma praw... – Mina Billa przeczyła jego nonszalanckiemu tonowi.

Nerwowo popatrzyliśmy po sobie z Neilem.

– Ale wy i tak jesteście debile. – Uniósł dłonie w geście „ja się poddam”. – Jakby coś poszło źle i was załatwiło, nigdy byśmy się o tym nie dowiedzieli.

– Robiliśmy kopie zapasowe...

– Aha, a skąd byśmy wiedzieli, że trzeba je włączyć? Telepatycznie?

– E... – No tak. Wbiłem wzrok we własne buty.

Widząc moją minę, Bill trochę złagodniał.

– Właściwie to, wiesz, Herschel, to jest kolejny projekt, nad którym pracuję. Bitwa o Deltę Pavonis jasno pokazała, że potrzebujemy bardziej zorganizowanego systemu zarządzania kopiami zapasowymi.

Wskazał nam fotele i zawołał Jeevesa. Wyglądało na to, że jednak nie obedrze nas ze skóry.

– Dobra, opowiadajcie.

Usiadłem i wziąłem kawę. Upiłem parę małych łyków, żeby dać sobie czas na uspokojenie nerwów. Potem pootwierałem rysunki i schematy oraz okienka wideo.

– Podstawy już znasz. Znaleźliśmy wraki, w jednym z nich udało nam się odpalić zasilanie. Źródłem energii nie jest generator termojądrowy. Mogę prawie przysiąc, że jest oparty na jakiejś formie zjawiska Casimira. Na ten temat jest odrębna analiza.

Przesunąłem jeden zestaw diagramów na bok, aby rozwinąć inny, większy.

– *Złom 2* to złom. Przetrzepaliśmy go i nie znaleźliśmy nic ciekawego. Kupa surowca wtórnego i tyle. Nasze sprzęty od paru miesięcy kroją go na wygodniejsze kawałki. Ale jest jedna rzecz... – Urwałem dla efektu. – *Złom 1* to w istocie wielki, prawie pusty kontener z wbudowanym zasilaniem. Oczywiście SI i napęd poszły się walić, ale co z tego? – Wyszczrzyłem się do Billa.

Bill zmarszczył czoło i widziałem, że jeszcze do niego nie dociera. Nagle speszony spojrzałem na Neila. Przegapiliśmy coś oczywistego? Zaraz wyjdziemy na kompletnych głupków?

Neil przewrócił oczyma, nieznacznie, po czym zwrócił się do Billa.

– Bill, obstawimy go holownikami i to będzie najzajebistszy statek kolonia w historii. Potrzeba tylko kapsuł.

Bill powoli wytrzeszczył oczy, w miarę jak zapalała mu się żaróweczka.

– Ja pier...

Pokiwałem głową, odzyskując pewność siebie.

– I całą pozostałą ludność Ziemi mógłbyś zabrać za jednym zamachem!

28. Rewanż

Bob, kwiecień 2224, Eden

Caerleon był pełen ruchu, wręcz gorączkowego. Może chodziło o wiek mieszkańców, może o stosunkowy brak grup rodzinnych. Został zasiedlony przez młodzików, tuż po osiągnięciu dojrzałości płciowej, przechodzących młodzieńczą fazę buntu. Zgadzałem się z Marvinem, że kiedy przeprowadziliśmy wszystkich do Camelotu i stopa urodzeń nagle wzrosła, stworzyliśmy pokolenie wyżu demograficznego. Taka liczba nastolatków, u których w tym samym czasie szaleją hormony, zapewne nakręcała się nawzajem. W każdym razie trudno się było tam podkraść.

Miałem oczywiście przewagę, nie mając zapachu i mogąc całkowicie znieruchomieć. Do tego parę sztuczek z komandoskim kamuflażem, które wyszukałem w pokładowych bibliotekach. Mimo to zajęcie odpowiedniej pozycji trwało prawie pięć godzin. Pierwszy Bob byłby jednym wielkim zdrętwiałym mięśniem, na szczęście mięśnie androida się nie męczyły.

Byłem więc na posterunku. Z monitoringu wynikało, że Fred ma pewne ulubione miejsce załatwiania spraw fizjologicznych i jest raczej stały w nawykach. Wybrałem sobie punkt, w którym mogę go dopaść, kiedy będzie wracał, i czekałem.

Kiedy wszedł z powrotem na ścieżkę, rzuciłem się na niego i uderzyłem całym ciałem. Przycisnąłem go do drzewa i przytknąłem do szyi ostrze krzemiennego noża.

– Cześć, Fred. Pamiętasz naszą ostatnią rozmowę?

Wytrzeszczał oczy ze strachu i nie próbował się wyrwać.

– Teraz jesteś mój, *kuzzi*. – Praktycznie plułem mu w twarz jego ulubioną obelgą. – Ode mnie zależy, czy dożyjesz dzisiejszego zachodu słońca. Rozumiesz?

Fred rozumiał. Bił od niego zapach strachu. Jednakże najwyraźniej nie zamierzał się po prostu poddać.

– Moi kumple ci tego nie darują – powiedział. – Dopadną cię.

Miał rację. Obawiałem się tego, ale liczyłem, że tak nie będzie. Jeśli w ogóle nie skapituluje, może rzeczywiście będę musiał go zabić. Dam radę zrobić to z zimną krwią? Jeśli się usztyni i sprawdzi mój blef, to albo go morduję, albo tracę twarz.

Z drugiej strony, gdybym przyszedł z Donaldem, Fred już by nie żył.

Bardzo to było kuszące. Tyle że nawet zanurzony od tylu lat w deltańskiej cywilizacji, wciąż miałem w sobie XXI-wieczny lęk przed odbieraniem komuś życia.

– Co ty masz za problem, Fred? Nie umiesz sam polować? Nie wiesz, którym końcem się rzuca dzidą? A może leniwy jesteś i tyle?

Uszy Freda oklapły, a wargi odsłoniły zęby – u Deltanina tak wyglądała wściekłość.

– Dla was to takie proste, prawda? Siedzicie sobie dupą na wszystkich tych surowcach i tylko kłapiecie mordami, że inni wam do pięt nie dorastają, tak? Ja nie muszę ciebie słuchać.

– Na razie tak jakby musisz. – Przycisnąłem ostrze mocniej do szyi, żeby to podkreślić.

Fred był teraz wściekły.

Zaskoczyła mnie ta reakcja. Coś źle zrobiłem i teraz on już nie mógł ustąpić. Ciekawy temat do namysłu, ale raczej nie miałem już wyjścia.

Nagle tknięty natchnieniem posłałem drona szpiegowskiego, żeby narobił podejrzanego hałasu i ściągnął paru tubylców. Po chwili obaj słyszeliśmy, że jego kumple nadchodzą, nawołując go. Wyszczерzył się do mnie triumfalnie. Jeśli znajdą trupa, cała wioska rzuci się w pogoń za mną.

I bardzo dobrze. Niech sobie tak właśnie myśli. Przysunąłem twarz do jego twarzy.

– Po prostu pamiętaj: mogę cię znaleźć, kiedy tylko zechcę. Następnym razem nie będę z tobą gadał, nawet się nie zorientujesz, że przyszedłem. Może trzymaj się stale tych swoich kumpli.

Po czym walnąłem go standardowo w splot słoneczny, a kiedy padał, zabrałem mu dzidę. I zniknąłem w lesie, zanim pojawili się jego koledzy.

No cóż, nie tak to poszło, jak planowałem. Wróciłem do Camelotu, całą drogę próbując się przekonać, że gdybym musiał, byłbym w stanie go zabić.

Przy kolacji opowiedziałem całą historię Archimedesowi. Wziął dzidę Freda i przyjrzał się jej mimochodem.

– Donald po prostu by go zabił – powiedział. – Ja... niechętnie. Trudno się zabija ludzi, chyba że cię atakują.

Obrócił dzidę i zaczął się przyglądać grotowi.

– Beznadziejna robota. Ktoś po prostu rozbił bułę krzemienia i przywiązał do drzewca najostrzejszy odłamek. – Pokręcił głową. – Prędzej to odpadnie, niż wbije się w cel. Jak mają tylko takie, nie dziwne, że muszą kraść łupy naszym myśliwym.

Uniosłem brwi. No dobra, tak naprawdę android wysunął uszy do przodu i opuścił, ale dla mnie to było jak równoważna ludzka mina.

Skoro mieszkańcom Caerleonu przez kiepski sprzęt nie idzie polowanie... Czyżby to miało być tak proste? Niejedna wojna na Ziemi wybuchła przez tego typu postrzegane nierówności. Chętnie myślałem, że Deltanie w sumie są trochę bardziej rozsądni od ludzi, ale nie aż tak.

Oparłem się o głaz i wpatrzyłem w przestrzeń, analizując opcje.

29. Nadciągająca burza

Howard, maj 2220, Wolkan

Stałem przed salą sądową i oddychałem głęboko. Czułem prawie niepokonowaną żądzę zrzucenia skały na ten budynek. Spodziewałem się wrednych posunięć. Mecenas Benning ostrzegła mnie, że strategia dzieci będzie oparta na atakach.

Ale wiedzieć o atakach, a być na nie narażonym to coś zupełnie innego. Kiedy się słuchało ich prawnika, byłem kimś w rodzaju dziwacznej krzyżówki Rasputina, Svengalego, Machiavellego i Lucyfera. Nie oskarżyli mnie dosłownie o podawanie Bridget narkotyków i pranie jej mózgu, ale z pewnością to właśnie sugerowali.

Mecenas Benning stanęła obok mnie.

– Po przerwie będzie dalej to samo. Proszę tylko pamiętać, że on próbuje pana zdenerwować, żeby popełnił pan jakiś błąd.

Uśmiechnąłem się.

– W tej kwestii mam pewną przewagę.

Bo miałem. Podczas przesłuchania włączyłem system kontroli hormonalnej. To zabawne, że nasz proces klonowania, po tylu generacjach statków *Niebo*, wciąż go uwzględniał. Po jego włączeniu oskarżenia i insynuacje mecenas Kistlera tylko nieznacznie mnie wzruszały.

I dobrze. Bo najchętniej wyciągnąłbym jedną rękę i zmiażdżył mu gardło.

Doktor Onagi podszedł do nas. Zerknąłem na niego.

– Czy my powinniśmy teraz rozmawiać?

Spojrzał na panią Benning, która uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Nie ma problemu. Szpital także jest pozwany, więc jesteśmy po tej samej stronie. Co pan myśli, doktorze?

– Nie ufam im.

– Hmm, to chyba nic nowego? – Uniosłem brew.

– Nie, nie, mam na myśli coś więcej niż tylko walkę w sądzie. Szczególnie ta najstarsza córka to niezły numer. Zastanawiam się, czy jeśli przegrają sprawę, ona pogodzi się z porażką.

Mecenas Benning uniosła brwi.

– Ma pan na myśli jakiś sabotaż?

Doktor kiwnął głową.

Wow... Nie poczułem, że krew odpływa mi z twarzy – w końcu nie mam żadnej krwi – ale wrażenie spadającej windy miałem jak najbardziej.

– Możemy wygrać, a i tak przegrać.

– Trzeba się nad tym dobrze zastanowić – powiedziała mecenas. – Niezastosowanie się do nakazu sądu, jeśli to wyjdzie na jaw, będzie świadczyć na pana niekorzyść, więc proszę nie robić niczego ryzykownego. Jednak i tak...

Zapadła niezręczna cisza i wszyscy wpatrzyliśmy się w przestrzeń.

30. Armagedon

Bill, czerwiec 2223, 82 Eridani

Właśnie przeglądałem z Garfieldem jakieś plany, gdy dostałem pilny telefon od kapitana Richardsa. Otworzyłem okienko wideo.

– Co tam, panie kapitanie?

– Bill, tak dobrze nam szło to sprzątanie niszczycieli z orbity, że stwierdziłem, że mogę kilkanaście eksterminatorów poświęcić na zwiad w punktach Lagrange’a. Żeby zobaczyć, co tam Medeiros kombinuje.

Kiwnąłem głową. Nie podobało mi się, dokąd to zmierza.

Richard wyświetlił ziarniste wideo nagrane z dużej odległości.

– Coś takiego się pokazało.

Częstotliwość i rozdzielczość były słabe, ale widziałem, że Medeiros pracuje wokół wlewków metalu używanych jako surowiec dla autofabryk.

– Co on tam robi? – zapytałem.

– Puściliśmy trochę interpolacji. Chyba przyczepia niszczyciele do sztab jakimiś linkami.

– O cholera. – Bieda-holownik asteroid. Sztaby nie były wielkie, ale metalowe, więc wejście w atmosferę przetrwałyby prawie bez szwanku. Jeden taki spokojnie dałby radę zrobić nowy Krater Meteorytowy. Aż nadto, by zniszczyć całą kolonię.

– To zmienia nasz plan. Jak wam idzie z drukarkami?

– Mamy z sześć. – Skrzywił się. – Jedna robi platformę dla Macka, trzy – drony i szopy, a dwie – małe niszczyciele, zgodnie z twoim planem. – Pokręcił głową. – Co to w ogóle są te dwudziestokilogramowe niszczyciele?

Uśmiechnąłem się słabo.

– To jest coś, czego Bob używał przeciwko sile żywej. Ale nasze doświadczenia z eksterminatorami komarów pokazują, że większa liczba małych jednostek może być równie skuteczna, jak kilka dużych – a są do tego bardziej elastyczne. Medeiros pewnie już zaczął wzmacniać pancierz na swoich niszczycielach, więc antykomary będą mniej efektywne. Te trochę podbiją stawkę.

– To mamy się przełączyć tylko na niszczyciele?

– Jeszcze nie, kapitanie. Możemy się na razie obejść bez Macka, ale dronów i szopów potrzebujemy, choćby do montażu tego wszystkiego. Puszczę analizę mini-maks i zobaczę, jakie proporcje dadzą najlepszy zwrot. Dam znać.

Jednocześnie kiwnęliśmy głowami i rozłączyliśmy się. Odwróciłem się do Garfielda, który słuchał całej rozmowy.

– On chce nam po prostu wszystko rozwalić, nie? – Garfield był szary z niepokoju.

– Najprawdopodobniej to motyw przewodni tych brazylijskich sond. Nie wiem, czy to rzecz kulturowa, wojskowa tresura, czy coś, co mu brazylijscy naukowcy wbudowali jako imperatyw, kiedy tworzyli replikantów.

– Albo oni wszyscy zwariowali.

Wzruszyłem ramionami.

– W praktyce to wszystko jedno. Musimy zareagować na zagrożenie. I nie widzę żadnego powodu, żeby zmieniać politykę strzelania bez ostrzeżenia.

Garfield tylko prychnął na zgodę.

– Zaczął holować tę sztabę. – Richards łypnął na mnie z okienka wideo.

– Jak mu się to udało? – zapytałem. – Jeszcze wczoraj miał o wiele za mało tych niszczycieli.

Wzruszył ramionami.

– Dalej ma za mało. Myślę, że po prostu zaczął, choć nie jest gotowy. Przyspieszenie ma minimalne.

– Ale po drodze doda więcej niszczycieli, w miarę jak je robi.

Richards kiwnął głową.

– Niestety nie da się jeszcze powiedzieć, w którą kolonię celuje. Może nawet jeszcze nie postanowił. Ma dwadzieścia cztery godziny na decyzję.

– Mamy już drukarki w obu koloniach, prawda? – Zacząłem przeczesywać włosy dłonią, ale się powstrzymałem. – Czyli wszystko jedno, którą wybierze. Obstawiam Asgard, po prostu dlatego, że ma bliżej.

– Musimy go natychmiast atakować. – Richards wysunął szczękę. – Skontaktuję się z generałem Kiroshim, zobaczymy, co on może poderwać.

– Tak. I proszę do mnie od razu zadzwonić.

– To za mało – powiedział Kiroshi. – Brakuje nam dwóch niszczycieli, żeby mieć choć jeden na jeden, a i to, nie licząc samego Medeirosa. Nie da się tego wygrać.

– I to zakładając, że wiemy o wszystkich jego sprzętach. Jeśli ma jeszcze trochę w ładowni, szanse są jeszcze mniejsze.

– Nie widzę tego – odparłem, patrząc na Richardsa. – Gdyby miał, to one też by ciągnęły ten wlew.

– A mamy wybór?

Westchnąłem.

– Nie za bardzo, panie kapitanie. Im dłużej czekamy, tym trudniej będzie zmienić jego kurs. A zanim dotrze, zdążymy dobudować co najwyżej ze dwa niszczyciele.

Padło jeszcze parę uwag, lecz wszyscy wiedzieliśmy, że naprawdę nie mamy wyboru. Te niszczyciele musiały być wstępnie zaprogramowane, bo nie mieliśmy czasu na doinstalowanie UNOP-ów. Wysłaliśmy je z obu kolonii, tak by dotarły jednocześnie.

Już miałem się rozłączyć, gdy do głowy przyszła mi pewna myśl.

– Panowie, a ile tych antykomarów jeszcze mamy? I gdzie są?

– Trochę ponad dwieście – odpowiedział Kiroshi. – Wszystkie na orbicie wokół Takamy. Od paru dni nad koloniami nie mieliśmy żadnych bliskich spotkań. A co?

– To dorzucmy je też. Przeliczę parę rzeczy i podam wam czasy i wektory.

Nasze niszczyciele dotarły w planowane miejsce w planowanym czasie. Ponieważ nie miały UNOP-ów, wideo dostawaliśmy z parominutowym poślizgiem post factum. To, co widzieliśmy, już się stało.

W całej operacji nie mogło być żadnej finezji. Każdy z naszych niszczycieli mógł zdjąć jeden niszczyciel Medeirosa. Jeśli nie zdarzy się cud, albo Medeirosowi coś nie wyjdzie, zostanie nam on sam oraz dwa niszczyciele.

Patrzyliśmy jak na czternastu obrazach wideo zbliża się czternaście celów, po czym czternaście obrazów zniknęło.

– Podręcznikowo – stwierdził Richards.

Uśmiechnąłem się nerwowo.

– I w tej chwili Medeiros pewnie jest całkiem z siebie zadowolony.

Wyskoczyły dwa nowe okienka, gdy na Medeirosa ruszyły eksterminatory komarów. Wiedzieliśmy, że zostawiamy mu jeszcze dwa niszczyciele, ale

dopilnowaliśmy, żeby to były te uwiązane do sztaby metalu i niezdatne do obrony.

Medeiros wykrył nadlatujące antykomary i uciekł, ale było o wiele za późno. W odróżnieniu od niszczycieli, które hamowały, by dotrzeć na pole bitwy z prędkością zapewniającą dobrą sterowność, eksterminatory przyśpieszały cały czas od samej Takamy. Dotarły więc ze znaczącym pędem – w brazylijski statek trafiła tylko połowa, ale sto małych uderzeń i tak wystarczyło, by rozpruć mu burtę. Medeiros zgubił kurs i zaczął dryfować.

– Leży – powiedział Richards. – Nie wiem, czy żyje, ale nie ma napędu.

– Są gdzieś jeszcze jakieś niszczyciele? Albo antykomary? – Kiroshi popatrzył po kolei na nas obu.

Pokręciłem głową.

– Niszczyciele zużyte. Antykomarów mamy mnóstwo, ale wszystkie oddalają się teraz z ogromną prędkością od Medeirosa. Wyhamowanie zajmie im tyle samo czasu, co przyśpieszanie do tej prędkości. A potem będą musiały przyśpieszyć w przeciwnym kierunku.

– Możliwe, że on nadal będzie wyłączony. Nie wiemy, ile szopów mu w ogóle zostało po kosmicznej bitwie o Macka.

To prawda. Warto było spróbować.

– Dobrze, panie generale. Wysyłam polecenia do antykomarów. Jesteśmy związani szybkością światła, co też doda opóźnienia. Myślę, że nie zdążą wrócić wcześniej niż za jakieś dwadzieścia dwie godziny.

Richards zmarszczył czoło.

– Cholera. Szybciej byśmy tam przylecieli paroma dronami.

– I co zrobili? Nawet na pełnym przyśpieszeniu wiele szkód mu nie zrobią.

– Myślałem bardziej o przechwyceniu samego Medeirosa.

Wytrzeszczyłem oczy na Richardsa. Nie przyszło mi to do głowy. Wsadzić do ładowni tych dronów parę szopów, żeby weszły na brazylijski statek i wydobyły macierz z replikantem. Poczułem lekkie mdłości, uświadamiając sobie, co nie do końca planujemy. Wspomnienia o Homerze, o pięciu kostkach w serwerowni na Ziemi podczas szkolenia Boba 1, zmieszały mi się z wyobrażeniem Macka kontrolowanego przez Medeirosa. Przecież mamy do czynienia z kimś, kto zaraz miał rzucić metalowy meteor na kolonię. Wrażliwość jest nie na miejscu.

Drony zbliżyły się do brazylijskiego statku, który wciąż dryfował. Zdecydowaliśmy, że jest to na tyle istotne, że poświęcimy wszystkie szopy

Asgardu oprócz dwóch, potrzebnych do odbudowania kolejnych. To było prawie jak desant z morza. Wszystko poniżej stu procent ofiar było do zaakceptowania.

Dwa drony podeszły z maksymalną szybkością, na jaką pozwalały ich silniki, i wyhamowały bez marginesu bezpieczeństwa tuż przy rozdarciu w powłoce statku. Odskokczyły drzwi ładowni i do środka wdarło się osiem szopów, w tym dwa wielkie, przemysłowe. Oddział ruszył prosto do macierzy replikanta – wiedzieliśmy, gdzie jest, po pierwszym starciu Boba 1 z Medeirosem, jeszcze w Epsilonie Eridani.

Szopy napotkały natychmiastowy opór ze strony pokładowych szopów. Bitwa była krótka i zawzięta – teraz Medeiros walczył o życie. Standardowe szopy broniły tych większych, potrzebnych do ewentualnego przeniesienia macierzy. Błyskały palniki plazmowe, odnóża szopów unosiły się w zamkniętej przestrzeni.

Szala przechyliła się na naszą korzyść, gdy dotarło do nas, że przecież możemy użyć też tych dużych. Za każdym razem, gdy wrogi szop za bardzo się zbliżył, przemysłowy robot wierzgał nogą. Jeśli nawet ofiara od razu się nie rozpadała, to odbicie od ściany na parę chwil wyłączało ją z walki.

Liczba obrońców szybko spadła do jednego czy dwóch, zależy jak liczyć części ciała. Pozbyliśmy się ostatniego z nich i...

– Co jest, kurna?! – zawołałem, gdy zniknęły wszystkie strumienie wideo.

Garfield postukał w pulpit.

– Dronów też nie ma. Się... a, czekaj, zaraz, nie do końca. Z dwójki jeszcze coś idzie. Spróbuję włączyć kamerę.

Richards podskoczył zaskoczony w swoim okienku wideo, gdy uświadomił sobie to wszystko w ludzkiej skali czasowej.

– Co się stało?

– Najwyraźniej Medeiros rzucił się na własny miecz, by uniknąć pojmania – powiedział Garfield. Otworzył okienko wideo. – To pokazuje drugi dron. Uszkodzony. Sam nie poleci z powrotem.

Widzieliśmy brazylijski statek, czy raczej jego resztki. Rozpraszały się, wirując i odbijając promienie słoneczne. Statek został przecięty na dwoje, a obie połówki były rozpostarte jak kwiat.

– Musiał wiedzieć – stwierdziłem. – Wiedział, że to koniec. Nie mam pojęcia, czy myślał, że odbiera nam zwycięstwo, czy po prostu bał się, że go przejmemy i wyciągniemy z niego tajemnice. – Pokręciłem głową. – Nigdy nie zrozumiem Medeirosa. Naprawdę mam nadzieję, że to już ostatni raz się z nim stykamy.

– Ale jedno jest trochę niepokojące – dodał Garfield. – Pamiętam, że kiedyś, w czasach starcia z Bobem 1, był raczej z tych pompatycznych. Tym razem nie

powiedział ani słowa. Nawet żadnego monologu końcowego. Ciekawe, co to za tajemnice, które musiał zabrać do grobu.

Znakomite pytanie. Wyraz twarzy Richardsa i Kiroshiego wskazywał, że dzielą moje obawy.

– W ogóle się go nie spodziewałem – powiedział Mack. Siedział w mojej VR-ce z kawą w ręku i nogami na podnóżku. – Pamiętam, że rozmawiałem z tobą o osuszaniu bagien na Takamie i nagle jestem z powrotem w mojej domyślnej VR-ce.

– To prawda, trafił cię idealnie – uniosłem kawę. – Możesz sobie w wolnym czasie przejrzeć wideo. Ominęły cię całkiem ciekawe czasy.

– Które się jeszcze nie skończyły. – Mack zerknął na kawę, powoli marszcząc brwi. – Musimy zakładać, że Medeiros jeszcze nam się trafi, w takiej czy innej formie. Musimy mieć jakąś obronę, szczególnie tutaj i w Alfie Centauri.

– Prawda. Kolonie mówią, że nie ma sprawy, możesz zająć wszystkie drukarki sprzętem obronnym, póki nie osiągniesz jakiegoś minimalnego poziomu.

– No właśnie. Niszczyciele, potem nowy statek, parę klonów, kolejne drukarki. Trochę się zejdzie, nim będę w stanie bezpośrednio ich wesprzeć.

– Robią, co mogą, na swoich naziemnych drukarkach. Może, co do zasady, byłoby niegłupio, gdyby każda planeta miała też własną autofabrykę, choćby małą.

Mack kiwnął głową wpatrzony w przestrzeń.

– Tylko sobie pomyślimy, że mamy wszystko ogarnięte, to wszechświat od razu wali jakąś podkreconą piłką.

Wyszczrzyłem się do niego.

– Życie.

31. Sprzątanie

Marcus, wrzesień 2215, Posejdon

Strata głównej floty była dla Rady ciosem, ale jak się okazało, nie był to cios śmiertelny. Może ich nie doceniałem, a może mieli wśród siebie jakiegoś znakomitego stratega. Obojętne, jaki był powód, cały czas potrafili nas zaskoczyć.

Pierwszą niespodzianką – choć pewne podejrzenia miałem – był fakt, że mieli coś więcej poza kilkunastoma transportowcami. Pierwszy ślad pojawił się w dzień po przejęciu przez nas kluczowych „naziemnych” zasobów.

– Atakują kilka miast! – obwieściła Gina, raptownie siadając prosto.

Kal otworzył jedno oko – leżał na kocu i zażywał słońeczka – i rzucił:

– Czym?

– A sami zobaczcie. – Uniosła tablet. Miała na nim ziarnisty, ewidentnie nadmiernie powiększony obraz statku. Wyglądał na wariację na temat *Nieba 3*.

– Interesujące. Chyba musieli czytać BobNet – powiedziałem. – Nie wiem, czemu mi to nie przyszło do głowy. Normalnie nie uznałbym tego za strategiczną informację.

– A przecież większość ulepszeń Bobów w ostatnich *Niebach* była głównie pod kątem walki, nie? – zapytał Kal.

– Poza tym – dodał Denu – gdyby czytali BobNet, nie dowiedzieliby się o maskowaniu.

Uniosłem brew, wyszedłem z androida i podkreśliłem sobie zegar. Szybki skan ostatnich wpisów na BobNetowych blogach potwierdził, co myślałem.

Wróciwszy do normalnego czasu i do androida, odparłem:

– Denu, tam nic nie ma, poza ogólnym opisem. Mieliśmy szczęście. – Nie dodałem, że jednocześnie wysłałem opis całej sytuacji do Billa. Miejmy nadzieję, że przepatrzy blogi pod kątem innych wrażliwych informacji i je usunie. Świetnie. Właśnie z powrotem wynaleźliśmy tajemnicę wojskową.

Gina, cały czas monitorująca sytuację, obwieściła:

– Aanthor, Kaol i Ptarth odpierają atak rakietowy. Wygląda na to, że ten ktoś, kto jeszcze walczy, idzie w taktykę spalonej ziemi. Nawet nie próbują ich

zdobywać, chcą je rozwalić i tyle. – Popatrzyła na mnie ponad resztą.

Pokiwałem głową. Choć niechętnie włączałem się do bezpośredniej akcji, tym razem stawką były setki istnień ludzkich. Poderwałem parę oddziałów niszczycieli z ich kryjówek na Peliasie, wewnętrznym księżycu.

– Dotrą za parę minut – odpowiedziałem. – Możesz powiedzieć tym miastom, że pomoc jest w drodze?

Gina kiwnęła głową i wściekle pisała przez parę minut.

– Już.

– Niewiarygodne. – Denu pokręcił głową. – Po prostu chcą zabić tych ludzi.

– Denu, to jest wojna – odparła Gina. – My jej nie chcieliśmy, ale ewidentnie Rada nie godzi się z porażką. Choć sami pewnie się nie spodziewali, że to się aż tak wyescaluje. Ich ostatnie ruchy wyglądają raczej na improwizację niż jakąś strategię. – Spojrzała na mnie. – Nie namierzaliśmy trzech członków Rady. Każdy z nich mógł wydać ten rozkaz.

– Ja tam obstawiam Brennana. – Kal zerknął na nas. – Pozostali chyba mają dobre intencje, tylko zły kierunek. A jego zawsze interesowała wyłącznie władza.

– Możliwe. Załatwmy to, potem będziemy się zastanawiać, kto jest winny. – Uniosłem wzrok, bo HUD wyświetlił niszczyciele nadlatujące na pole bitwy. Kazałem im zlikwidować atakujące statki, w miarę możliwości przez uszkodzenie kluczowych systemów, a jeśli nie, to wszelkimi środkami.

Po paru sekundach przyszły raporty. Cztery statki wyłączone przez czyste trafienie w reaktor, trzy kolejne zniszczone całkowicie. Dwa pozostałe obróciły się na pięcie i uciekły.

Przez chwilę żałowałem ludzi, których właśnie zabiłem. Najprawdopodobniej tylko wykonywali rozkazy. Ale te rozkazy oznaczały strącenie z nieba miasta zamieszanego przez kilkuset cywilów. Jest punkt, poza którym wykonywanie rozkazów to żadne wytłumaczenie.

Za uciekającymi statkami puściłem kilka zakamuflowanych dronów, a ocalałe niszczyciele odwołałem. Jeśli w małych mózdkach Rady była jeszcze jakaś wątpliwość, czy przekłety replikant dalej istnieje, ta potyczka całkowicie ją wymazała. Odtąd jednostki Rady będą działać o wiele ostrożniej.

– Powiedz obrońcom miasta, żeby nie strzelali do tych dwóch statków – powiedziałem Ginie. – Niech doprowadzą nas do dowództwa.

Gina skinęła głową i opadliśmy z powrotem na trawę. Dziwne to było zestawienie – przywódcy rewolucji, w samym środku wojny na ostre naboje, kierują operacją, wylegając się na wypielęgnowanym trawniku.

Prześledziłem drogę uciekających statków – na stosunkowo nieduży dywan w prądzie północnym, opisany jako automatyczna platforma rolnicza. Wideo z dronów dowodziło, że nic z tych rzeczy: mała, ale dobrze zaopatrzona baza lotnicza, prawdopodobnie baza floty Rady.

– No to słabo. – Kal pokręcił głową. – Będziemy musieli teraz sprawdzić każdy dywan na liście.

– Najwyraźniej Rada planowała to wszystko od bardzo dawna.

– Albo przynajmniej planowała coś – odparł Kal. – Bo jak mogliby przewidzieć te twoje latające miasta?

Zgodziłem się z nim.

– To zresztą nie wygląda na wojskowe. Raczej ochrona. Wyślijmy szopy i ekipę sprzątającą.

Kal kiwnął głową. Oboje z Giną zaczęli wściekle pisać, a ja zająłem się ładowaniem szopów do dronów transportowych.

Przygotowanie do naszego ataku trwało dłużej, niż przewidywałem. Zdziwiony odkryłem, że po całym tym lataniu i strącaniu wrogich statków i pocisków moje zasoby zjechały prawie do zera. A nie mając pod kontrolą układowych drukarek, nie mogłem od razu nadrukować kolejnych. W końcu Gina zebrała oddział ludzi z ochrony i przypuściliśmy szturm na obrońców w starym stylu.

Tak jakby. Ja wciąż o wiele bardziej wołałem poświęcić MSI niż człowieka.

Gina osobiście dowodziła szturmem. Nie mogłem strzelać niszczycielami w budynki na pełnej prędkości – nie chciałem nikogo zabić – ale użyłem ich do uderzenia na pozycje strzeleckie, na tyle, żeby zmusić obrońców do wycofania się.

– Skupić się na zachodniej ścianie – rozkazała Gina przez system łączności. Nasi ludzie dali ogień zaporowy, każący obrońcom się ukryć.

– Marcus, ściana od południowego wschodu ma słaby punkt. Możesz tam dać jakieś materiały wybuchowe?

– Nie, niestety, nic wybuchowego. Są niebezpieczne do druku. Ale...

Słaby punkt był łatwy do zauważenia. Niszczyciel statków wjechał w ten narożnik ściany z prędkością około stu kilometrów na godzinę. Pięćset kilogramów stali załatwiło go całkowicie. Może aż za dobrze. Jak zwykle przy taranowaniu, wkładałem w nie trochę więcej zapалу, niż było potrzeba.

– Dzięki, kapitanie Rozpierducha. Wszystkie jednostki, wchodzimy, ostrożnie.

Posłałem z nimi jeszcze parę szopów, choć zostały mi tylko te małe. Na obrazie wideo zobaczyłem grupkę oszołomionych, obsypanych pyłem ludzi, bez woli walki.

– Chyba koniec, Gina. Wystarczy posprzątać.

Gina, zwykle surowa i poważna, uśmiechała się teraz bez skrępowania.

– Mamy Brennana. Nie ulega kwestii, że to on zarządził ataki. Ludzi z ochrony, których złapaliśmy, przepytamy, ale jestem prawie pewna, że nikt więcej z Rady nie maczał w tym palców.

– Ale i tak trzeba będzie coś z nimi zrobić. Będą procesy. Wyroki skazujące. I znowu pytanie, co dalej z nimi. – Kal wzruszył ramionami. – Ja obstawiam ciężką pracę fizyczną.

Gina sapnęła.

– Nie dzielimy skóry na niedźwiedziu. Nie wiemy, czy nie ma jeszcze jakichś ognisk oporu. Mogą się znaleźć ludzie, którzy będą jeszcze walczyć, ale mam nadzieję, że zdołamy ich powstrzymać. Jeśli wiatr nie przywieje jakichś jeszcze członków Rady, to nic zorganizowanego się nie pojawi.

– Czyli najważniejsza rzecz to znaleźć pozostałych członków Rady. – Kal popatrzył na mnie.

– Stary, niestety nie mam żadnego magicznego ustrojstwa do znajdowania pojedynczych ludzi na całej planecie. – Uśmiechnąłem się do niego krzywo. – Albo i poza planetą, bo nie można tego wykluczyć.

– No. – Kal potarł palcami czubek nosa. – Bo naprawdę zeszliśmy do zera z zasobami. Jeszcze jedna bitwa i prawdopodobnie wszystkiego zabraknie. Masz z powrotem dostęp do drukarek?

Kiwnąłem głową.

– I już zacząłem odbudowę, ale kilka dni minie, zanim cokolwiek wylezie z drugiej strony. Jeśli wyniknie kolejna walka... – zerknąłem znacząco na Ginę – to lepiej stawiać na powstrzymywanie niż otwarte starcie.

Kal kiwnął głową.

– Na razie jest całe społeczeństwo do postawienia z powrotem na nogi. Mam nadzieję, że zgodzicie się na trochę nadgodzin.

Wszyscy uśmiechnęliśmy się do niego szeroko.

32. Znalezisko

Bill, wrzesień 2227, Epsilon Eridani

Z jawnym niedowierzaniem patrzyłem na odczyty. Zerknąłem na Garfielda – wytrzeszczone oczy i opadnięta szczeka mówiły wszystko. Sklecieliśmy sobie szybki prototyp oparty na skanach generatora mocy z wraku Innych. Mały prototyp. Według naszych pomiarów ten poskładany był jak sprzęt przewyższający nasze reaktory termojądrowe jak pięć do jednego.

– Noo, to wiele tłumaczy – powiedział w końcu Garfield.

– Mhm. Oczywiście nie wyprujemy sobie od razu wszystkich reaktorów.

– No nie. – Wyszczrzył się do mnie. – Ale jakiś projekcik pilotowy...

W tym momencie wskoczył do nas Will.

– Cześć wam. Co to ja słyszę o jakichś transportowcach Innych?

Wskazałem mu fotel i zmaterializowałem parę zdjęć.

– Dwóch Bobów, którzy zgłosili się do zbadania układu Delta Pavonis, natknęło się na dwa transportowce, wyłączone z użytku podczas starcia w obronie planety. Musiały przedryfować przez cały układ. Inni ich nie szukali, więc gdyby ci dwaj ich nie znaleźli, wraki poleciałyby sobie dalej w otwarty kosmos.

Will nachylił się i dźgnął palcem jeden z obrazów.

– Ten to chyba kojarzę. Był przecięty prawie na pół.

Kiwnąłem głową.

– Ten rozbierają na surowce. W drugim załatają dziurę, a poza tym wpadł im do głowy świetny pomysł – po prostu genialny – żeby obstawić go płytami holowniczymi, zamiast próbować poradzić sobie z napędem Innych. Jak to zrobią, polecą nim na Ziemię.

– Do tego czegoś bez problemu można wsadzić czternaście milionów ludzi – stwierdził Will ścisłym tonem.

Parsknąłem śmiechem.

– W tym czymś można by zapodziać czternaście milionów ludzi. – Zacząłem teatralnie obszukiwać kieszenie. – Cholera, gdzie to ja posiałem tych kolonistów...

Will roześmiał się.

– Ja pierdziu! Tysiąc pięćset statków albo tysiąc pięćset lotów. Albo jeden spory transportowiec!

33. Projekt Herschel, październik 2227, Delta Pavonis

Uważaj na marzenia, jak to mówią. No tak. Właśnie odwiedzałem Neila. Robiliśmy sobie przerwę. Neil siedział na fotelu bokiem, zwisając z niego w obie strony jak całkiem udatna imitacja pozbawionego kości trupa. Pamiętam, że siedziałem tak, kiedy Pierwszy Bob był nastolatkiem. Neil miał trochę takich zachowań na oko pochodzących sprzed pełnoletności Billa.

– Jasna cholera – stęknął w końcu. – Możemy wrócić z powrotem do statusu pariasów? Życie było o tyle prostsze!

Parsknąłem śmiechem i machnąłem na Jeevesa, żeby przyniósł piwo. Neil skleił kiedyś szablon na wyjątkowo dobre *ale*, więc demonstracyjnie zamawiałem je za każdym razem, gdy go odwiedzałem. Usiadłem, napiłem się i otworzyłem plan projektu.

– Widzisz, nawet trochę wyprzedzamy plan. Możesz sobie pozwolić na parę milisekund straty.

– Ha, ha. Bardzo śmieszne. – Usiadł prosto. – Dobrze, że chociaż zdążyliśmy skończyć ciąć *Złom 2* na żyłki. Załadowanie tego wszystkiego do ładowni *Złoma 1* jest na tyle proste, że MSI to zrobią. Ale budowa holowników...

– No tak, wiem. Nie przewidywaliśmy, że będziemy tu musieli uruchamiać drukarki. To boli... – i obaj dokończyliśmy unisono: – ...ale to dobry ból!

– W każdym razie – ciągnąłem. – Zgromadzenie jest za pół godziny. Może doprowadź materiały do porządku.

Neil spojrzał na mnie spode łba i zaczął otwierać pliki. Burknął coś o niewolnictwie, lecz zabrał się do pracy.

Na Zgromadzeniu był tłok, ale to w tych czasach normalne. Przez parę miesięcy po stracie Delty Pavonis 4 mieliśmy problem z ogólnym zwątpieniem,

ale otrząsnęliśmy się z tego. Teraz Bobowie byli bardziej niż kiedykolwiek zdeterminowani, by odpłacić Innym.

Ustawiliśmy się z Neilem blisko mównicy. Normalnie, jak przystało na pariasów, stalibyśmy gdzieś z tyłu, ale teraz byliśmy Liderami Projektu. Oczywiście byliśmy także Robolami Projektu, Fizycznymi Projektu i Cieciami Projektu, ale kto by to liczył? Mieliśmy po prostu przedstawić aktualny status Projektu Wraki.

Bill wszedł na podium, uniósł klakson nad głowę i tradycyjnie zatrąbił. Publiczność przywitała go standardowymi gwizdami i buczeniem. Ja siedziałem cicho, zauważyłem też, że Neil jest o wiele bardziej powściągliwy niż zwykle. O wiele trudniej robić zamieszanie, kiedy jest się w pierwszym rzędzie.

Bill rozejrzał się po publiczności, czekając, aż uwagi ucichną. Gdy zapadła cisza, zaczął mówić.

– Zacznę od prawdziwej bomby. Od dwunastu dni nasze drony wokół GL 877 są atakowane. Zgodnie z poleceniami natychmiast dokonują samozniszczenia. W dwóch ostatnich przypadkach drony nie były atakowane, ale ścigane.

Widownia się zatchnęła. My z Neilem popatrzyliśmy po sobie, wytrzeszczając oczy. Bezgłośnie powiedział: „Inni wiedzą”.

Bill znów odczekał, aż szmery się uspokoją.

– Doszliśmy do wniosku, że członkowie ekspedycji wydobywczej z Delty Pavonis wrócili do świata Innych, i słusznie uznali, że są pod obserwacją. Wnosząc po tym, że dwa ostatnie drony próbowali przechwycić, muszą się domyślać, że mamy jakąś przewagę technologiczną.

W powietrzu wyskoczył hologram układu GL 877, pokazujący lokalizacje dronów obserwacyjnych w układzie. Bill kiwnął ręką i drony jeden pod drugim zostały zastąpione przez ikonki małych wybuchów.

– Rekonfigurujemy je, ale w miarę jak je tracimy, pokrycie robi się coraz gorsze. Staramy się obserwować głównie naszą stronę GL 877, żeby wykryć ewentualną ekspedycję w tym kierunku. Wprowadzamy także losowość do ich pozycji, po prostu, by utrudnić Innym ich znajdowanie. Możliwe, że to działa, bo przez ostatni tydzień nie było żadnych nowych ataków. A Mario priorytetowo zastępuje drony nowymi. Choć i tak przez parę lat będziemy mieli braki.

Neil podsunął się do mnie.

– Coś tu śmierdzi.

– Co?

– Coś mi się nie podoba w tym scenariuszu. Czemu przestali?

– Bo dotarło do nich, że nie są w stanie złapać dronów? Bo ich lokalizacje są losowe?

– Nie. To za mało. – Otworzył usta, żeby coś dodać, ale dokładnie w tej chwili Bill postanowił nas przedstawić.

– Chyba wszyscy już słyszeliście o Projekcie Wrak. I dzisiaj są z nami Herschel i Neil, aby przedstawić pierwszy oficjalny status projektu – Bill wskazał nas ręką.

Wchodząc na mównicę, czułem, że rumienię się wściekle. Rozejrzałem się po morzu Bobów i głos uwiązł mi w gardle.

Neil, dobrze znający moją treść, podjął gładko:

– Podczas lotu rozpoznawczego znaleźliśmy dwa statki transportowe Innych, dryfujące po kursie od układu Delta Pavonis. Jeden był w zasadzie całkowicie zniszczony, za to drugi prawie nienaruszony, uszkodzenia objęły tylko SI i napęd. Udało nam się reaktywować jego generator – przygotowaliśmy oddzielny raport z tym, co udało nam się rozpracować z tej technologii.

Odwrócił się do mnie i kiwnął głową. Dał mi w sam raz tyle czasu, żebym zdążył wziąć się w garść. Podjąłem temat.

– Ten uszkodzony rozebraliśmy na części i użyliśmy ich do naprawy *Bellerofonta*.

Nazwa spodobała się Zgromadzonemu Bobom – rozległy się gwizdy i pohukiwania. Kiedy aprobata ucichła, kontynuowałem:

– Zamiast odbudowywać jego napęd, produkujemy płyty-holowniki. Bill szacuje, że dwadzieścia cztery wystarczą, żeby przemieścić cały statek na Ziemię. Surowiec odzyskany z drugiego wraku mamy już w ładowniach i przez cały lot będziemy produkować kapsuły hibernacyjne.

Poszukałem wzrokiem Rikera, lecz go nie znalazłem, popatrzyłem więc na Billa.

– Nam się wydaje, że gdyby Ziemia skupiła się na wytwarzaniu kapsuł hibernacyjnych, moglibyśmy wymigrować wszystkich ludzi za jednym zamachem.

Rozejrzałem się po tłumie. Patrzyło na mnie pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt wersji mojej twarzy. Dominowały uśmiechy, kiwanie głową, skupienie. Dobra, nie jest źle. Bobowie nie są dyplomatami. Gdyby nasza prezentacja była mało ciekawa, daliby to nam odczuć.

– Pytania? – zapytał Bill.

Zrobił się rozgardiasz. No, naprawdę jest nieźle.

Neil nachylił się do mnie.

– Dobrze być takim ważnym, co?

– Dzięki, ja trochę już mam wątpliwości.

Bill wskazał kogoś palcem i chaos ucichł.

Wystąpił Thor.

– Jak duże zaufanie macie do tego generatora?

Otworzyłem usta, żeby coś odpowiedzieć, ale Neil mnie ubiegł.

– Dobrze działa. Jest tak pewny jak nasze reaktory. A ma o wiele większą moc.

Łypnąłem na niego i szepnąłem:

– Kłamiesz jak z nut.

– Cicho siedź.

– A ile kapsuł będziecie w stanie wytworzyć? – ciągnął Thor.

– Mamy dosyć surowca, żeby zbudować kapsuły dla wszystkich żyjących ludzi – odpowiedział Neil. – Ale za mało czasu. Subiektywnie będziemy lecieć 3,6 roku i szacujemy, że zrobimy nieco ponad pięć milionów.

Bill odwrócił się do kogoś.

– Will, a ty po swojej stronie ile dasz radę zrobić?

Riker wystąpił.

– Nie więcej niż dwa miliony. Wprawdzie pracujemy w nierelatywistycznym czasie, ale za to nie mamy pod ręką góry metali. Musimy odzyskiwać każdy kilogram, a to robi się coraz trudniejsze. Już teraz nam to spowalnia produkcję statków-kolonii.

Rozmowa zeszła na porównania ścieżek krytycznych, strategii zwiększenia mocy produkcyjnych, możliwych wyników oraz inne, jeszcze mniej interesujące rzeczy. Zerknąłem na Neila, który kiwnął głową. Najbardziej nonszalancko, jak tylko się dało, oddaliliśmy się od dyskutantów w stronę baru. Nikt nie zauważył.

Oparłem się o kontuar z piwem w dłoni i wyszczerzyłem zęby do Neila.

– Jesteśmy ważni.

– Taaa. Zgodzę się, kiedy zauważą, że sobie poszliśmy. A na razie... – Uniósł piwo w toaście.

Fajne te Zgromadzenia.

34. Porwanie

Bob, wrzesień 2224, Delta Eridani (Eden)

Siedziałem właśnie na słoneczku z Niszczycielem, patrząc, jak nonszalancko obrabia kawałek krzemienia, gdy przybiegł jakiś Deltanin. Zgiął się wpół i przez chwilę łapał powietrze, potem się wyprostował.

– Zabrali Archimedes. Chyba ludzie z Caerleonu. Na pewno oni.

Zerwałem się na równe nogi i prawie wrzasnąłem na niego:

– Mówiłeś Donaldowi? Komuś jeszcze?

Kiwnął głową wciąż zasapany.

– No. Donald już zbiera myśliwych.

Zerknąłem na Niszczyciela, który bez słowa zbierał łuk i strzały. Nic nie powiedział, nie spojrzał ani na mnie, ani na posłańca. Sierść miał położoną, wewnętrzne wzburzenie sygnalizowały zgięte w furii uszy. Ktoś dzisiaj nie przeżyje.

Pobiegliśmy do drzewa łowców, gdzie już tworzyła się grupka. Donald od razu kiwnął na mnie.

– No, Robert, wygląda, że ty i Archimedes dobrze mówiliście. Jest tylko jeden powód, żeby go porywać.

Pokręciłem głową.

– Dwa powody są. Jeśli za tym stoi Fred, może też chce mnie sprowokować. Jestem pewien, że ostatnim razem poważnie go uraziłem. – Obejrzałem się na stojącego obok Niszczyciela. – Jeśli to Fred, to chyba dziś jest ostatni dzień jego życia.

Niszczyciel patrzył w przestrzeń, nie zwracając uwagi na nikogo.

Posłałem już wcześniej drony szpiegowskie, żeby wypatrywały dużej, szybko się przemieszczającej grupy Deltan. Zaczęły przychodzić pierwsze raporty. Zerknąłem na HUD-a. Były dwie takie grupy, ale tylko jedna pędziła prosto do Caerleonu. Więc to pewno ta.

Kazałem dronom zrobić parę zbliżeń i dałem im profil Archimedes. do identyfikacji. Potem zwróciłem się do Donalda.

– Jest spora szansa, że są na Wschodniej Ścieżce, albo zaraz będą. Możemy przejść przez Głęboki Zagajnik i ich dogonimy. – Miałem nadzieję, że Donald nie zacznie się dopytywać. Bez zdemaskowania nie potrafiłem wyjaśnić, skąd to wiem.

Na szczęście Donald uwierzył mi na słowo i zaczął wydawać rozkazy. Po paru chwilach już bieглиśmy w stronę Zagajnika, gęstego skupiska wyjątkowo wysokich i starych drzew. Paradoksalnie, z uwagi na ich grubość, miały bardzo niewiele podszycia, które by nas spowalniało. Przebiegliśmy przez środek w kilka minut.

Uniosłem rękę, zatrzymując grupę, zacząłem ostentacyjnie nasłuchiwać, potem machnąłem w kierunku ścieżki. Puściliśmy się sprintem. Dopadliśmy grupę z Caerleonu po niecałej minucie – wiedziałem, że ma problem z porwanym chwytającym się każdej gałęzi i każdego drzewa w zasięgu ręki. Teraz wyglądało na to, że rozwiązali ten problem, bijąc go, aż stracił przytomność, a potem go niosąc.

Z mojego gardła wyrwał się niski pomruk, uniosłem włócznię. Grupa z Caerleonu, słysząc, że podchodzimy, zatrzymała się i ustawiła w obronne półkole, celując dzidami na zewnątrz.

Fred wystąpił naprzód ze swoim standardowym, paskudnym uśmiechem samozadowolenia.

– Cześć, Robert. I przydupasy Roberta. Proponuję, żebyście się z tym pogodzili, wasz przyjaciel będzie...

Nagle spojrzał na sterczącą mu z piersi strzałę. Z zaskoczoną miną padł na kolana, potem przewrócił się na bok.

Odwróciłem się i spojrzałem na Niszczyciela.

– Pierwszy – odparł, wzruszając ramionami.

Niestety, choć mogłem go zrozumieć i sympatyzować z jego uczynkiem, banda z Caerleonu mogła się zemścić, robiąc krzywdę Archimedesowi. Przywołałem oddział niszczycieli i rozlokowałem go na pobliskich drzewach, w pogotowiu.

Ale jeśli się da, załatwimy ich wszystkich po staroświecku.

Caerleńczycy wciąż byli zaskoczeni nagłą śmiercią przywódcy, lecz parę głów już zaczęło obracać się w stronę więźnia. Ze wściekłym rykiem przypuściłem szarżę na linię włóczni. Towarzysze poszli za mną, wykrzykując okrzyki bitewne.

Dotarłbym do porywaczy pierwszy. Ale co wtedy zrobić? Oczywiście androidowi parę ran od włóczni nic by nie zrobiło. Trudno jednak byłoby wyjaśnić, że dalej biegam ze sterczącymi ze mnie dzidami. Z drugiej strony nie

chciałem, żeby dzidą dostał którykolwiek z moich przyjaciół. Miałem niecałe dziesięć metrów na podjęcie decyzji.

I zamiast zwolnić, przyspieszyłem. Dotarłszy prawie do krzemiennych grotów ich dzid, rzuciłem się bokiem na ziemię. Na wpół ślizgając się, na wpół tocząc, minąłem groty włóczni, zanim zdążyli zareagować. Moje toczące się ciało przewróciło trzech obrońców z pierwszej linii, a potem jeszcze paru za nimi.

Mając nagłą lukę w szyku obronnym, Caerleończycy nie byli w stanie powstrzymać atakujących. Próbowali się okręcić, żeby ją zamknąć, lecz wtedy narazili się na atak z boku. Usłyszałem za plecami warknięcia, łomot zderzających się ciał, a także bardziej paskudne odgłosy ludzi nadziewanych na dzidy.

W tej chwili nie mogłem się tym jednak przejmować. Kilku Caerleończykom, jak się zdaje, wpadła do głowy dokładnie ta myśl, której się obawiałem. Wyciągnęli krzemienne noże i odwrócili się do bezwładnego ciała Archimedesesa.

Chwyciłem porzuconą włócznię i cisnąłem nią w pierwszego z nich. W ostatniej chwili ustawiłem ją tak, by cios nie był, miejmy nadzieję, śmiertelny. Przeszła pierwszemu przez mięsień i dźgnęła drugiego za nim. Puściłem ją, zostawiłem ich wyjących z bólu i zaskoczenia, chwyciłem nóż upuszczony przez jednego i wbilem go w udo trzeciego wroga.

Gdy ta trójka tak szybko wypadła z gry, reszta, ze strachem wypisanym na twarzach, cofnęła się od Archimedesesa. Ściągnąłem wargi najbardziej, jak się dało, i najlepiej, jak umiałem, odegrałem Hulka, rycząc i zgrzytając zębami.

Wyraźnie zadziało. Jeden potknął się, próbując cofnąć, i wylądował na tyłku, dwóch innych zakręciło się na pięcie i uciekło.

Stałem nad nieruchomym ciałem Archimedesesa i obróciłem się dookoła, warcząc i rozglądając się, czy ktoś wpadnie mi w ręce. W tym momencie, gdybym kogoś złapał, zrobiłbym pewnie coś niemożliwego dla Deltanina i zdemaskowałbym się.

Nie było to jednak konieczne. Bitwa się skończyła. Rannych było trzech naszych, po ich stronie ucierpiało ośmiu, z czego trzech wyraźnie nie żyło. W tym Fred.

Niszczyciel i ja spojrzeliśmy po sobie w milczeniu i skupiliśmy się na Archimedesie. Klęknąłem i zbadałem go. Oddychał, choć niepokoił mnie delikatny bulgot płynu w jego płucach. Bili go bardziej entuzjastycznie, niż to było konieczne. Deltanie mieli niesamowite zdolności regeneracyjne – liczyłem na nie, inaczej mógłby stracić oko. Dobrze, że chociaż zęby odrosną.

Bardzo powoli i bardzo ostrożnie podnieśliśmy go i ruszyliśmy z powrotem do wioski.

Tydzień później Archimedes wyglądał dużo lepiej. Oka nie stracił, choć nadal narzekał, że niewyraźnie nim widzi.

Siedział z wnuczką Lisą, która rozchichotała się, kiedy zobaczyła, że dziadek je jedzenie dla niemowląt. Według Belindy miał być na takiej diecie jeszcze przez parę tygodni.

Donald siedział przed ogniem, tuląc wielki kawał suszonego mięcha. Wyciągnął rękę i pokazał mi nóż. Wziąłem go i przyjrzałem mu się.

– No, powiem... nie jest to na poziomie Archimedesesa.

– Gówniane jest – powiedział Donald. – Wygląda na to, że mieliście rację. Przepytałem paru tych, co przeżyli, kiedy znachorka ich opatrzyła. Swoją drogą ma cię za debila, że marnujesz rzeczy na leczenie wrogów.

Machnąłem na to ręką.

– Kiedy bitwa się kończy, wszyscy krwawią w tym samym kolorze. A poza tym Annie jest o wiele rozsądniejsza niż ta wcześniejsza, Cruella. Ona by mnie pogoniła i tyle.

Donald kiwnął głową.

– W każdym razie, to jest podobno jeden z najlepszych noży w Caerleonie. Czyli mają gówniane dzidy i gówniane noże, nic dziwnego, że polowanie idzie im niewiele lepiej niż nam w starej wiosce, jak mi opowiadał tato. Doprowadzili nawet do tego, że gorylroidy znów zaczęły koło nich węszyć.

– I według nich to nasza wina.

Donald się wyszczerzył.

– Że się trzyma kupy, to ja nie mówiłem. Tak, pewnie nasza wina, że mamy lepszych ludzi, lepsze narzędzia i lepiej polujemy.

– I mamy więcej dorosłych. – Odpowiedziałem uśmiechem. Potem spoważniałem. – Ale jeśli na tym polega problem, to jest do naprawienia. Niech zbiorą paru najlepszych i najbystrzejszych i dadzą ich tutaj, a Archimedes ich nauczy.

– Na pewno im to przyszło do głowy – wtrącił się Niszczyciel, podchodząc i siadając obok. – Ale po tylu walkach pewnie myślą, że ich wyśmiejemy i tyle.

– A nie chcą wypaść na słabych.

Potarłem sierść nad brwiami w deltańskim odpowiedniku chwytania się dwoma palcami za nos.

– Niewiarygodne. To jak im to przekazać?

Archimedes oderwał się od zabawy z Lisą.

– Po prostu zaproponować, że kilku nauczymy.

– Już raz to się nie sprawdziło – zauważyłem.

– Wtedy nie byli głodni – odpowiedział. – Na pewno teraz będą uważniej słuchać.

Spojrzelismy po sobie wokół ogniska. Nikt nie musiał mówić tego na głos. Warto spróbować.

35. Miasta zwyciężają

Marcus, październik 2215, Posejdon

Miesiąc po powstaniu sytuacja w końcu zaczęła się uspokajać. Ale mimo moich wszelkich starań, by uniknąć, wymigać się i wykręcić od zajęcia odpowiedzialnego stanowiska, i tak jakimś sposobem wylądowałem na stołku p.o. przewodniczącego. Oczywiście miało to pewien sens, żeby stery dźwżył ktoś, kto jest dostępny całą dobę, nigdy niczego nie zapomina i nie da się przekupić ani zaszantażować.

I tak jednak zamierzałem jak najszybciej rozpisać wybory.

Dron opadł do wnętrza dokującej Nowego Thark i osiadł na miejscu parkingowym. Drzwi ładowni otworzyły się, wysiadłem. Chwilę się rozglądałem. Większość miejsc była zajęta – ludzie wciąż sprowadzali się do nowego miasta.

Ruszyłem do wind na końcu doku i wsiadłem do jednej, razem z kilkunastoma przypadkowymi osobami. To ciekawe: dwieście lat później i dwadzieścia lat świetlnych dalej ludzie wciąż zachowywali się w windach tak samo jak w czasach Pierwszego Boba. Każdy odwracał się twarzą do drzwi i nie zwracał uwagi na innych.

Gdy winda wznosiła się na poziom gruntu, ukradkiem przyjrzałem się innym pasażerom. Żaden nie zwracał na mnie szczególnej uwagi. Byłem po prostu kolejnym przypadkowym człowiekiem. Niesamowite, jak dobrze się z tym czułem.

Wysiadłem z windy i znalazłem się na zewnątrz, po lewej mając stację transportu publicznego, po prawej park. Pozwoliłem innym pasażerom pobiec w kierunku taksówek, sam zaś wykorzystałem ten czas, żeby się rozejrzeć. Pierwszy raz byłem w latającym mieście w wersji 3. Ten model mógł pochwalić

się dwoma kilometrami kwadratowymi powierzchni użytkowej, podzielonymi mniej więcej równo pomiędzy cele mieszkaniowe, handlowo-usługowe i parki.

Nad miastem rozciągała się kopuła z fibrekasu, zapewniająca ciepły, suchy klimat niezależnie od pogody na zewnątrz. Mieszkańcy siedzieli na ławkach na trawie i pracowali na tabletach, albo przez hełmy i rękawice VR sterowali zdalnie jakimiś maszynami.

Nie potrafiłem objąć umysłem, dlaczego Rada nie chciała do tego dopuścić. Niektórzy po prostu muszą okazywać swoją władzę, dyktując, co inni mogą robić, a co nie.

Pokręciłem głową, odwróciłem się i poszedłem do stacji transportu publicznego. Złapałem pierwszą dostępną kapsułę, podałem jej adres Kala i rozsiadłem się, gdy rozpędzała się w podziemnym tunelu.

Po niecałych dwóch minutach wysiadłem, poszedłem zgodnie ze wskazówkami, których mi udzieliła, i stanąłem pod drzwiami Kala.

Usiedliśmy wokół stołu – Kal, Denu, Gina, Vinnie i ja. Otworzyliśmy piwo i wymienialiśmy się opowieściami z frontu. Byliśmy nowym rządem Posejdona, tak się składało.

Gina wyciągnęła listę nazwisk.

– Mam członków Rady, których złapaliśmy. Pięciu z siedmiu. Z tego, co mówią, może macie rację, że dwóch ostatnich uciekło łodziami podwodnymi.

– Czyli mogą się ukrywać na dowolnym z setek dywanów. – Uśmiechnąłem się do niej. – Albo mogą już być w brzuchu lewiatana.

Gina wzruszyła ramionami.

– No, tego nie wiadomo. Ale królami to oni nie są. Nie zbiorą armii fanatycznie wiernych poddanych.

– Prawda. Będziemy na nich uważać, robić patrole, ale priorytet numer jeden to nie będzie. A co zrobisz z tymi złapanymi?

– Czterech stanie przed sądem za śmierć stu pięćdziesięciu mieszkańców Thark. Konsensus to dożywotnia praca w przetwórni ryb albo w innym równie smrodliwym miejscu.

– A Brennan?

Gina westchnęła.

– Szczerze, Marcus, to nie mamy pomysłu. Zastanawialiśmy się, czy nie uwięzić go dożywotnio, nie deportować do innej kolonii albo nawet z powrotem na Ziemię. Ale każda alternatywa to masa pracy, koszt i nie ma żadnego sensu

poza zemstą. A on nie jest tego wart. Nie wiem, może dać go do tych ryb razem z pozostałą czwórką i zapomnieć o całej kwestii?

Zebrani pokiwali głowami. Praca w przetwórnich ryb była łatwa do automatyzacji, ale Rada używała jej jako środka karnego wobec dysydentów i złoczyńców. Idea pobicia ich własną bronią była tak piękna, że nie wymagała dalszego komentarza. Brennan zasługiwał na gorszy los, ale zgadzałem się, że nie zasługiwał z kolei na wysiłek, by specjalnie coś dla niego robić.

– A na razie – zerknąłem na jedno z okienek w HUD-dzie, pokazujące pracujące pełną parą orbitalne autofabryki – jeszcze ze dwanaście miast i cała ludność Posejdona będzie w powietrzu.

Gina uśmiechnęła się do mnie szeroko.

– I wtedy wygłosujemy cię w cholerę.

– Już się nie mogę doczekać.

36. Obwieszczenie

Riker, październik 2227, Układ Słoneczny

Dom wariatów.

Nie, to nie było wystarczająco mocne określenie. Przypomniało mi pierwsze spotkania Narodów Zjednoczonych dawno temu. Wszyscy chcieli gadać jednocześnie. Połowa ludzi waliła w przycisk zabierania głosu, druga połowa ich nie słuchała. Przewodnicząca siedziała za biurkiem z twarzą w dłoniach.

Uśmiechnąłem się szeroko do kamery. Ściśle rzecz biorąc, nadal miałem głos, więc to mój mikrofon był włączony.

– Noooo, to jak, chcecie usłyszeć coś więcej?

Chaos ustał jak po naciśnięciu guzika.

– Jak już powiedziałem, ten statek pomieści całą pozostałą ludność Ziemi. Wszystkich-wszystkich. Oczywiście i tak trzeba naprodukować kapsuł hibernacyjnych. Ale Herschel i Neil, Bobowie, którzy kierują *Bellerofontem*, także po drodze budują w ładowniach te kapsuły. Dobra wiadomość: mają surowców, ile tylko zechcą. Zła wiadomość – przez relatywistyczną dylatację czasu będą mieli tylko trzy i pół roku na pracę nad nimi.

Delegatka Misra poprosiła o głos i zajęła mównicę.

– Nie mogliby po prostu trochę zwolnić i pracować subiektywnie dłużej?

Uśmiechnąłem się i kiwnąłem głową. Pani Misra bardzo dobrze rozumiała relatywistyczną mechanikę. Dzięki temu rozmawiało się z nią o wiele łatwiej niż z resztą tych błaznów. Skrzywiłem się, czując w tej myśli niezamierzoną pogardę.

– To prawda. Ale z naszego punktu widzenia wtedy przelot potrwa dłużej. A musimy jeszcze mieć w pamięci Innych. Ich plany to wielka niewiadoma, ale lepiej założyć, że nie mamy czasu na nieśpieszny lot. Wolałbym, żeby dotarli tu szybciej, wtedy będziemy mogli wykorzystać surowce, które mają w ładowni.

Udostępniłem im listę zadań i punktów kontrolnych. Większość delegatów ONZ je zignorowała, paru jednak spojrzało i zaczęło się wczytywać.

– Kiedy *Bellerofont* dotrze tutaj, z ładownią pełną metalu, możemy oddelegować dokładnie wszystkie drukarki i MSI do budowy kapsuł.

A tymczasem trzeba będzie zapewnić, żeby wszystkie wahadłowce działały. Obliczyłem, że z pomocą istniejących wahadłowców i transportowców da się przenosić po trzy tysiące ludzi za jednym razem. Chciałbym podnieść tę liczbę do miliona.

Oddałem głos i kiwnąłem na przewodniczącą. Zapaliły się wszystkie światełka w sali.

Super.

Mównicę zajął delegat Hubert z enklawy północnoafrykańskiej.

– Panie Johansson, obawiam się, że będziemy mieli za mało kapsuł dla całej Ziemi, kiedy przyleci ten statek, ten... eee... *Bellerofont*. Ale pan wciąż poświęca zasoby na wahadłowce i statki-kolonie. Może lepiej zbudować więcej drukarek, żeby zwiększyć moce? Nie chcę panu mówić, jak ma pan wykonywać swoją pracę, ale zastanawiał się pan w ogóle, jaki jest optymalny harmonogram?

Usiadł i wyłączył mikrofon, zwalniając mównicę.

Kiwnąłem głową. Mogłem być urażony, ale wolałem odpowiedzieć na pytanie.

– To dobre pytanie i dobrze, że je pan zadał. Odpowiedź brzmi: poświęcam dużo czasu na rozpatrywanie tych alternatyw. Problem polega na tym, że niezależnie od tego, jaką ścieżkę wybierzemy, zawsze gdzieś powstaje wąskie gardło. Albo brak drukarek, żeby wszystko wytwarzać, albo brak surowców, albo brak dronów i szopów do montażu końcowego – zawsze coś. Zmieniamy harmonogram, to po prostu przesuwamy wąskie gardło gdzie indziej. Na przykład drukarki. Najbardziej skomplikowana rzecz, jaką może wytworzyć drukarka, z wyjątkiem rzeczy biologicznych. Trwa to bardzo długo i stopa defektów też jest wysoka, z uwagi na bardzo małą tolerancję dokładności. Zatem to nie jest takie proste, że po prostu narobimy drukarek i będziemy mieli wzrost wykładniczy. Bo jednocześnie, jeśli się tym zajmiemy, tracimy bardzo dużo innej produktywności.

Przerwałem i popatrzyłem po poszczególnych okienkach.

– Skupiamy się na wahadłowcach, to w dniu zero mamy za mało kapsuł. Skupiamy się na kapsułach, to możemy nie mieć sposobu, żeby wszystkich przewieźć odpowiednio szybko na statek. Już zdecydowałem, że przerywamy produkcję statków-kolonii. Wystarczą nam te powracające, by utrzymać stały strumień, a surowce przydadzą się na wahadłowce i kapsuły.

Znów przerwałem, po chwili wyłączyłem mikrofon i usiadłem. Natychmiast rozjarzyło się kilkanaście próśb o głos. Westchnąłem. Trochę to jeszcze zajmie.

37. Bitwa w sądzie

Howard, wrzesień 2220, Omikron-2 Eridani

– Jak pani myśli, długo to potrwa? – szepnąłem do mecenas Benning. Spojrzałem na drugą stronę sali, gdzie siedziały dzieci Bridget ze swoim prawnikiem, mecenasem Kistlerem.

– Skończy się w godzinę – odpowiedziała. – W sumie sytuacja nie jest skomplikowana. Testament pani Brodeur jest na piśmie i nikt nie kwestionuje jego autentyczności. Oni próbują go podważyć przez „zły wpływ”, ale w przypadku dziedziczenia to się mało kiedy udaje. I na koniec próbują współczucia przez gambit typu „godny spoczynek dla matki”.

Przełożyła papiery z miejsca na miejsce.

– Naprawdę jednak grają na zwłokę. Chcą to odwlec na tyle długo, żeby coś się stało, żeby skończyły się nam pieniądze... – Prychnąłem. Powodzenia. – Zmęczymy się walką albo popełnimy błąd... – Odwróciła się do mnie. – Rzucili na nas wszystko, co mieli. Całe szczęście, że pani Brodeur miała pieniądze. – Usiadła prosto i westchnęła. – W każdym razie, panie Johansson, wystrzelali się już ze wszystkiego, podobnie my. Dzisiaj sędzia podejmie decyzję. Jeśli nie zdarzy się jakiś cud, wygramy.

Zerknąłem na Rosie, Lianne i Howarda. Howard wyglądał, jakby mu było niedobrze. Dziwnie mocna reakcja – dotąd miałem wrażenie, że raczej córki Bridget go w to pchają.

A one z kolei nie wyglądały na tak zdenerwowane, jak powinny być, wnosząc z pewności siebie mecenas Benning. Może ich prawnik je nabierał? Ale po co? Więcej kasy już nie wyciągnie. Zresztą on akurat nie wyglądał na pewnego siebie.

Nagle Rosie odwróciła się i spojrzała na mnie, a mnie serce zamarło. Chyba w życiu nie widziałem miny pod tytułem „złowrogi triumf”, ale wiercie mi, to jest mina, którą rozpoznaje się za pierwszym razem ze stuprocentową pewnością. O co chodzi? Ona nie może się spodziewać, że wygra? A jeśli nie...?

Poczułem panikę: przypomniałem sobie podejrzenia doktora Onagiego. Wysłałem wiadomość do Willa, Billa i Boba. Któryś musiał być wolny, a byli

tymi nielicznymi Bobami, którzy na pewno nie lecieli z relatywistyczną szybkością.

„Ja się tym zajmę”, odpowiedział chwilę później Bill. Westchnąłem z ulgą, ale mój żołądek nie chciał się rozluźnić.

Wszedł sędzia, wszyscy rytualnie wstaliśmy i usiedliśmy. Panował spory zgiełk wskutek niespodziewanie dużej liczby widzów. Najwyraźniej sprawa zrobiła się sławna. Sędzia uderzył parę razy młotkiem i kazał się uciszyć.

Dłuższy czas podsumowywał fakty i stanowiska stron. Mimo że byłem w to mocno emocjonalnie zaangażowany, łapałem się na tym, że odpływam gdzieś myślami. Duży szacunek dla osób takich jak mecenas Benning, że są w stanie to regularnie wytrzymywać i nie walić czołem w blat.

Wreszcie sędzia doszedł do puenty.

– Zatem na koniec muszę potwierdzić prawo zmarłej do decydowania o swoim losie.

Po sali sądowej przeszły westchnienia i szmery. Trochę spodziewałem się, że Rosie wstanie i zacznie rzucać obelgami, ale nie. Ona... hmm. Wyciągnęła telefon i coś wysłała.

W tym momencie wiedziałem, że doktor Onagi miał rację.

Wyszliśmy po kolei z sali sądowej.

Pani Benning ścisnęła mi rękę, a jej aplikant gdzieś dzwonił, kiedy podeszła do mnie Rosie.

– Myślisz, że wygrasz, ale i tak nie ukradniesz nam naszej matki.

– Rany boskie, Rosie, dalej idziesz w taką historię? Nie ma tu żadnej kradzieży. Nigdy nie było żadnej kradzieży. Nawet nie zwracając uwagi na fakt że to była jej decyzja, to wy nadal ją macie. Macie ciało, możecie je pochować, macie jej wspomnienia. Niczego nie tracicie!

– Ale i tak jej nie dostaniesz. Ja tego dopilnowałam.

– Masz na myśli sabotaż na kapsule hibernacyjnej w szpitalu? – Uniosłem brwi w przesadzonym pytającym wyrazie twarzy, a ona zbłądła. – Przykro mi, Rosie, jeśli ty możesz zignorować nakaz sądowy, to ja też mogę. Bill wysłał drona ze skanerem i zrobił to, kiedy byliśmy w sądzie. Tylko że w odróżnieniu od ciebie Bill uszanowałby decyzję sądu, gdybyśmy przegrali.

Rosie zrobiła krok w tył i ułożyła usta w nieme warknięcie. Pokręciłem głową.

– Bill mi potwierdził, że urządzenie podłączone do kapsuły hibernacyjnej uszkodziło ją i wyłączyło, mniej więcej wtedy, kiedy wysłałaś SMS-a. Oczywiście będzie śledztwo. Jestem raczej pewien, że musi być jakiś paragraf na sabotaż na szpitalnym sprzęcie. Za moje złamanie prawa jestem gotowy oddać się do dyspozycji sądu. Ale mam przeczucie, że ciebie potraktują dużo ostrzej.

Rzuciłem jej lodowate spojrzenie.

– Znałem twojego ojca i matkę. Kochałem ich oboje i szanowałem. Teraz zupełnie nie rozumiem, jak to możliwe, że jesteś z nimi spokrewniona.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, a ja odwróciłem się i odszedłem.

38. Podróż Herschel, wrzesień 2236, przestrzeń międzygwiazdowa

– Herschel, serio mówię, on nie wstaje. – Neil, kiedy był sfrustrowany, miał w głosie taką jękliwą nutę. Działała mi na nerwy i był to jedyny moment, kiedy wołałem nie być w pobliżu.

– A droselklapę zablindowałeś?

– Ha. Ha. Bardzo, kurwa, śmieszne. Może byś zawiesił tę komedię na chwilę i pomógł mi tutaj? A jak zaczniesz klaskać, to cię walnę niszczycielem.

Zachichotałem i uruchomiłem mojego drona we wnętrzu statku. Mieliśmy ich trochę w zapasie, a trzymaliśmy je w ładowni numer 446 – już bardziej pośrodku *Bellerofonta* się nie dało. Wyleciałem nim przez otwarte wrota do centralnego korytarza. Pięć kilometrów w linii prostej i po niecałej minucie skręciłem pod kątem prostym i znalazłem się w hali maszyn. „Hala” nie do końca pasowała do otwartego obszaru mającego ćwierć kilometra w każdą stronę, ale już przyzwyczailiśmy się postrzegać ten statek jako normalnej wielkości, a siebie jak robaczki.

Wokół panelu sterowania generatora tłoczyły się trzy drony i kilkanaście szopów Neila. Z jakiegoś powodu, kiedy się frustrował, kazał swoim szopom tupać odnóżami. Nigdy nie spytałem, czy to specjalnie. Wołałem chyba nie wiedzieć.

– Zrobiłem wszystko! – zawołał, gdy tylko zobaczył mojego drona. – Zdechło. Leży.

– Dobrze działa, mówił. Tak samo pewny jak nasze reaktory, mówił.

– Super, Herschel. Wyrzuć to z siebie. Pośmiej się. A jak skończysz, może zabierzemy się do roboty nad tym cholerstwem?

Zastanowiłem się, czy nie pociągnąć tego skeczu jeszcze trochę, ale po co być pazernym? To pewne jak entropia, że wcześniej czy później trafi się kolejna okazja.

– Neil, stąd widzę, że anody są nasycone. Możesz je rozładować, co zajmie z godzinę, albo zrobić pełny restart w dwadzieścia minut.

– Jezus, tylko nie to.

– Pomogę ci, dobra? Nie możemy sobie pozwolić, żeby to cały czas leżało.

Zawołałem trochę więcej dronów i szopów, po czym zaczęliśmy długi i skomplikowany proces restartu. Rozładowanie trwało dłużej, ale nie wymagało pracy, więc Neil zwykle tak właśnie postępował.

– Czemu nie postawiłeś MSI, żeby to monitorowała? To jest cholerna mechaniczna robota, punkt po punkcie!

– Wiem, wiem, już miałem się do tego zabierać...

– Czyli robisz trudniejszym sposobem, bo jesteś zbyt leniwy, żeby opracować łatwiejszy sposób, tak? Neil, z ciebie to naprawdę ciul jest.

Neil wyszczerzył się do mnie zupełnie nieprzejęty.

– Leniwy ciul, trochę szacunku. Dobra, Hersch, dotarło. Zajmę się tym.

Uśmiechnąłem się, rozparłem się w fotelu i przeciągnąłem. Zwyczajny dzień w pracy, cholera.

Transportowce nie były po prostu wielkimi, pustymi walcami. Co byłoby wygodne pod pewnymi względami, ale wymagało od nas budowania czegoś w środku do mocowania różnych naszych projektów. Wyobrażałem sobie, że Inni musieli w miarę podobnie rozumować. Te wielkie walce były zorganizowane promieniście – przez środek biegł stumetrowy korytarz, a potężne wrota na obu jego końcach umożliwiały załadunek i wyładunek. Ładownie były ułożone wokół niego pierścieniowo, standardowo osiem ładowni w każdym pierścieniu, każda opatrzona wielkimi podwójnymi drzwiami. Układ SI oraz napęd były w środkowym pierścieniu, a generator mocy znajdował się z tyłu statku.

Neil i ja poświęciliśmy wiele godzin na eksplorowanie wnętrza *Bellerofonta* i próby zrozumienia pewnych decyzji konstrukcyjnych. W szczególności Neil zupełnie nie rozumiał, po co im w ogóle były ładownie.

– Widzisz, Hersch, mamy wideo z odkrycia Maria na Becie Hydri. Te sztaby, które produkowali, nie były aż tak wielkie. Mniej więcej jak samochód. Czemu ich po prostu nie ułożyć w wielkiej przestrzeni i tyle?

– Sam sobie odpowiedziałeś na pytanie. Naprawdę chcesz, żeby sztaby wielkości aut latały ci w środku po statku?

– Jezus, stary, by je czymś przymocowali...

– Do czego? To teraz potrzebujesz jakichś wsporników. Co najmniej. I nie możesz wszystkich mocować do jednego miejsca, bo od razu się prosisz o katastrofę. Zresztą kto powiedział, że oni używali tych statków tylko do przewożenia metalu?

– O, dobrze mówisz. Faktycznie, w każdej ładowni mają złącze energetyczne. To ma sens, jeśli jest używane do innych rzeczy, na przykład do fabrykacji...

– No, hmm... – Zawahałem się, a Neil spojrzał na mnie z zaciekawieniem. – Mam taką jedną teorię, na podstawie tego statku...

Neil zrobił dłonią okrągły gest, na znak, że mam kontynuować.

– Posłuchaj. My produkujemy wszystko w kosmosie, bo nas to wali i jest wygodne. Ale z tego, co wiemy o Innych i jak się tłoczą na kupie w swoich asteroidach śmierci... Co, jeśli są podziemnym gatunkiem? Może mają straszną agorafobię. Może robią całą produkcję w tych sprzętach, bo gdyby mieli czegoś pilnować na zewnątrz, strasznie by się bali.

Neil pokiwał głową na boki.

– Nie brzmi całkiem bez sensu. Oczywiście to czysta spekulacja. Ale zawsze możesz polecieć i zapytać. – Wyszczерzył do mnie zęby.

[Holowniki wyłączone.]

– Co za cholera? – Obaj łypnęliśmy na Gupika. – Co się stało? – zapytałem.

[Holowniki straciły synchronizację.]

Neil spojrzał na mnie.

– Trzeci raz w tym miesiącu. Przyznasz mi wreszcie rację czy nie?

– Kurde. – Potarłem wierzch nosa. – Dobra, poddaję się. Gupik, zrób im restart i daj znać, jak wróci napęd. A potem trzeba zrobić jeszcze osiem holowników i spróbować wyrównać pole.

Problemem tak naprawdę nie była zbyt mała liczba płyt. Bill nie pomylił się w obliczeniach – w niezmiennych warunkach dwadzieścia cztery holowniki powinny być w stanie napędzić *Bellerofonta*. Ale warunki nie były niezmiennie. Przez cały czas w środku kadłuba latała sobie tam i z powrotem dwójka Bobów – my – z własnymi napędami SURGE, przesuwająca rozmaite masy i parę razy na miesiąc restartowała generator mocy. Sami sobie to psuliśmy. Potrzebny był nam pewien margines swobody, czyli zapas pola, żeby móc zrównoważyć takie zaburzenia.

Patrzyłem, jak Neil przez chwilę odtańcowuje swój taniec pod tytułem „A nie mówiłem”.

– Jak już skończysz się wydurniać, to może się zastanowimy, gdzie je dać. Myślę, że do jakiejś wolnej ładowni gdzieś z przodu.

Neil stęknął.

– Wiesz co, był taki czas, kiedy byliśmy pariasami i po prostu lataliśmy sobie dookoła i zajmowaliśmy się swoimi sprawami.

– A, no tak, stare dobre czasy – odparłem. – Kiedy wszystko było prostsze, dzieci znały swoje miejsce, a do szkoły się szło przez śnieg. Po pas.

– Na bosaka.

– Pod górę.

– W obie strony.

39. Stan spoczynku

Marcus, luty 2218, Posejdon

Siedziałem sobie na leżaku, chłonąc ciepłe popołudniowe słońce. W zasadzie w ogóle nie myślałem już, że zamieszkuję ciało androida. Howard i Bob ciągle ten model udoskonalali, a Bill wydawał się zadowolony, że scedował na nich tę odpowiedzialność. Stwierdzałem, że w sumie nie mogę mu mieć tego za złe. Miał inne rzeczy na głowie.

Wokół mnie bawiły się dzieci, pary spacerowały za rękę, a ludzie wykonywali swoją pracę, przez tablety lub VR-kę. Jeśli to nie utopia, to nie mam za cholerę pojęcia, czego temu brakuje.

Zwłaszcza w moim przypadku. Zamiast przejmować po rewolucji kontrolę nad autofabrykami, zawzięcie tworzyłem sposoby, by ludność Posejdona mogła przejąć tę odpowiedzialność. Teraz, trzy lata później, nie miałem już praktycznie żadnych obowiązków.

Gina, tak jak obiecała, wygłosowała mnie ze wszystkich stanowisk. Ku własnej rozpaczy stwierdziła, że sama została wybrana przewodniczącą. Nowa Rada wciąż spierała się, jak zorganizować stały system rządów, ale nic nowego to zdecydowanie nie było.

Wstałem i ruszyłem do najbliższej budki z jedzeniem. Ten konkretny leżak może będzie zajęty, kiedy wrócę, a może nie będzie, ale się znajdzie. Ewentualnie po prostu usadzę tyłek na trawie.

Problem, na który natrafiłem, nie był chyba całkowicie niespodziewany. Bob zawsze miał osobowość zmotywowanego pracoholika. Świetną, kiedy bronił galaktyki przed łupieżczymi hordami, ale niezbyt dobrą, kiedy właśnie wszystko zorganizowałeś, żeby stać się niepotrzebnym.

Społeczeństwo Posejdona przeszło fundamentalną zmianę, która wyglądała na trwałą. Na dywanach mieszkało – czy nawet pracowało dłużej, niż to konieczne – coraz mniej ludzi. A pływające miasta – znaczy pływające po wodzie – zostały w całości przeznaczone na przemysł. Ludzie w tym świecie byli teraz gatunkiem napowietrznym.

Wziąłem sobie czekoladowy koktajl – nigdzie jeszcze nie wynaleziono ani nie odkryto czegoś, co by wygrywało z czekoladą – i ruszyłem na skraj miasta. Patrząc w dół przez kopułę, widziałem kłębki chmur, dryfujące dywany, iskrzącą się błękitną wodę po sam horyzont oraz sporadycznie dryfującą pod powierzchnią ogromną ciemną sylwetkę. Krakeny, hydry i lewiatany nie były jedynymi wielkimi drapieżnikami, ani nawet największymi. Ciągłe odkrywaliśmy nowe potwory, często w nieprzyjemnych okolicznościach. I właściwie nie było żadnych skoordynowanych starań, by zinwentaryzować wszystko, co tam jest pod powierzchnią. Może przez to niebezpieczeństwo.

– I jak tam życie emeryta?

Odwróciłem się do uśmiechniętego Kala.

– Hmm. Jestem przekonany, że mam wyłączoną lokalizację. Jak mnie znalazłeś?

Kal przewrócił oczyma.

– No daj spokój, Marcus. Jesteś całkiem znany. W ostatnich piętnastu minutach w mediach społecznościowych były ze trzy posty z twoim zdjęciem. Jeśli chcesz zachować anonimowość, musisz jakoś sobie zmienić tę paszczę.

Kiwnąłem głową i odwróciłem się z powrotem do kopuły.

– Albo w ogóle zniknąć.

– Co ty gadasz, Marcus? – Kal zmarszczył się i podszedł bliżej.

– Oj, chyba zbyt dramatycznie to zabrzmiało. – Rzuciłem mu przeproszający uśmiech i machnąłem ręką w kierunku krajobrazu. – Po prostu myślę nad nową karierą. W oceanografii.

Uniósł brew.

– Myślę, że jest tam spora nisza. Widziałeś wideo tego androida Garfielda, tego pterozauropodobnego? Bobowie idą w nieładzi. I czemu w ogóle trzymać się dwunożności?

Kal spojrzał w ocean w dole.

– Masz na myśli?

– Tak się właśnie zastanawiam, jak poradziłby tu sobie android-delfin.

40. Rekonwalescencja

Bob, styczeń 2225, Delta Eridani

Stałem, przeciągnąłem się, potem uniosłem klapę namiotu i wyrząłem na zewnątrz. Ja nie mogę. Dobry dzień, żeby zostać w środku. Krople deszczu, w tej gęstej atmosferze wielkie jak szklane kulki, padały bardziej poziomo niż pionowo.

Na szczęście w tym rejonie Edenu burze tropikalne były zaskakująco rzadkie. Zastanawiałem się, jak Deltanie sobie z nimi radzili, zanim pokazałem im namioty. Pewnie kulili się pod skórą. Przypomniałem sobie burzę, którą musieli znieść podczas exodusu ze starej wioski. Nie była aż tak silna, ale i tak przekonała mnie do idei namiotów.

Rozejrzałem się po wsi. Nikogo nie było widać. Nic dziwnego. Za sobą usłyszałem jakiś szmer.

– Długo tak to będziesz trzymał? Zimno wpuszczasz.

Stęknąłem i puściłem klapę. Belinda nie przepadała za zimnem.

Wróciłem na swoje miejsce, położyłem się i podłożyłem ręce pod głowę. Archimedes nie spał, obracał w dłoniach kawałek krzemienia. Widziałem, że to grot z włóczni Freda.

Spojrzał w moją stronę.

– Mam pomysł, jak zacząć z tą nauką łupania krzemienia. – Machnął grotem jak różdżką. – Warto, jeśli to ma przerwać walki.

– Pewnie, Archimedesie. Masz moje poparcie, cokolwiek chcesz zrobić.

– To dobrze. Najpierw muszę zrobić z sześć grotów i noży. Belinda nie pozwoli mi pracować w namiocie, więc niech ta burza się już lepiej skończy.

– Kości mi mówią, że koło południa się przejaśni. – Poruszyłem uszami z rozbawieniem, a Archimedes odpowiedział tym samym.

Wyrobiłem sobie reputację jako świetny przepowiadacz pogody, tłumacząc, że czuję zmiany, bo bołą mnie kości. Tak naprawdę po prostu patrzyłem z orbity na układy pogodowe. Oszukaństwo, jasne. Ale co tam.

Burza poszła sobie wczesnym popołudniem, ruszyliśmy więc w ulubione miejsce do pracy Archimedesesa. Zdumiało mnie, ile odłamków krzemienia wala się tam na ziemi. Od czasu do czasu ktoś zgarniał je na kupę, kiedy zaczynały przeszkadzać, dlatego parę metrów dalej była jeszcze większa sterta. Dzieciaki ciągle w niej grzebały, szukając odłamków nadających się na groty do strzał. Archimedes nie miał nic przeciwko – wyprodukował już dość, żeby móc kupić wszystko, czego mogła chcieć jego rodzina.

Kiedy usiadł, dostał ataku kaszlu. Wciąż nie do końca doszedł do siebie po tym porwaniu. Czekałem gotowy pójść po wodę, gdyby jej potrzebował.

Przez jedno popołudnie udało mu się wstępnie obrobić kilkanaście kawałków. Ja skorzystałem z okazji by oddalić się na szybkie polowanie, podczas którego zająłem się monitoringiem aktywności Caerleonu. Nic nie znalazłem – natchnęło mnie to nadzieją, że ostatni incydent ostudził trochę ich zapędy.

Podrzuciłem Belindzie miejscowy odpowiednika indyka, dostałem w nagrodę uśmiech i wróciłem do Archimedesesa.

– Przygotowanie ich zajmie mi parę dni, Robercie – powiedział, kiedy siadałem. – A potem trzeba będzie wymyślić, jak je im zaoferować, żeby nie dać się przy tym zabić.

– Im szybciej, tym lepiej, przyjacielu. Pogadam z Donaldem.

Wrócił do pracy, a ja rozsiadłem się i grzałem na słońcu.

41. Zmartwychwstanie

Howard, październik 2220, HIP 14101

Już chyba z setny raz podniosłem rękę, by nacisnąć przełącznik. I znów ją cofnąłem. Boże, co się ze mną dzieje?

Miałem skan Bridget – wreszcie, po miesiącach sądowych bitew. Miałem zbudowaną macierz i statek. Miała skonfigurowaną VR-kę, firewall, pozakładałem jej konta na BobNecie...

Co za cholera? Zdesperowany wysłałem wiadomość do Billa.

Czy ja dobrze robię?

Odpowiedź przyszła prawie natychmiast.

A skąd.

Nie ma jak wsparcie emocjonalne przyjaciół. Zaśmiałem się i pstryknąłem wyłącznikiem.

Bridget pojawiła się pośrodku mojej VR-ki, dwudziestoosmioletnia, gęste rude włosy, dołeczki, kitel laboratoryjny – dokładnie jak pierwszego dnia, kiedy ją poznałem.

Wytrzeszczyłem oczy i opadła mi szczeka. Nie mogłem się powstrzymać. Byłem całkowicie, kompletnie sparaliżowany.

Bridget zrobiła pełny obrót i uśmiechnęła się do mnie niepewnie.

– Howardzie?

Bez słowa wstałem, podbiegłem do niej i objąłem ją. Przytuliła mnie, położyła mi głowę na ramionach i tak po prostu istnieliśmy – może przez wieczność.

Wreszcie cofnęła się o krok i spojrzała na mnie pytająco.

– To chyba znaczy, że nie żyję?

– Pierwsza Bridget nie żyje. Ty żyjesz, i to bardzo.

– Dobra, Howardzie, będę przestrzegać oficjalnej linii. Wiem że jesteś bardzo wrażliwy na punkcie tej różnicy.

– To ważne, żebyś miała obraz siebie jako indywidualności, Bridge. Nie jesteś po prostu kopią. Jesteś sobą i w miarę upływu czasu będziesz coraz bardziej sobą.

Wziąłem ją za rękę i doprowadziłem do kanapy. Skopiowałem ten mebel z jej mieszkania, w nadziei, że doda jej otuchy. Spojrzała nań i zaśmiała się, bez wątpienia świadoma mojej intencji.

– Bobów są już setki. Każdy z nas jest inny. Niektórzy trochę inni, niektórzy bardzo. Nie odnosi się wrażenia, że to wszystko „klony Boba”. Tak samo ty nie jesteś po prostu „klonem Bridget”.

Na moment zacisnęła usta. Potem spojrzała mi w oczy.

– Dotarło. Jeśli mam wierzyć mojemu katolickiemu wychowaniu, Pierwsza Bridget jest teraz w niebie lub piekle. Wiesz, że Kościół Katolicki nigdy nie był w stanie wypracować spójnego zdania w sprawie replikantów, prawda?

Zachichotałem.

– Za wiele czasu nie mieli, bo zaraz był Armagedon i nikt już nie miał do tego głowy.

Bridget wypuściła powoli powietrze i rozejrzała się dookoła.

– A co zrobiłeś z plażą?

– Jak chcesz, mogę ją przywrócić. To jest po prostu moje standardowe wirtualne wnętrze. Dość typowe dla większości Bobów, taka biblioteka łamana przez salon.

– A mógłbyś? W prawdziwym życiu na Ziemi nigdy nie widziałam brzegu oceanu.

Kiwnąłem głową i VR-ka zmieniła się w tropikalny raj. Ciepły wietrzyk targał nam ubrania, w oddali darły się mewy, a Jeeves stał na baczność z dwoma drinkami z parasolkami na tacy.

Bridget zachichotała. Rozejrzała się, westchnęła, poklepała kanapę.

– To pewnie by trzeba zniknąć.

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

Kanapę zastąpiły dwa wygodne fotele plażowe – nie takie plastikowe z plecionką z pasków, ale porządne, z poduchami. Nie było tu gęsi, więc nie było to problemem.

Bridget rozparła się w fotelu i wzięła głęboki wdech.

– No dobra, jest całkiem nieźle. W którymś momencie mogę jeszcze dostać ataku paniki, ale raczej mi przejdzie. Mów, co się działo. Umarłam?

– Tak. – Zawahałem się, patrząc na nią. – Ustanie pracy serca. Nic mi nie mówiłaś, że zmieniłaś testament. Zresztą ewidentnie dla wielu osób to była niespodzianka.

Spojrzała na mnie uważnie.

– A dzieci co na to?

Przewróciłem oczyma.

– Dobrze, że założyłaś ten fundusz na koszty prawne. Nadal mam wszystkie dokumenty sądowe i inne takie. Jak będziesz chciała, to sobie zerkniesz. Ja powiem tylko, że już się do siebie nie odzywamy.

Bridget spuściła wzrok ze smutkiem.

– Ja raczej też już nie będę ich ulubioną osobą. Ale trzeba spróbować.

– Zaczynij od Howiego.

Kiwnęła głową z namysłem, potem znowu się rozejrzała.

– To jak to się robi?

– A! Dobra, to na początek kurs. Replikant: podstawy obsługi.

Dostałem od Bridget wiadomość, że skończyła rozmowy telefoniczne. Od razu wskoczyłem jej do VR-ki. Zastałem ją siedzącą na kanapie i cicho płaczącą. Usiadłem obok i bez słowa wziąłem ją za rękę.

Trwała tak jeszcze przez parę milisekund, po czym uśmiechnęła się do mnie przez łzy.

– Muszę przyznać, że to świetnie, że nie dodaliście do wirtualki zasmarkanych nosów.

– Nawet nasz obsesyjny realizm ma swoje granice. – Uśmiechnąłem się szeroko. – Nie mamy też komarów. Samo to jest warte ceny biletu wstępu. – Spowaźniałem i spojrzałem jej w oczy. – Chcesz pogadać, jak było?

Westchnęła i zapadła się w kanapę. Zauważyłem przelotnie, że to ta sama kanapa z jej prawdziwego mieszkania, ta, której użyłem, kiedy ją wskrzeszałem. Cała VR-ka była właściwie kopią jej dawnego domu, z dodatkiem większego salonu i wykuszu z oknem z widokiem na słoneczny wolkański krajobraz.

– Gadałam z Howiem – powiedziała. Warga jej zadrżała. – Był zdystansowany, ale wydawał się tym zawstydzony. Chyba jest między młotem i kowadłem, chce mnie zaakceptować, ale wie, że Rosie mu tego nie wybaczy.

– Hmm – rzuciłem. Bezpiecznie.

Bridget uśmiechnęła się smutno.

– Rosie zawsze była trudna. Wie, czego chce, i nie przejmuje się zdaniem innych. Ani szkodami, które wyrządzi przy stawianiu na swoim.

– Bridget, bądź cierpliwa. Howie zmieni zdanie. Chociażby z ciekawości. Mogę go też skontaktować z moją rodziną. Wyrobi sobie bardziej pozytywną opinię o replikantach w rodzinie.

Kiwnęła głową i otarła oczy. Potem spojrzała z namysłem na swoje ręce.

– Mogłabym chyba przestawić coś w VR-ce, żeby być suchą, nie?

– Tak, ale nie rób tego. Jak przyzwyczaisz się do robienia wszystkiego na skróty, na koniec po prostu będziesz się unosić w pokoju jak Dracula. VR-ka jest po to, żeby mieć osadzenie w rzeczywistości. – Zastanowiłem się. – Chociaż w sumie teraz, jak mamy androidy i tak dalej, może nie jest to aż takie ważne.

Bridget wstała. Powoli przeszła po swojej VR-ce, od czasu do czasu coś podnosząc i oglądając. W końcu zatrzymała się przy oknie w wykuszu i popatrzyła na wolkański las w oddali. Słońce zachodziło i na pierwszym planie ciągnęły się długie cienie.

Popatrywała na ten krajobraz jeszcze przez chwilę, potem uniosła rękę i zrobiła nieznaczny gest. Widok na Wolkana zmienił się w chmurobraz Odyna. W oddali unosiły się grupki balonowców.

– To jest z tych wideo, które porobiłem – zauważyłem z zadowoleniem. Podszedłem i stanąłem obok niej.

Bridget odwróciła się do mnie i odpowiedziała uśmiechem.

– Nie gniewaj się Howard, ale to możliwość badania życia na Odyne sprawiła, że zmieniłam zdanie w kwestii replikacji.

– Ha, ha, ha. HA! – odpowiedziałem. – Mój niecny plan działa ide... Au!

– Pamiętaj, cwaniaku, że dalej możesz odczuć mój gniew. – Wyszczrzyła się, a ja pocierałem ramię. – No dobra, to jak, jedziemy na badania terenowe?

– Dobrze, mój ssssskarbie, jedziemy, jedziemy, tylko niech nas już nie bije...

– Howard!

Tak, że tak. Chciałem mieć rodzinę, to mam.

42. Wynik negatywny

Bill, luty 2228, 82 Eridani

Dostałem od Macka raport, więc wskoczyłem mu do VR-ki, żeby go przegadać.

– Cześć, Bill. Klapnij sobie. – Pokazał miękki, na oko bardzo wygodny fotel. Skorzystałem z zaproszenia.

– Przeczytałem twój raport. Niezbyt zachęcający.

– W kwestii Medeirosów, tak? No, przeskanowaliśmy cały ten układ aż po obłok Oorta. Zero. Zrobiłem nawet drugi skan, z przesunięciem względem pierwszego, jakby coś się ukrywało w jakiejś martwej strefie. Dalej zero.

– A jaka jest szansa, że to było wszystko, co miał Medeiros? – Sam w to wątpiłem, ale chciałem potwierdzenia, że dobrze myślę.

– Nie widzę tego, Bill. Tyle niszczycieli, tyle rakiet, to się musiało skądś wziąć. Widziałeś, gadałem już o tym z Calvinem, nie? „A w życiu”, tak dokładnie powiedział.

– Nie mógł też nawieźć tego wszystkiego z Alfy Centauri. – Wpatrzyłem się z namysłem w przestrzeń. – Nawet z jakiegoś bliższego układu nie dałby rady, przynajmniej nie za jednym razem.

Mack kiwnął głową i potarł podbródek.

– Czyli albo latał dwa razy, albo ktoś mu pomagał, albo buduje je lokalnie.

– Może musisz bardziej poskanować.

– Albo... jeszcze nad jednym się zastanawiałem. Jest maskowanie, używamy go na niszczycielach i bombach, Medeiros w zasadzie też. Ale co, jeśli wpadł mu do głowy świetły pomysł maskowania całej autofabryki?

Poczułem, że brwi jadą mi do góry.

– O, to by było słabo. Mógłby sobie siedzieć w tym układzie i musielibyśmy go trafić skupioną wiązką, żeby w ogóle go wykryć.

Mack westchnął i rozparł się w fotelu. Prawie przez pół sekundy gapił się w sufit, nic nie mówiąc.

– Z drugiej strony może ja sobie wyobrażam nieistniejące zagrożenia. Nie wiemy tego. Nic kompletnie nie wiemy.

– A wy tu jesteście w pełni sił, nie?

– Mniej więcej. – Machnął lekceważąco ręką. – Mamy drukarki, surowce, buduję nowy miot, mam zapasowe niszczyciele... Ale wygląda na to, że trzeba będzie zorganizować ogólnoukładową obronę.

– Nic niezwykłego, ciągle to robimy. Posłuchaj: jak będziesz miał gotowe klony, zacznij produkować więcej dronów obserwacyjnych. Niech mają skanery, i skupione, i dalekiego zasięgu. Wiem, że szansa trafienia czegoś skupioną wiązką jest mała, ale niezerowa.

Mack kiwnął głową. Wstałem, pomachałem do niego i zniknąłem.

Z Innymi i Medeirosami życie robiło się aż za ciekawe.

43. Korekta kursu Ikar, marzec 2240, przestrzeń międzygwiezdna

– Dedal, zbliżam się do Epsilonu Indi. Zostaje mi ćwierć okręgu. Jak twój kurs?

Dedal odpowiedział od razu.

– Sprawdzam...

Czekałem, zdaje się bardzo długo, choć pewnie to były milisekundy. To był krytyczny element naszego podejścia. Odtąd każdy z nas będzie kreślił gładki i ładny łuk, kończący się na GL 877. Jednakże czas był coraz bardziej krytyczny.

– U mnie wszystko pięknie. τ jak trzeba, wszystko na zielono.

– No to świetnie – odpowiedziałem. – Lecimy nakopać Innym do dupy.

44. Publiczny debiut

Howard, grudzień 2220, Odyn

Lecieliśmy bez wysiłku po odynowym niebie, machając skrzydłami tylko tyle, by zachować pęd. Ciała androidów w kształcie manty wydawały się dobre do oszukiwania miejscowego życia – drapieżniki uciekały, większe zwierzęta okrążały swoje młode albo nie zwracały na nas uwagi. Przed nami stado balonowców pasło się leniwie na polu kryła.

Mają nas na oku, ale poza tym nie zmieniają swojego zachowania, jeśli nie zaczynamy ganiać za młodymi, napisała do mnie Bridget.

Rozumiem. Obserwuj, ale nie żryj.

Ha, ha. Pan Dowcipny.

Mnie, typowemu inżynierowi, wystarczało budowanie dronów i obserwowanie z oddali. Bridget, jak tylko usłyszała o Charliem, androidzie Boba, który udawał Deltanina, i o eksperymentach Marcusa z wersjami pływającymi, od razu zaproponowała, żebyśmy spróbowali czegoś podobnego.

Manty były stadnym drapieżnikiem średniego poziomu, w kształcie mniej więcej ziemskiej ryby, od której wzięły nazwę. I jak wszystkie istoty żywe na Odynie miały w sobie pęcherz z wodorem zapewniający zerową pływalność. Chciałem w przypadku androidów użyć helu, ale miałem problemy z cięższą konstrukcją i nie dość lekkim gazem.

Dogoniliśmy stado balonowców. To były te wielkie zwierzęta, które wypatrzyłem, kiedy pierwszy raz zapuściłem się głębiej w atmosferę Odyna. Wypełniały mniej więcej tę niszę, co fiszbinowce na Ziemi – żywiły się obficie wypełniającymi atmosferę drobnymi żyjątkami. Zaczęliśmy je okrążać, a każdy balonowiec obserwował nas ogromnym okiem na słupku.

Ty to nagrywasz?

Tak, kochanie.

W odpowiedzi dostałem „LOL” i emotkę z serduszkiem.

[Przypominajka: zaraz zaczyna się Zgromadzenie.]

Oj. Napisałem do Bridget i niechętnie zgodziła się kończyć na dziś. Ustawiliśmy nasze androidy na autonomiczne utrzymywanie pozycji. Miały

zataczać wielki, powolny krąg i unikać kontaktu z innymi zwierzętami.

Wskoczyliśmy z powrotem do mojej VR-ki. Jak zwykle po sesji z mantami, Bridget miała zaróżowioną twarz i ekstatyczną minę.

– Jesteś pewna, że wytrzymasz? Możemy to jeszcze przełożyć.

Uśmiech zniknął.

– Wiem, Howardzie, ale mam wrażenie, że zaczynam mieć fobię. Muszę wcześniej czy później pokazać się publicznie.

– No dobrze. To głęboki oddech... – Wzięłam ją za rękę, uśmiechnąłem się z otuchą – mam nadzieję – i wskoczyliśmy do VR-ki Zgromadzenia.

Mogłaby to być fotografia, a nie żywa scena. Prawie sto wersji mojej twarzy gapiło się na nas z wytrzeszczonymi oczyma i ustami ułożonym w takie samo „O”. Zero poruszeń, zero odgłosów. Nawet Jeevesy stały i się wgapiały.

Taka martwa natura trwała przez dwie milisekundy. Potem nachyliłem się do Bridget i teatralnym szeptem powiedziałem:

– Nic się nie przejmuj, oni są bardziej wystraszeni niż ty. Po prostu unikaj kontaktu wzrokowego.

Sala eksplodowała śmiechem i Bobowie zaczęli podchodzić, żeby się przywitać. Wyglądało na to, że nas przytłoczą – a dokładniej: przytłoczą Bridget; mnie traktowali jak paproszek na wykładzinie. Jednakże czas naszego wejścia wyliczyłem starannie. Dokładnie wtedy Bill zatrąbił swoim klaksonem, sygnalizując rozpoczęcie spotkania. Bobowie odwrócili się do Billa, a Bridget westchnęła z ulgą.

Wymanewrowaliśmy na tyły zgromadzenia, żeby strzelić sobie po piwie i oglądać wszystko, nie przeszkadzając. Podszedł do nas niski, krępy typ z gęstymi, ciemnymi włosami i przywitał się z silnym australijskim akcentem.

Skinąłem mu głową i odwróciłem się do Bridget.

– Bridget, to jest Henry Roberts. Jest z australijskiej sondy, którą Linus znalazł w Epsilonie Indi. Henry – Bridget.

Bridget rozejrzała się teatralnie i powiedziała:

– Henry, widzę cię tylko jedną sztukę. Nie replikujesz się?

Henry pokręcił stanowczo głową i powiedział:

– Nie ma mowy, pani szanowna. Odkąd Linus zbudował mi nową macierz, nie mam potrzeby, by było mnie więcej. A już szczególnie nie mam potrzeby badać wszechświata. Bobom też nic z tego dobrego nie przyszło.

– Oj, daj spokój Henry, jeden wredny gatunek obcych i tyle. W sumie to całkiem nieźle. – Uśmiechnąłem się do niego.

Henry odpowiedział szyderczym uśmiechem i zwrócił się do Bridget.

– A ty? Planujesz się replikować?

Bridget przewróciła oczyma.

– Rozumiem, że taki był pierwotny plan projektu NIEBO, ale ta idea powoduje u mnie ciarki. – Popatrzyła przez moment na mnie. – Nie rozumiem, jak Bobowie mogą czuć się z tym dobrze. Może dzięki filozofii humanistycznej Pierwszego Boba.

Wtrąciłem się.

– Z humanizmem pewnie masz rację, ale że czujemy się z tym dobrze, to trochę przesada. Gdyby nie Inni i problem z Ziemią, pewnie byłoby nas raptem kilkudziesięciu.

Bridget i Henry kiwnęli z namysłem głowami. Henry odpowiedział:

– Czyli my nic nie musimy, to już jest opanowane? Nie zauważyłem żadnej presji na tłuczenie kopii.

– Henry, mamy ograniczone zasoby. Rocznie jesteśmy w stanie zbudować ileś statków. Czy to będą Bobowie, Henryki, czy Bridgety, to wszystko jedno. Już lepiej trzymajmy się obecnego systemu. Przynajmniej nowe klony od razu znają całą historię.

Bridget uśmiechnęła się do mnie i odwróciła się z powrotem do Henry'ego.

– I co będziesz ze sobą robił?

Henry patrzył przez moment zdziwiony, po czym uśmiechnął się szeroko.

– Prawdę mówiąc, Bridget, ja jestem teraz w drodze na Omikrona-2 Eridani. Chcę zrobić sobie ciało androida, wylądować na Romulusie lub Wolkanie i zbudować jacht. Potem spędzę dziesięć czy dwadzieścia lat na opływaniu tej planety. A dokładniej – dodał po chwili namysłu – myślę, że spróbuję przepłynąć każdy ocean na każdej planecie w sferze zasięgu ludzkości. Jest szansa, że nigdy mi się to nie uda.

Parsknąłem śmiechem i wskazałem brodą Bridget.

– A ona chce zinwentaryzować wszystkie gatunki na wszystkich planetach w sferze zasięgu ludzkości.

– A, kurka, zobaczysz, że to zrobię. Przeszkadza? – I łypnęła na mnie wyzywająco.

Henry się zaśmiał.

– To pewnie parę razy na siebie wpadniemy?

Bridget odpowiedziała swoim atomowym śmiechem, aż Henry wytrzeszczył oczy.

Tak, ona tak właśnie działa na ludzi. Staralem się jak najlepiej zachować wszystkie jej idiosynkrazje. Reakcja Henry'ego dowodziła, że ten śmiech w VR-ce działa równie dobrze, jak w fizycznym świecie. Zmarszczyłem czoło. Jednak nie śmiała się teraz tyle, co kiedyś. Ciekawe, czy to przez zmienność przy replikacji, czy może wskutek ostatnich przeżyć.

– A... ten... używałaś już ludzkiego androida? – Henry wyraźnie starał się jakoś opanować.

Bridget pokręciła głową i popatrzyła na mnie.

– Howard mnie namawiał na spróbowanie. Ale chyba nie będę się z tym śpieszyć. I boję się wpaść przypadkiem na swoje dzieci.

– Ale z lataniem jako olbrzymi drapieżnik w atmosferze gazowego olbrzyma ona nie ma żadnego problemu. – Puściłem do niej oko.

Henry zachichotał i odwrócił się do reszty, akurat kiedy Bill kończył otwierającą mowę. Pierwszym punktem agendy zawsze byli Inni, Przygotowanie i Status. Tu nikt nie chciał niczego przegapić.

Podsumowanie Billa było krótkie i konkretne. Rabowanie Delt Pavonis trwało, Bobowie nadal nie mieli sposobu, by Innych powstrzymać, i nikt nie miał żadnego planu.

Nadzwyczajnie.

45. Przyjazd Pawonisów Jacques, maj 2247, HIP 84051

Osiadłem na orbicie wokół HIP 84051-2. Według badań była to młoda planeta młodej gwiazdy. Miejscowe życie roślinne nie dotarło jeszcze do fazy okrytonasiennej, a zwierzęce nie rozkminiło stałocieplności. Liczyłem, że Fineaszowi i Ferbowi udało się zebrać dużo próbek genetycznych na Delcie Pawia, zanim przybyli tam Inni. Według wieści od Billa z ostatnich paru dziesięcioleci odtwarzanie roślin i zwierząt z próbek robiło się coraz prostsze. Oczywiście jego uwagi dotyczyły ziemskiego życia, które bardzo dobrze znaliśmy. Pozaziemskie gatunki mogą okazać się bardziej pracochłonne.

Ale przecież nie musieliśmy od razu wybutlowywać Pawonisów. W hibernacji nie działo się z nimi nic złego. Mogliśmy się nie śpieszyć, poznać ich biologię, uruchomić wszystkie procesy i potem obudzić uchodźców. To by mi odpowiadało.

Patrzyłem w notatki dotyczące HIP 84051. Bob, który eksplorował i opisywał ten system, nazywał się Steve. Nie było wzmianki, skąd pochodzi jego imię. Może Steve Dallas z komiksu *Bloom County*? Domysł równie dobry, jak każdy inny. Nie warto było go pingować tylko po to, żeby o to zapytać, nawet zakładając, że był w tym momencie podłączony do BobNetu.

Przez miesiąc analizowałem jego zapiski, czekając, aż przylecą Fineasz i Ferb. Steve bardzo szczegółowo rozpisał się o klimacie, ekologii, geologii i tak dalej. Wyglądał trochę na nadgorliwca.

Mimo że znalazłem się w nowym układzie, łapałem się na tym, że po prostu odbębniam procedury. Nie miałem żadnej energii, nie czułem zapału. Dopiero po jakimś czasie dotarło do mnie, dlaczego. Po prostu uświadomiłem sobie, że w tym nie ma żadnej radości. To nie była ekspansja. Ani nowa kolonia, czy to dla ludzi, czy to dla Pawonisów. To była ucieczka – ucieczka z domu, który był do nich idealnie przystosowany, w poszukiwaniu schronienia gdzie indziej, w miejscu będącym zaledwie najlepszą dostępną alternatywą.

Myśl była niebezpiecznie przygnębiająca. Musiałem się wyrwać z tego doła, inaczej na nic się nie zdam.

Poczekalem, az statki-kolonie odpowiednio sie zbliza, i wpadlem z wizyta.

– Cześć, Fineasz.

– Cześć, Jacques. Siadaj. Badania w porządku?

Opadłem na pękaty fotel.

– Żadnych niespodzianek. Ale nie jakoś super. Ekosystem mniej więcej na poziomie dewońskim. Dadzą radę żyć...

– No. – Fineasz popatrzył na mnie badawczo. – Jakiś taki dołujący jesteś?

Parsknąłem śmiechem.

– Przyznaję się do winy. W tej sytuacji nie ma niczego, co nie byłoby do dupy. Po prostu chyba teraz to do mnie dotarło.

– Hmm. No wiesz, a ja przeczytałem sobie na blogu Billa o tej Somatycznej Regeneracji z Materiału Genetycznego...

– O, jak to powiedziałeś, to słyszałem te duże litery.

– Chłe, chłe. W każdym razie podczas lotu przegadaliśmy to sobie z Ferbem, popatrzyliśmy na próbki, które mamy w zamrażarkach, i wygląda na to, że techniki Billa dadzą się zastosować do pawoniskiej biologii.

– O. Dobra, to jak, potrzymamy ich trochę, a wy spróbujecie, jak to działa?

– Pewnie tak. Opóźnienie nic im nie zrobi, a miło byłoby dać im coś lepszego niż taka surowa planeta.

Kiwnąłem głową.

– Jasne. To tak robimy.

Od razu poczułem się lepiej.

46. Miasto

Howard, czerwiec 2221, Odyn

Bridget zastała mnie w gabinecie, z nogami na biurku, wpatzonego w namyśle w wiszący w powietrzu hologram.

– Co to? – Pokazała palcem.

– Słyszałaś, że Marcus zrobił na Posejdonie takie latające miasta, nie?

– Uhm, tak. I razem z nimi wielką gównoburzę. Ja też czytam blogi.

Uśmiechnąłem się szeroko.

– A mnie to dało do namysłu. – Mamy wielką planetę, Odyna, jak już brać się za latające miasta, to czemu nie tam?

– Aha. To ten jego projekt?

– Nie. – Wskazałem hologram. – Żeby się utrzymać w locie, wcale nie potrzeba pierścieni SURGE. Okazuje się, że bańka z powietrzem pod ziemskim ciśnieniem będzie się unosić w atmosferze Odyna. Wystarczy półtorej atmosfery. Dałem miastu kształt wydłużonej elipsoidy, bardzo stabilny i wytrzymały z dużym zapasem, jeśli będzie zbrojony włóknami węglowymi.

– Rozumiem, ale kto będzie tam mieszkał?

– Myślałem, że może my?

Uniosła brew.

– Ten... Howardzie, zapomniałeś, co oznacza skrót VR?

– Nie, kochanie. – Uśmiechnąłem się, kiedy pokazała mi język. – Myślałem o androidach. Nasze własne miasto w chmurach. Żebyś nie mówiła, że nigdy nic ci nie dałem.

– Pan szanowny ma zdecydowanie za dużo wolnego czasu.

Kiwnąłem głową i spowaźniałem.

– Ale serio, Bridget, przy tym całym problemie z Innymi... jest zupełnie możliwe, że będziemy musieli poukrywać kolonie ludzi na olbrzymach gazowych, żeby nie dać się eksterminować.

– Bobowie są naprawdę przywiązani do tego gatunku, co? – W jej oczach widać było obawę.

– Tak. Delta Pawia na serio wszystkich załamała. I trochę głupio mi, że nie angażuję się bardziej w przygotowania do wojny. To może to będzie mój wkład?

– Będziemy beta testerami. – Usiadła przy moim biurku i dokładniej przyjrzała się modelowi.

– Tak. I jak coś pójdzie źle, przecież nic nam się tak naprawdę nie stanie.

Bridget szturchnęła model palcem i pokręciła nim tam i z powrotem. Przyglądała mu się w milczeniu przez parę milisekund. Potem spojrzała na mnie.

– I w pakiecie miejsce w pierwszym rzędzie z widokiem na faunę Odyna. Nie ma sprawy, Howardzie. Chciałeś, żebym zajęła się jakimś drukowaniem. No to zobaczmy, co mi się uda zrobić.

47. Zapowiedź

Riker, grudzień 2240, Układ Słoneczny

Bill wpatrzył się w przestrzeń, powoli obracając w dłoni szklankę z whiskey. Udało mi się go skusić skanem jednego z najnowszych roczników z Wolkana.

To zabawne, że akurat Wulkan zdobył renomę jako producent alkoholi, fizycznych i wirtualnych. Firma Howarda – a dokładniej firma rodziny Brodeur – finansowała już nawet budowę sterowanych przez MSI statków międzygwiazdnych, aby przecierać szlaki handlowe pomiędzy układami. Osobiście myślałem, że to trochę przedwcześnie, ale życie chyba musi toczyć się dalej, nawet z wiszącym nad głową zagrożeniem ze strony Innych. W każdym razie mogli przynajmniej skupić się na czymś pozytywnym, więc w czym problem?

– Nie jest zła – powiedział Bill. – Pierwszy Bob też by pochwalił. I nawaliłby się powoli, w ogóle niepostrzeżenie. Tak myślę, że ona będzie trochę podstępna.

Uśmiechnąłem się, wyobrażając to sobie.

– A jak. – Zawahałem się i nerwowo pokręciłem na krześle.

Bill zauważył ten ruch i uniósł brew.

– No dobra. To nie miała być towarzyska pogawędka. Tak zresztą zakładałem. Co się urodziło, Will?

– Nie widać żadnej aktywności Innych. Nic. Żadnych wypadów, ataków, nic. Coś tu śmierdzi.

– Jasne. Ale może to my się za bardzo denerwujemy?

– Hmm. Ja bym się zastanowił, czy nie zrobić szybkiej obserwacji GL 877.

Próbowałem zachować nonszalancki ton, ale mina Billa jasno powiedziała, że to się nie udało.

– Rozumiem to, Will. Jednak informacja, którą zdobędziemy, musi być warta tego, żeby ryzykować, że potencjalnie przejmą jakąś naszą technologię. Z dronami obserwacyjnymi w obłoku Oorta nie próbowali, ale jak pošlemy im coś centralnie do środka układu...

Zastanawiałem się już nad tym wcześniej, dość dogłębnie, więc nie zaskoczyła mnie jego uwaga. Miałem gotową odpowiedź:

– Niczego nie przejmą, jeśli niczego nowego im nie wyświetlimy. Proponuję wypad tylko znanymi technologiami. SURGE, SUDDAR poziom pierwszy i tak dalej. Bez UNOP-a, bez kamuflażu.

Billowi brwi wjechały na czoło.

– Dobra... i jak to ma działać?

Wyświetliłem parę diagramów.

– Opakowujemy sondy w materiał jak asteroidy. Zablokuje niekierunkowe impulsy SUDDAR-u, oszuka radar i optykę. Będą wyglądały jak zwykłe śmieci kosmiczne lecące sobie przez układ. Wszystkie obserwacje zapiszą i prześlą po wylocie z układu, ewentualnie jeśli zaobserwują, że coś się zbliża, przetransmitują wszystko od razu i ulegną samozniszczeniu.

– Sondy?

– Zrobimy ich, ile tylko się da. Losowe kursy i prędkości.

Bill przez parę milisekund patrzył w milczeniu w przestrzeń.

– Wiesz co, faktycznie ten plan nie ma chyba wad. A co tam. Gadajmy z Mariem. Od niego to wszystko zależy, ale jestem prawie pewien, że się zgodzi.

– Da się zrobić. – Mario przez chwilę kiwał w zamyśleniu głową, potem spojrzał na nas. – Mam autofabryki jakieś ćwierć roku świetlnego od nich, po to, żeby natrzaskać kolejnych dronów monitorujących, jakby Inni znów się wściekli. A coś takiego, jak mówicie, to dla tych fabryk bułka z masłem. – Potarł podbródek. – Trochę upierdliwe będzie rozwiezienie tego na odpowiednie pozycje, ale mamy chyba trochę czasu. Jeśli Inni zrobią jakiś ruch, to i tak będziecie już mieli odpowiedź.

Skinąłem głową.

– To świetnie. Szczerze, pewnie nic tam nie zobaczymy, tylko trochę dobudowanej sfery Dysona, ale jak zaobserwujemy, że stawiają potężną flotę asteroid śmierci i transportowców, to wolałbym wcześniej o tym wiedzieć.

Mario wyszczerzył zęby.

– Dotarło. Zaraz zaczynam.

48. Wybutlowanie Pawonisów

Jacques, lipiec 2256, HIP 84051

Domy dla dwudziestu tysięcy Pawonisów – są. Konkretnie wielki płot chroniący przed miejscową fauną – jest. Farmy, na których już zaczynają rosnąć ich rośliny uprawne – są. Pawoniskie zwierzęta hodowlane, robiące pierwsze kroki na chwiejnych nogach – są.

No dobra, nie jest źle. Z domami może trochę przegięliśmy. Pewnie zadziało jakieś przeniesione poczucie winy. Ale wyglądało na to, że jesteśmy gotowi.

Fineasz i Ferb siedzieli z kawą w dłoniach i czekali, aż rozpoczne rozmowę. Ja z jakiegoś powodu nie chciałem. Dotąd właściwie unikaliśmy radzenia sobie z zagadnieniem Pawonisów. Analizowanie ich biologii było ciekawe i fajne, a budowa kolonii to jak Lego dla dorosłych.

Teraz jednak mamy zamiar obudzić ostatnie dwadzieścia tysięcy przedstawicieli niemal wymarłego gatunku. I oczywiście zmierzyć się z ich pytaniami, oskarżeniami i własnym poczuciem winy dotyczącym całej Delty Pavonis.

Westchnąłem i postawiłem kawę na bocznym stoliku.

– Dobra, panowie. Koniec tej prokrastynacji. – Wskazałem palcem Fineasza.
– Dajesz.

Fineasz uśmiechnął się krzywo, potwierdzając niezręczność sytuacji.

– Wszystko przygotowane. Kolonia gotowa, zboże rośnie, zwierzęta robią to, co tam robią zwierzęta. Większość prac utrzymaniowych na razie jest na dronach, ale zaraz trzeba będzie albo wejść z androidami, albo szybko budzić tych Pawonisów.

– Jasne. Kolonia sama się nie poprowadzi. – Zerknąłem na Ferba. – Twoich kolonistów wyładujemy najpierw. Jakież problemy?

Ferb pokręcił głową.

– Nie. Jestem w pełni gotowy. Nie mogę się doczekać, kiedy wyruszę na Słońce. Może uda się wywieźć stamtąd ludzi, zanim pojawią się Inni.

– Zakładając, że się pojawią.

Ferb przewrócił oczyma.

– Jezus, Fineasz, myśleć trochę.

Fineasz wzruszył ramionami.

– No dobra – rzuciłem, próbując nie dopuścić do tej dyżurnej sprzeczki. – Będziesz mógł wyładować wszystkich kolonistów. Trzy dni, tak?

Skinął głową.

– Tak, stopniowo, żeby zbyt wielu obudzonych nie siedziało bez sensu, nie rozumiejąc, o co chodzi. Po pierwszej partii obudzeni już wszystko wytłumaczają kolejnym.

– Rany. – Opuściłem twarz w dłonie i przez chwilę masowałem sobie czoło. – To będzie masakra. Nawet jak Hazdżar będzie pomagać, będzie chaos. Dziesięć razy taki jak normalny pawoniski.

Obudziliśmy Hazdżar i siedmioro pozostałych Pawonisów, z którymi rozmawialiśmy wcześniej z Billem. Tym razem byli spokojniejsi, może dzięki jedzeniu, które na tę okazję wybutlowaliśmy.

Kiedy je zniszczyli, Hazdżar zerknęła w stronę monitora na ścianie.

– I co teraz?

Spojrzeliliśmy po sobie z Fineaszem i Ferbem.

– Teraz będę improwizował.

Odpowiedziałem przez monitor.

– Przyjdę osobiście, żeby omówić z wami kolejne kroki. Chcę, żebyście się przygotowali.

Ósemka Pawonisów przyjęła czujną postawę, kręcąc głowami.

– Jakieś zagrożenie? – zapytała Hazdżar.

– Nie. Po prostu czas, żebyśmy spotkali się twarzą w twarz.

Rzuciłem chłopakom krzywy uśmiešek.

– Żeby tylko nie byli dalej głodni.

Wejście do androida i przejście przez testy startowe zajęło tylko chwilę. Zdjąłem się z wieszaka i podszedłem do drzwi. Krótki spacer korytarzem i stanąłem przed pomieszczeniem z ożywionymi Pawonisami. Wziąłem głęboki wdech, mruknąłem „Kurtyna w górę” i kiwnąłem na drzwi, żeby się otworzyły.

Gdy wszedłem, Pawonisi wycofali się pośpiesznie do przeciwległego rogu. Taka scena trwała przez kilka sekund – człękokształtna postać w jednym rogu pokoju, stado dwumetrowych surykatek w czujnej postawie w drugim. Rozmawiałem wcześniej z Billem i stwierdziliśmy, że lepiej pokazać im się jako

obcy niż próbować udawać Pawonisa. Ale i tak pewna doza niezręczności była zupełnie spodziewana.

Spojrzałem na nich, unikając dłuższego wpatrywania się, co mogliby zinterpretować jako agresję. Podeszedłem do długiego stołu i usiadłem na ławie.

– Dzień dobry – powiedziałem. – Jestem Jacques. Jeszcze raz przepraszam, że spotykamy się w takich okolicznościach.

Przez chwilę trwali bez ruchu, wreszcie Hazdżar podeszła i usiadła po przeciwnej stronie stołu. Po krótkiej ciszy kiwnęła na mnie.

– Dlaczego poprzednim razem się nie pokazałeś?

– Eee... – Po co miała wiedzieć, że nie jestem organiczny. Po co komplikować? – Nie chcieliśmy nadmiernie zaprzątać waszej uwagi. Podjęliśmy taką decyzję, na szybko.

Skinęła głową wyraźnie usatysfakcjonowana. Pozostała siódemka zaczęła nieśmiało przysuwać się do stołu. Na razie nie zwracałem na nich uwagi, licząc, że odbiorą to jako zachętę.

– O czym będziemy rozmawiać? – zapytała Hazdżar.

Starannie unikałem uśmiechów, bo dla nich to byłaby groźba.

– Wasz nowy dom jest gotowy. Mamy w hibernacji dwadzieścia tysięcy waszych ludzi i chcę ustalić jakiś plan ich budzenia.

Hazdżar kiwnęła głową i rozsiadła się wygodniej. Była miejską urzędniczką, więc kwestie administracyjne stanowiły dla niej chleb powszedni. Ten znajomy teren ją uspokajał.

– Dobrze, Żok, to co my tu mamy?

Omiotła wzrokiem pola, na których zaczynały dojrzewać pierwsze ki, takie jakby nadziemne ziemniaki. Siedzieliśmy na patio jej domu, a trzech pawoniskich żołnierzy ściskało broń i popatrywało na mnie podejrzliwie. Uśmiechnąłem się, widząc ich miny i mowę ciała – uważałem jednak, by nie pokazać tego na twarzy androida.

Nasze zachowanie nieustannie Pawonisów zadziwiało, choć na ogół składali to na karb naszej „obcości”. Ich wojskowi byli na przykład zdumieni i podejrzliwi, kiedy po obudzeniu po prostu oddaliśmy im ich broń. Sprawdzali dokładnie amunicję, kilku nawet oddało próbne strzały. I wciąż myśleli, że to jakiś wyrafinowany kawał, i czekali na puentę.

Hazdżar odwróciła się do mnie.

– A co z Innymi? Dalej są zagrożeniem?

– Podejrzewamy, że teraz kierują się do naszego macierzystego układu. Są wściekli na nas za akcję w waszym układzie. Przygotowujemy się do tego. Natomiast wy jesteście teraz dość daleko od nich.

– I nadal nie chcecie zapłaty?

– My tak nie działamy.

– Jesteście *Dożagrijl*. – Stwory z uszkodzonymi mózgami.

Zaśmiałem się, uważając, żeby to było po pawonisku.

– Wielu z nas by się zgodziło.

– To czemu to robicie?

Poruszyłem się w fotelu.

– Trochę dlatego, że chcemy pomóc. I trochę z poczucia winy, bo byliśmy tam, kiedy przybyli Inni, i nie daliśmy rady ich powstrzymać.

– Ale gdyby was tam nie było, skutek byłby taki sam, prawda? – Hazdżar przekrzywiła głowę w bardzo ludzkim geście.

To już przerabialiśmy. W pewnych kwestiach nasze gatunki całkowicie się rozjeżdżały.

– Wiem, Hazdżar. Nasze reakcje nie zawsze mają sens, nawet dla nas.

Parsknęła śmiechem.

– Chociaż w tym jesteście podobni. – Wskazała pola. – I co teraz?

– Jak mówiłem, możemy być tak obecni, albo tak nieobecni, jak tylko zechcecie. Będziemy was informować na bieżąco, co się dzieje z Innymi, i pomożemy, jeśli zechcecie wrócić na waszą planetę. Albo po prostu spojrzeć na nią.

Wzdrygnęła się.

– Nie, minie chyba wiele lat, zanim będziemy w stanie to znieść. Dalej mam koszmary po tych zdjęciach, które nam pokazaliście zaraz po obudzeniu.

Kiwnąłem głową, nic nie mówiąc.

– Całkiem dobrze się tu zagospodarowaliśmy. Domy są przestronne i dobrze zaprojektowane. Zwierzęta już się nauczyły dawać nam spokój. – Spojrzała na mnie badawczo. – Masz dla mnie jeszcze jakieś niespodzianki?

– Nie, Hazdżar. – Pokręciłem głową, a potem przypomniałem sobie, że u Pawonisów przeczenie wyraża się kiwaniem głową na boki. Poprawiłem się, a Hazdżar parsknęła śmiechem. – Nie ma problemu, *Żok*, ja też się uczę waszych gestów.

– Cieszę się. I chyba wszystko już powiedzieliśmy. Macie niezłe złoża minerałów, niezbyt głęboko. W parę lat dacie radę zbudować sobie bazę przemysłową. Na całej planecie nie żyje nic na tyle dużego ani wrednego, żeby stwarzało problemy. – Parsknąłem śmiechem. – W odróżnieniu od innych planet,

które my kolonizowaliśmy, nie ma żadnych latających paskud. Może jeszcze nie wyewoluowały.

– O, znowu to słowo. Wiem, że tłumaczyłeś to naszym lekarzom. Mają niezły spór. – Siedziała przez chwilę w milczeniu. – Chcecie dobrze, ale samo to, że istniejecie... nawet przypadkowe rozmowy z wami przekazują myśli i idee, na które być może nie jesteśmy jeszcze gotowi.

Wstała.

– Może nasze dzieci będą lepiej przygotowane. Dziękuję, Żok za te wszystkie informacje. I za wszystko, co zrobiliście. Przekażę to Radzie. Jak będziemy chcieli jeszcze porozmawiać, użyjemy tego *komunikatora*.

Odprawiała mnie. No cóż, mogło być gorzej. Przynajmniej nie strzelali do nas bez ostrzeżenia. Pożegnaliśmy się standardowym pawoniskim kiwnięciem głowy i zszedłem po schodkach.

Dron transportowy opadł na ziemię tuż przede mną. Zauważyłem, że żołnierze wzmogli czujność. I słusznie. Dla cywilizacji, w której szczytem techniki jest silnik parowy, unoszące się samodzielnie statki kosmiczne wykraczają poza zakres pojmowania czy nawet opisu. Co do zasady rozumieli tę rzeczywistość, ale jeszcze sobie jej nie zinternalizowali w swoich włochatych głowach.

Wszedłem do ładowni i odwróciłem się twarzą do żołnierzy. Gdy wrota zaczęły się zamykać, zasalutowałem im po wolkańsku.

49. Obserwacja

Riker, listopad 2248, Układ Słoneczny

Ping obwieścił przybycie maila. Okręciłem się w fotelu i otworzyłem go w holo.

Mario. To może być ciekawe.

Odkąd zaczął realizować zaproponowany przeze mnie plan badania macierzystego układu Innych, minęło osiem lat. Zwłoka była oczywiście nieunikniona. Drony nie mogły tak sobie przelecieć przez układ niezauważone. A ich zrzucanie z obłoku Oorta było powolne.

Mario dobrze ich tam obstawił kamerami. Mam nadzieję, że nie aż tak, żeby zapaliły im się czerwone lampki.

Przekartkowałem dokumenty, zerkając w nagłówki, potem przeczytałem co ciekawsze pozycje. Kiedy skończyłem, wysłałem do Maria zaproszenie na chat wideo. Wyskoczył mi od razu.

– Hej, Will. I jak, przejrzałeś?

– No, wygląda na to, że pod koniec nabrali podejrzeń.

Parsknąłem śmiechem.

– Aha, zaczęli strzelać do każdego wykrytego śmiecia. W tym masy normalnych kosmicznych kamieni. Ja nie mam z tym problemu.

– Ale to, co się udało zobaczyć...

– Tak. Budowa sfery idzie dalej. – Mario zastanawiał się przez chwilę. – Ciekawszy był niemal całkowity brak asteroid śmierci i transportowców.

– Też na to zwróciłem uwagę. Wszystkie jednostki, jakie widzieliśmy, to mniej więcej tyle, co ekspedycja na Deltę Pavonis.

– Więc albo oni tylko tyle tego w sumie mają... – Mario zmarszczył czoło – ...albo cała reszta jest gdzie indziej.

Kiwnąłem głową.

– A ty masz na oku wszystkie układy w okolicy.

– Tak. Nic tu się nigdzie nie rabuje.

Usiadłem prosto i wpatrzyłem się w przestrzeń.

– Dzięki, Mario. Dla mnie chyba wszystko jasne. Muszę jeszcze raz sprawdzić moją macierz wykrywaczy.

Kiwnął głową i się rozłączył.

Tak. Bez dwóch zdań. Jakiś potwór tu nadchodzi i tak dalej. Bradbury przy tym to nic.

50. Odyseja kosmiczna

Bob, kwiecień 2225, Delta Eridani

Marvin śmiał się tak bardzo, że groziło mu zsunięcie się z fotela, aż Kolczatka zeskoczyła z niego i schowała się pod bocznym stolikiem. Ja czekałem cierpliwie na koniec.

– Świetne. – Otarł łzy z oczu. – Szkoda tylko, że Deltanie nigdy nie zrozumieją tego nawiązania.

– Jak się spotkamy, możemy im to wyjaśnić. Nawet film pokazać.

– Czyli to jest silna anomalia magnetyczna na ich największym księżycu?

– No. – Uśmiechnąłem się od ucha do ucha. – I czarny monolit pośrodku. O wymiarach jeden na cztery na dziewięć. Tylko ten będzie miał na sobie napisy. Albo „w sobie”.

– Jesteś straszny.

– Myślałem, czyby jakoś nie zagrał też uwertury do *2001*, ale bez powietrza ciężko trochę...

Marvin znów się roześmiał i pokręcił głową.

Spacerowałem po Camelocie, delektując się zapachami i odgłosami ludzi przy pracy, przy zabawie, przygotowujących posiłki albo po prostu odpoczywających.

Na końcu wspólnego obszaru siedział Archimedes z trzema uczniami. Coś mówił i powoli obracał trzymaną w górze bułę krzemienia.

Mieszkańcy Caerleonu z początku byli podejrzliwi, ale worek najlepszych archimedesowych grotów uciszył wszystkich z wyjątkiem najbardziej paranoicznych.

Zaraz potem dwunastu gotowych do szkolenia Deltan stanęło Archimedesowi pod drzwiami.

Dwa miesiące później grupka skurczyła się do tych trzech, najbystrzejszych – albo najbardziej zdeterminowanych. Archimedes wyznał mi po cichu, że nie są

całkiem do dupy.

Skoro stosunki się poprawiły, Caerleon i Camelot znalazły okazję do pohandlowania. Na przykład wokół Caerleonu obficie rosły te gigantyczne ziemniakopodobne bulwy, które Deltanie tak lubili. Drobne przedmioty, naprostowane drzewca do włóczni i strzał, nawet praca przy czymś takim jak budowa namiotów, zapewniały stały wzrost wymiany. Całkiem nieźle.

Archimedes przerwał wykład, bo dostał ataku kaszlu. Martwiły mnie te objawy. Kaszel zaczął się po pobiciu w trakcie próby porwania. Nie pogarszał się, ale też specjalnie nie poprawiał.

Postanowiłem, że jeśli będzie możliwość, zrobię mu skan SUDDAR-em.

Wreszcie grupka się pożegnała, trzech Caerleńczyków ruszyło do domu na noc. Podeszedłem do przeciągającego się ostrożnie Archimedes.

– Dalej cię boli z tej strony? – zapytałem.

– To chyba już nie przejdzie, wiesz. Zrosło się jakoś źle, czy coś. – Skrzywił się i próbował rozmasować mięśnie wokół zdrętwiałego miejsca.

Znów poczułem falę bezradnej złości, że byłem nieprzygotowany na ich ruch i nie mogłem zrobić więcej.

Poszliśmy na płaskowyż złapać trochę popołudniowego słońca. W drodze na górę przypomniała mi się pewna chwila sprzed pięćdziesięciu siedmiu lat, gdy pokonywałem tę drogę jako latający dron wielkości piłki do nogi, obok dużo młodszego Archimedes. Teraz wyglądał zupełnie jak wtedy Mojżesz. Podejrzywałem, że to jest to samo, co czują ludzie, gdy uświadamiają sobie, że ich rodziców już niedługo nie będzie.

Zajął swoje ulubione miejsce, ja opadłem obok niego. Omiatając wzrokiem panoramę, zauważyłem, że nie tak wiele się zmieniło. Deltanie nie dotarli jeszcze do fazy, gdy zaczynają umyślnie wycinać las.

Może i dobrze, że nigdy nie zacząłem ich uczyć udomawiania zwierząt. Naprawdę nie ma pośpiechu.

51. Zgromadzenie Bill, czerwiec 2230, Epsilon Eridani

Odczekałem, aż ucichną gwizdy i okrzyki. Patrzyła na mnie ponad setka Bobów, a to byli dalece nie wszyscy. Wysilek wojenny produkował teraz kilkudziesięciu nowych Bobów rocznie, w kilku układach.

Herschel i Neil czaili się na samym przedzie, szepcząc do siebie i przygotowując notatki. Jak zawsze, mieli przedstawić status *Bellerofonta*. Byli nierozłączni niczym Calvin i Goku, tylko mniej się kłócili. Kiedy byłem mały, bardzo chciałem mieć brata. Ciekawe, czy inni Bobowie z tych samych miotów właśnie z tego powodu trzymają się razem.

– No dobra, wszyscy? Mamy wieści od Olivera, Willa, ode mnie i Dextera w kwestii produkcji Bobów. Ja przedstawię podsumowanie. Herschel i Neil omówią status swojej wspaniałej przygody. Garfield – rozwój uzbrojenia oraz generatora Casimira. Potem wolne wnioski.

Parę szcęknięć i brzęknięć, gdy Bobowie popijali kawę i piwo, ale wszyscy od razu stali się poważni.

Przeszedłem przez raporty, prognozy i wykresy dotyczące produkcji replikantów.

– W skrócie, panowie, spodziewamy się mieć do obrony Ziemi około pięciuset statków klasy pancernik. Połowa będzie obsadzona przez MSI z bombami wodorowymi. Zdecydowaliśmy, że w Epsilonie Eridani nie będziemy budować obrony. Jeśli się tam pojawia, ja po prostu wysadzam wszystko i uciekam. À propos, Mario?

Mario zrobił krok naprzód.

– Odbudowaliśmy system monitoringu i obserwacji wokół GL 877. Ekspedycja Innych z Deltą Pavonis wróciła do domu, poza tym nie widać żadnej aktywności. Nie znamy ich zwyczajów na tyle, żeby wiedzieć, czy to coś nietypowego. Szybka sekwencja wypadów do GL 54, NN 4285 i Deltą Pavonis mogła być wyjątkowa. Albo mają dość surowców, żeby mieć zajęcie na dłużej.

Kątem oka dostrzegłem, że Neil marszczy czoło i kręci głową. Postanowiłem, że dopytam go później.

Pytania dotyczące budowy sprzętu wojskowego szybko się zakończyły. Następni byli Herschel i Neil.

Herschel zaczął się jąkać i czerwienić, na szczęście szybko to opanował.

– Tak naprawdę nie mamy nic nowego, trochę spostrzeżeń z eksploracji. Wciąż badamy wnętrze *Bellerofonta*, na parę pytań znaleźliśmy odpowiedzi, ale cały czas pojawiają się nowe pytania. Wygląda na to, że ten statek miał być wielozadaniowy. Transport surowców to tylko jedno z zastosowań, bo ładownie dają się rekonfigurować... – Herschel pokręcił głową, przekazując dezorientację, która była z ich pisemnych raportów.

Blog *Bellerofonta* zaliczał się do najpopularniejszych na BobNecie, więc to było bardziej podsumowanie niż cokolwiek. Padły jedno czy dwa pytania pro forma, potem ci dwaj wycofali się z minami pełnymi ulgi.

Wystąpił Garfield.

– Militaryzację prowadzimy na dwóch frontach – ulepszanie istniejącego uzbrojenia i tworzenie nowego. To drugie nie jest za bardzo owocne. Udało się nam zbudować wielkie i ciężkie lasery, trochę skuteczniejsze przeciwko dużym statkom niż plazmowe igły, ale podobnie jak one mają wadę – brak śledzenia wroga. Kiedy opóźnienie światła jest liczącym się czynnikiem, jeśli wróg zmieni kierunek po twoim strzale, po prostu go zmarnowałeś.

Popatrzył po publiczności.

– Najlepszą taktyką pozostaje inteligentne uzbrojenie, zwłaszcza takie, które robi „bum”. Pracujemy nad uodpornieniem dronów transportowych na impulsy EMP, oraz nad większymi i lepszymi bombami.

Spojrzał na mnie, a ja dodałem:

– Ale i tak wygląda na to, że najlepsza strategia jest w liczbach. Dużo Bobów i dużo bomb.

Po chwili wystąpił Will i powiedział:

– Nasz problem to trzy fronty: jeden – obrona Słońca; dwa – powstrzymanie wszystkich innych ekspedycji oraz trzy – jakieś ostateczne rozwiązanie. Jeśli zaatakują Słońce, zanim będziemy gotowi do obrony, reszta nie ma już żadnego znaczenia. Ale wyłącznie w obronie też nie możemy grać.

Przerwał na chwilę i omiótł słuchaczy spojrzeniem.

– To znaczy, że dzielimy wysiłki i nasz atak na GL 877 wydarzy się później, niżbyśmy chcieli. Ale obrona Ziemi jest ważniejsza. A im dłużej czekają z tą ekspedycją, tym bardziej będziemy przygotowani.

– Zakładając, że jeszcze nie wyruszyli.

Na Zgromadzeniu zapadła martwa cisza. Wszyscy popatrzyli na Neila. Miał marsową minę. A Herschel był czerwony jak pomidor.

– Wyjaśnij, proszę – powiedziałem.

Neil przez chwilę patrzył w podłogę.

– Pamiętacie, jak Inni zaczęli czyścić przestrzeń wokół swojego układu, a potem przestali? Cemu przestali? Może osiągnęli to, co chcieli – wypuścili coś, kiedy nie widzieliśmy. A my zrobiliśmy rzecz przewidywalną – umieściliśmy ocalałe drony po stronie od Ziemi.

Z Garfieldem spojrzeliśmy po sobie z konsternacją.

– Jeśli to, co mówisz, jest prawdą – odezwał się w końcu Garfield – to oni lecą okrężną drogą, a nie bezpośrednio w kierunku Ziemi.

– A kosmos jest duży. Nigdy ich nie wykryjemy, chyba że przypadkiem – dodałem.

Will spojrzał na mnie.

– Trzeba zrobić jakiś model i przeliczyć.

– No tak. Kosmos jest duży. Większy, niż myślałem. – Patrzyłem z niezadowoleniem w arkusz kalkulacyjny.

– Hmm. Sfera o promieniu dwunastu lat świetlnych. Tyle trzeba monitorować. – Garfield potarł czoło ze znużeniem. – Prawie osiem tysięcy dronów.

– To spowolni budowę kapsuł hibernacyjnych – powiedziałem.

– I bomb, i nowych Bobów, i statków-kolonii, i wszystkich innych rzeczy, których ciągle potrzebujemy do utrzymania. – Will uniósł wzrok do sufitu i zmełł przekleństwo. – I końca nie widać.

– Ale nie mamy wyboru. Jeśli Inni nadlecą bez ostrzeżenia, to nie żyjemy. – Zastanowiłem się przez chwilę. Tylko, że nie musimy wyprodukować wszystkich dronów od razu. Najpierw wystarczy pokryć bezpośrednią trasę od GL 877, a potem coraz większy margines dookoła.

Will wstał ze stęknieniem.

– Dokładnie. Zagadam z Oliverem, zobaczymy, czy coś może pomóc. Mamy kilkadziesiąt lat, zanim Inni będą w stanie tu dotrzeć. A dostawy z Alfy Centauri przyjdą o wiele szybciej.

– Dobry pomysł. – Spojrzałem po pozostałych Bobach. – Zdaje się, że jak zwykle będziemy żyć w ciekawych czasach. Jej!

– Ha!

52. Czekanie

Riker, luty 2252, Układ Słoneczny

– No to by było tyle, Will. Oni już są całkowicie zależni od nas.

Odwróciłem się, by popatrzeć na osuniętego w fotelu Charlesa. To oczywiście psychologiczne zmęczenie. Awatary VR się nie męczą, chyba że zechcemy. Ale jeśli kiedykolwiek był moment, by się poddać, choćby tylko na chwilę, to właśnie teraz.

Właśnie przyszedł raport i siedział w moim holo. Ostatnia operacja rozpoczęcia uprawy na wielką skalę zakończyła się klęską. Niemal całkowita strata roślin, nie zachowało się choćby tyle, by mieć nasiona na kolejny rok, nawet jeśli nic nie pójdzie na konsumpcję.

– Dokładnie – westchnąłem. – To jak, nasze kurczące się zasoby metalu mają pójść na kolejne farmy orbitalne, żeby ich wyżywić?

– Czy na kolejne statki-kolonie, żeby ich wywieźć z planety? – Charles znał już ten scenariusz i gładko powtórzył swoją część mantry.

– Czy na kapsuły hibernacyjne, żeby położyć trochę ludzi i złagodzić presję na zasoby? – Beznamiętnie dokończyłem litanie.

To nie było nic nowego. Postęp geometryczny świetnie wygląda na papierze, ale zakłada, że ma się nieskończone zasoby i żadnej presji zewnętrznej. Rzeczywistość jest mniej łagodna.

– I co teraz, Will?

– No, dobra wiadomość, jeśli można to tak nazwać, jest taka: można zacząć przenosić enklawy pod ziemię, skoro nie mają już nic do uprawiania.

– Juhu...

– Spotkanie będzie przemile. Chcecie dołączyć?

Charles pokręcił głową.

– Nawet gdybym się założył, to nie. Ale powiedz potem, jak poszło. – I z tymi słowami zniknął.

Skrzywiłem się. Juhu. Zaiste.

Posiedzenie ONZ było spokojne, nawet jak na ostatnie standardy. Wszyscy obecni rozumieli, że zdarzenie, choć samo w sobie niewielkie, jest punktem zwrotnym dla ludzkości.

Głos miała właśnie minister Sabrina Scott. Chwilę patrzyła w kamerę.

– Pan Riker przedstawił swoje prognozy dla każdej z opcji. Żadna nie jest atrakcyjna. Wszystkie są ryzykowne. Na kilku następnych sesjach trzeba będzie podjąć szereg trudnych decyzji, a nie możemy już sobie pozwolić na długotrwałą debatę. Dlatego na końcu każdej sesji poproszę o niewiążące głosowanie. Za każdym razem, gdy któraś z opcji zyska ponad pięćdziesiąt procent, wniosę o wiążące głosowanie.

Zwolniła mównicę i zauważyłem, że minęło kilka sekund, zanim ktokolwiek inny poprosił o głos. W dawnych czasach wszyscy od razu by się rzucili.

Nie pierwszy raz, szczególnie ostatnio. Wyglądało mi to na zwątpienie. Trzeba będzie coś z tym zrobić. Ostatnia rzecz, której potrzebują, to wyzbyć się resztek nadziei.

My mieliśmy w zanadrzu jeszcze *Bellerofonta*. Oni mieli dość surowca, żeby zbudować kapsuły dla wszystkich ludzi na planecie, kiedy tylko przybędą i będziemy mogli przekierować do tego zadania nasze potężne zdolności produkcyjne.

Pytanie oczywiście brzmiało: czy zdążymy to zrobić, zanim pojawią się Inni? Zakładając, że się pojawią. A jeśli pojawią się za późno, to czy zadowolą się po prostu usmażeniem planety i sobie polecą? Czy zaczną nas ścigać?

To był już utarty tok myślenia i nie mogłem sobie pozwolić na toczenie się tą koleiną.

Robota czeka.

53. Obrona

Bill, sierpień 2230, Gamma Pavonis

Claude spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

– Bill, daj spokój. Naprawdę myślisz, że my stąd tak po prostu odleciemy?

Westchnąłem i potarłem oczy palcem wskazującym i kciukiem. VR-ka czy nie, działało dobrze.

Odwiedzałem Claude’a w jego wirtualce, przedstawiającej teraz scenerię plażową, w komplecie z mewami, piaskiem i leżakami. Poziom szczegółowości był imponujący. Bryza była chłodna i miała słony posmak, piasek grzał mnie w bose stopy. Całościowy efekt był bardzo przyjemny. Wysiłkiem woli skupiłem się na konkretach.

– Claude, ja nie próbuję ci rozkazywać. Nie mam żadnej władzy. Ale byłeś na Zgromadzeniu. Neil prawdopodobnie ma rację i Inni lecą już na Ziemię. Potrzebujemy.

– Tych „prawdopodobnie” jest po drodze bardzo dużo.

– Ale jeśli się ziszczą, skutek jest bardzo negatywny. – Claude zaczął działać mi na nerwy i mówiąc to, łypnąłem na niego spod łba.

Musiało do niego dotrzeć, bo uniósł ręce w obronnym geście. – Ej, stary, nie obrażaj się, ale tutaj skutki też będą bardzo negatywne. Gamma Pavonis 3 to idealny cel kolonizacyjny dla ludzi, zapewne też wysoko na liście celów dla Innych. To nie jest takie oczywiste.

– Wiem, Claude, to będzie spora porażka, jeśli Inni wyekspluatują ten układ. Ale chyba nie patrzysz do końca racjonalnie. Gamma Pavonis to kandydat do kolonizacji i na razie tyle. Nikogo tam nie ma, to znaczy... poza tobą i innymi Bobami. Jeśli wjadą Inni, nikt nie zginie – żadnych ludzi, żadnych pozaziemskich inteligencji. Jeśli natomiast wjadą na Ziemię...

– Ja wiem, Bill, ja wiem. Ale zakładając, że Neil ma rację, dolecimy tam w samą porę, żeby wejść do walki, ale nie będziemy mieć czasu na żadne przygotowania.

Uniosłem głowę i odetchnąłem głęboko. Znowu najwyraźniej kręciliśmy się w kółko. Po klęsce w Delcie Pavonis Claude razem z kilkunastoma ocalałymi

Bobami wrócił do Gammy Pavonis i przysiągł bronić jej za wszelką cenę. Był to szlachetny cel, ale w moim mniemaniu trochę chybiony. Stąd to spotkanie, które na razie szło kiepsko.

Wróciłem wzrokiem do Claude'a i wbilem w niego najbardziej zawzięte spojrzenie.

– To samo, jeśli zostaniecie tutaj. Jeśli przylecą jutro, zastaną was z niczym.

– Nie tak do końca. Przygotowujemy się, odkąd przylecieliśmy z Deltę. Jeżeli grupa Innych, która złupiła Deltę, wyładuje surowiec w GL 877, a potem od razu się zbierze i przyleci tutaj, i tak nie dotrą wcześniej niż za kolejne dziesięć lat. A my tu stajemy na rzesach i wykorzystujemy na maksa postęp geometryczny, żeby zbudować odpowiednią obronę.

– I po co? Nie ma, kurna, szans, żeby Will wysłał do was statek-kolonie, kiedy zagrożenie Innymi wisi wam tuż nad głową.

– O właśnie. I wracamy do planu, żeby atakować Innych u nich w układzie. Bez zbędnych subtelności: nie wygląda na to, żebyście zbytnio posuwali się z tym planem. O tym też rozmawialiśmy na Zgromadzeniu.

Teraz to Claude patrzył na mnie spode łba. Wszystko to już przerabialiśmy, nie raz. I do tych samych wniosków dotrzemy na koniec.

– Nie możemy się rozdzielać, Claude. Nie jesteśmy pewni, czy jesteśmy przygotowani na przylot Innych, i to bez wysyłania niczego do was. A jeśli zdążycie w porę przylecieć na Ziemię...

– Ale tam potrzeba czegoś więcej niż przewagi liczebnej. To jest lekcja z Deltę Pavonis. Milion dziurek po niszczycielach w asteroidach śmierci i transportowcach nic im nie robi. Trzeba atomówek, trzeba...

– ...dokładnie tych rzeczy, które produkujecie do obrony tej planety. Claude, my już to przerabialiśmy. Kurde, ja złapałem się na tym, że zaczynam te argumenty recytować jak wierszyk. Znam je na pamięć! Rozdzielamy nasze zasoby, broniąc drugiego przyczółka. Oczywiście oczywiście.

Przez parę milisekund mierzyliśmy się spojrzeniami, jasne było jednak, że nic się nie zmieniło i nikt nie ustąpi. Pat. Znowu.

Kiwnąłem głową i wstałem.

– Dobra, jeśli coś się zmieni...

– ...to oczywiście wrócimy do tematu. – Claude wzruszył ramionami.

To było maksymalne ustępstwo, jakie uda mi się z niego wycisnąć. Uniosłem dłoń w salucie i zniknąłem.

Tak naprawdę nie spodziewałem się, że go tym razem przekonam, ale porażka i tak zabolą. Nie było jednak czasu na chowanie urazy. Następny planowy przystanek miałem w Delcie Pavonis. Wciąż mieliśmy w tym układzie sporo sprzętu, pod postacią dronów. O ile mi wiadomo, wszyscy Bobowie już odlecieli, ale trzeba było mieć układ na oku.

Przejąłem drona parkującego na orbicie wokół Czwórki i wycelowałem optykę w planetę pod nim. Nie byłem pewien, czy robię to w ramach niezbędnego monitoringu, czy jakiejś formy pokuty. W każdym razie żółądek skręcał mi się w supły za każdym razem, gdy na nią patrzyłem. Odkąd Inni obrali planetę do czysta, minęło trzynaście lat i powoli zaczynały być widoczne oczyszczające skutki zjawisk pogodowych. Nie była już taka szara, zwłaszcza biegunowe czapy lodowe z powrotem stały się śnieżnobiałe. Także oceany z szarych zrobiły się bardziej niebieskie.

Niestety ład wciąż był szarobrazowy i to nie chciało się zmienić. Jacques, równie uparty jak jego współklon Claude, odmówił podzielenia się próbkami, które zebrał. Wyjaśnił, całkiem rozsądnie, że próbki biologiczne są przeznaczone dla Pawonisów na HIP 84051-2 i że nie będzie ryzykował, że czegoś mu w zasobach zabraknie. Obiecał natomiast, że kiedy coś się przyjmie na nowej planecie, zbierze dla mnie nowe próbki.

Nie było to do końca nierozsądne. Prychnąłem w rozbawieniu na tę myśl. Jacques może nie był nierozsądny, ale jego niecierpliwość w dyskusjach była niesłychanie drażniąca. Ewidentnie kolejny przykład zmienności w procesie klonowania Bobów.

Zresztą nieważne. I tak będę chciał się zająć odbudową pawoniskich ekosystemów. Może to sobie potrwać pięćdziesiąt albo i sto lat – świetnie będzie po prostu któregoś dnia zwrócić Pawonisom ich macierzysty świat. Problem braku metali też da się rozwiązać.

W jednej kwestii Claude miał jednak rację – nic z tego nie ma sensu, póki jest zagrożenie ze strony Innych.

54. Impreza Riker, marzec 2257, Romulus

Zapukałem do drzwi, wciąż nieprzekonany, czy chcę tutaj być. No, zawsze z przyjemnością widywałem się z rodziną, ale Justin...

Drzwi otworzyły się, pojawiła się w nich jedna z prawnuczek Justina. Beatrice – przypominałem sobie. Przedstawili mi ją na jednej z rozmów wideo parę lat temu.

– Wujek Will! Proszę. Dziadek jest w salonie. – Zamknęła za mną drzwi, pokazała, gdzie mam przejść, i zniknęła, żeby zająć się kimś innym.

Rozejrzałem się po domu – po tym, co mogłem zobaczyć z holu. Musiało tu być z pięćdziesiąt osób, od siwowłosych starców po dzieci ledwo stojące na nogach. Okazja, czyli siedemdziesiąte piąte urodziny Justina, była pretekstem do zebrania całego klanu, a w każdym razie tych, co mogli przyjść.

Był to zorganizowany chaos, w którym... nie, wróc, nie było w tym niczego zorganizowanego. Chaos ograniczał się do wspólnych pomieszczeń. Dzieci nie miały wstępu do kuchni, bo tam kobiety pracowały nad jedzeniem. To zabawne, dwieście lat po śmierci Pierwszego Boba w kuchni dalej rządziły kobiety. Prawdopodobnie dlatego, przyznałem sam sobie, że mężczyźni po prostu stworzyliby paczki chipsów i słoiczki z dipami.

Zresztą, co złego jest w chipsach i dipach?

Przyjrzałem się daniom na stole w jadalni, już atakowanym przez głodnych krewnych. Obfitość i różnorodność były powalające – obiecałem sobie, że spróbuję przynajmniej paru, choćby po to, żeby skatalogować smak do odtworzenia w VR-ce.

Szwendałem się wokół przez parę minut, witając się z ludźmi i zamieniając słowo czy dwa. Tego typu scenariusze nigdy nie były mocną stroną Pierwszego Boba. Pogawędki towarzyskie na cocktail party zawsze wydawały się mu płytkie i bez znaczenia.

Ale to było co innego. Tutaj każda osoba, co do jednej, miała trochę mojego DNA, albo była żoną lub mężem osoby, która je miała. Każda przydawała sensu mojemu życiu oraz życiu moich sióstr i rodziców.

Rozejrzałem się i dotarło do mnie, że gram na zwłokę. To naprawdę nie powinno być aż takie trudne. Czas płynie. Dorastają, mają dzieci, starzeją się. Umierają. Wciąż przeżywałem śmierć Julii. A teraz odwiedzałem Justina w siedemdziesiąte piąte urodziny. A pamiętałem chwilę, gdy go pierwszy raz zobaczyłem – wyraźnie, jakby to było wczoraj – miał dwa lata i siedział na kolanach mamy przed kamerą. Kosmiczny Kadet Justin, śmiejący się radośnie na widok pięknych zdjęć.

Wziąłem głęboki wdech i wszedłem do salonu. Justin był otoczony rodziną, gawędził z nimi, a wszyscy dbali, by było mu wygodnie i niczego nie brakowało.

Kiedy się pojawiłem, odwrócił się i się uśmiechnął. Uniósł dłoń na powitanie, a ja odpowiedziałem uśmiechem. Ktoś z jego świty zwolnił krzesło, żebym mógł siąść obok niego.

– Cześć, Kosmiczny Kadecie. Jak leci?

Justin wyszczerzył zęby.

– Dla ciebie to Kosmiczny Admirał, smarkaczu.

– Dla ciebie, admirale, to wujku-smarkaczu.

I obaj się zaśmialiśmy. Przyjrzałem się jego twarzy. Wciąż widziałem w nim Julię, co oczywiście znaczyło, że widziałem i Andreę. Poczułem, że do oczu napływają mi łzy, i zdusiłem to uczucie. Zamiast tego wziąłem go za rękę.

– Może i dobrze, że przeszedłeś w stan spoczynku. Z admirała i tak już byś nie awansował. – Zawahałem się. – Justin, dawno temu rozmawialiśmy o replikacji.

– W dniu, kiedy zmarła moja matka. Pamiętam. Nic się nie zmieniło. Wy cały czas ciężko harujecie, a teraz macie jeszcze na głowie jakichś złowrogich obcych. Takie życie pozagrobowe mnie nie ciągnie. – Przekrzywił głowę i popatrzył na mnie z lekkim uśmiechem. – Wiesz, co myślę o religii. Ale myślę się, czy nie, umrę w spokoju. A Zakład Pascala ma dwa końce, prawda?

Kiwnąłem głową z uśmiechem.

– Tak. Jeśli się myliłeś, nie będziesz miał okazji żałować tego.

Justin przez chwilę milczał, rozglądając się po pokoju.

– Wiesz co, wujku-smarkaczu? Co młodszy ludzie pewnie w ogóle cię nie kojarzą. Przez lata coraz rzadziej do nas wpadałeś. To celowe czy przez tych *Innych*?

I proszę. Dokładnie to, czego chciałem uniknąć. Ale nie wypadało mi się wykręcać, nie przed Justinem.

– Jedno i drugie po trochu. Ciężko przeżyłem śmierć twojej matki. Ludzie umierają. A ja pamiętam każdego z nich, co do jednego, jakby to było dzisiaj. Z czasem robi się z tego coraz więcej przykrych wspomnień. Wydaje mi się, że zacznę myśleć o mojej rodzinie bardziej jako o grupie niż o poszczególnych

osobach. – Uśmiechnąłem się smutno do niego, żeby złagodzić przekaz. – Trochę się przez to dystansuję, nawet nie trochę, ale w sumie to chyba lepiej.

– Czyli ja jestem ostatnią osobą z naszego klanu, z którą utrzymujesz kontakt?

– Tak. Pierwszy Bob nazywał to „przejściem do legendy”.

– No to cieszę się, że miałem okazję cię poznać, wujku. I miło wiedzieć, że ktoś będzie mnie wspominał.

Prychnąłem.

– Tylko się rozejrzyj. Myślę, że to nie będzie problemem.

Pogadaliśmy jeszcze przez parę chwil, potem wymówiłem się i zwolniłem fotel. Ktoś natychmiast w nim usiadł, na swoje pięć minut z patriarchą rodu.

Uniosłem dłoń i pomachałem na pożegnanie, a Justin uśmiechnął się do mnie i odwrócił się, żeby odpowiedzieć na kolejne pytanie.

Rodzina.

55. Na peryferiach

Bill, grudzień 2243, Epsilon Eridani

Spojrzałem z góry na Ragnaröka i widziałem, że to było dobre. Zaśmiałem się sam do siebie: dobrze, że nie powiedziałem tego na głos. Garfield nigdy już nie dałby mi spokoju.

Jednak trudno było nie poczuć się choć odrobinę bogiem. Morza wreszcie łączyły się, tworząc oceany. Tlenu w atmosferze przybywało, a ubywało toksycznych gazów. Moja mieszanka mchu i porostów przyjęła się i szybko zmieniała kolor widoku z orbity ze skalistoszaro-brązowego w przygaszoną zielen. Zasadziłem też trochę traw i drzew iglastych, a one nie złapały się od razu za swe roślinne gardło i nie padły martwe. Czas pomyśleć o budowie jakiegoś łańcucha pokarmowego, od planktonu w oceanie w górę.

Pingnąłem Garfielda i wskoczyłem do niego.

– Cześć, Gar. Jakiś czas już nie składaliśmy wizyty na Ragnaröku. Masz ochotę?

Garfield pokręcił głową.

– Przepraszam, Bill, ale Rocky IV nie jest jeszcze gotowy. Zmniejszyłem rozpiętość skrzydeł, ale mięśnie dalej są za słabe. Reguluję to.

Wzruszyłem ramionami, choć byłem rozczarowany. Nasze wyścigi po krajobrazach Ragnaröka, łoś kontra dziwny nietoperzowy stwór podobny do Rodana, stanowiły jeden z jaśniejszych punktów mojego stresującego życia. Przygotowania do ewentualnego przylotu Innych były tak ekscytujące i urozmaicone jak najgorsza biurowa praca.

– A jak idzie centrum kopii zapasowych? – zapytał Garfield.

Rozsiadłem się w fotelu i zarządziłem kawę.

– Prawie gotowe. Daleko za Oortem, poza kursami do wszystkich pobliskich układów i zakamuflowane; powinno być prawie niemożliwe do wykrycia, chyba że przypadkiem.

– A jak z pojemnością? Nadążasz?

– Tak, to jest trochę problem. – Wyszczrzyłem zęby. – Teraz tak szybko trzaskamy nowych Bobów... Ilu ich już narobiliśmy? Pięciuset?

Garfield uśmiechnął się ze smutkiem.

– No, dziwne, że chce nam się ruszyć dupę dopiero, jak jest zagrożenie.

– Wcale nie dziwne – prychnąłem. – Pierwszy Bob miał tak samo.

Stęknął.

– À propos, ostatnia partia dronów, które Oliver wysłał do Układu Słonecznego, zapewni pełne pokrycie. Jak tylko dotrą i Will je rozstawi. Będziemy wiedzieli z kilkutygodniowym wyprzedzeniem, że konwój Obcych idzie na Ziemię.

– Lepsze to niż nic. – Wstałem. – Dobra, Gar, daj mi znać, jak Rocky będzie gotowy. Strasznie potrzebuję jakiejś rozrywki. – I nie czekając na odpowiedź, zniknąłem.

Wziąłem głęboki wdech, przez nos. Ragnarök miał swój zdecydowany zapach, nie do końca ziemski, ale i nie całkiem obcy. Ruszyłem w przypadkowym kierunku, podziwiając trawę rosnącą między drzewami oraz owady, których bogactwo było chyba aż za wielkie. Zdaje się, że trzeba tu wprowadzić jakiś gatunek owadożerny albo dwa.

Dobrze się czułem w ciele człękokształtnego androida. Od czasu do czasu korzystałem jeszcze z Superktosia, ale przyznałem sam przed sobą, że ludzka forma jest o wiele bardziej komfortowa. A teraz, gdy Ragnarök nadawał się do życia, była też bardziej naturalna.

Nieźle już wyglądała ta planeta. Miarowe wprowadzanie kolejnych roślin i zwierząt ze skarbca na Spitsbergenie stopniowo zmieniało Ragnaröka w miejsce znajome i przyjazne dla człowieka.

Niestety, z wiszącym w powietrzu zagrożeniem ze strony Innych nie był to najlepszy cel dla kolonizacji. Jako jeden z dwóch układów, którym groził rabunek, nie mógł być wysoko na liście celów do przeprowadzki.

Jeśli zrealizują tę groźbę, może się okazać, że cała robota na nic. Zmarszczyłem czoło na tę myśl. Jeśli zagrożenia się ziszczą, straty będą o wiele większe – nie tylko Ragnarök.

Gdyby jednak udało się ich powstrzymać...

Może ludzkość wcale nie potrzebuje kolejnej planety? Może trzeba z niej zrobić rezerwat. Niech flora i fauna sobie ewoluują i rozmnażają się bez ludzkiego wpływu.

Brzmi dobrze. Uśmiechnąłem się i zawołałem drona transportowego, żeby mnie zabrał.

56. Miasto w chmurach

Howard, grudzień 2226, Odyn

Osiem płyt holowniczych powoli opuściło Rivendell w chmurobraz Odyna.

Marcus zużył wszystkie nazwy miast z marsjańskiego cyklu Burroughsa i wiele innych z całej fantastyki. Odwołanie do Władcy Pierścieni to trochę żenua, ale jaki wybór miałem?

Miasto, obojętne, jak je w końcu postanowimy nazwać, było parę razy większe od latających miast Marcusa. Jeśli kluczem jest pływalność i siła wyporu, to im większe, tym lepsze.

Rivendell mogło się także poszczycić prawdziwymi budynkami. Nie żeby były nam jakoś bardzo potrzebne, ale chcieliśmy w ramach projektu pilotowego zrobić coś takiego, więc Bridget zasugerowała, by udawać, że jesteśmy żywymi ludźmi. Zbudowaliśmy nawet kuchnie, urządzenia sanitarne i całą infrastrukturę.

Bridget stała z boku i patrzyła na monitor z rękoma zaciśniętymi w pięści, błagając miasto, by było grzeczne.

I nic dziwnego. To było Rivendell wersja 2. Pierwsza iteracja leżała gdzieś w dole w ciemnych głębinach, pewnie już stopiona na żużel. Znów zapomniałem dodać tę dwójkę.

– Głębokość docelowa – powiedziałem. – Gupik, oddal holowniki. Powoli.

Gupik kiwnął głową. Płyty się oddaliły, a Rivendell zakołysało się i zawisło w równowadze.

[Ciśnienie stabilne. Czujniki naprężeń w normie.]

– Dzięki, Gupik. Dalej już damy sobie radę.

Gupik kiwnął głową i zniknął.

– Zawsze mnie to zastanawiało, kiedy wspominałeś o Gupiku. – Bridget uśmiechnęła się do mnie, kręcąc głową. – Czasem mi się wydawało, że brakuje ci jakiejś klepki.

– Tak jest! – wrzasnąłem, unosząc pięść triumfalnie.

– O wiele bardziej, niż sobie wyobrażałam.

– Jak się cieszę, że jeszcze mi się udaje cię zaskoczyć – powiedziałem, cmokając ją w policzek. Machnąłem ręką i wyświetliły się panele sterowania

naszych androidów. – To jak?

Bridget wzięła mnie za rękę i się włączyliśmy...

Odwiesiłem się ze stojaka i spojrzałem na lewo, gdzie android Bridget robił to samo. Szybko rozejrzałem się wokół, nie widząc żadnych oczywistych problemów. Bridget chwilę przyzwyczajała się do kształtu androida – chodziła w kółko, rozwierała i zamykała dłonie. Potem spojrzała na mnie i uśmiechnęła się szeroko. Ja bez słowa odpowiedziałem tym samym i wskazałem brodą drzwi.

Wyszliśmy na trawiastą łąkę otoczoną z trzech stron niskimi budynkami. Przed nami, nad gruntem wznosiła się przejrzysta krzywizna kopuły miasta. Zaginała nam się nad głowami i otaczała całe Rivendell.

Bridget i ja bez słowa pobiegliśmy na krawędź kopuły. Położyliśmy dłonie na przezroczystym tworzywie i patrzyliśmy z zachwytem na Odyna. Przepływały niesione atmosferycznymi prądami ławice kryla. Za nim uganiały się mniejsze drapieżniki, a za nimi większe. Stadko balonowców unosiło się w oddali, obserwowane jak zawsze przez manty, liczące, że nieuważne młode oddzieli się od stada. W głębi atmosfery, warstwa za warstwą, dominowały inne ekosystemy, płynnie przechodzące z jednego w drugi.

Podziwialiśmy tę panoramę zahipnotyzowani, póki nie wyrwało nas z tego łupnięcie i lekki wstrząs. Rozejrzałem się zdziwiony. Mniej więcej w dwóch trzecich wysokości kopuły do naszego miasta przyczepił się balonowiec. Wyglądał na zdecydowanego, by się go trzymać i...

– Eee... on... tego... – Wskazałem ręką, nie znajdując słów.

– Zdecydowanie, tego-tego – odparła Bridget, chichocząc.

– Czyli... wygląda, że... hmm...

– Chyba nas lubi. – Bridget zgięła się wpół i roześmiała w głos, pełną piersią, obejmując się ramionami.

– Tego nie było w programie żadnych moich inżynierskich zajęć – powiedziałem.

Bridget padła na trawę.

Wysoko nad nami balonowiec nadal dowodził swojej miłości.

57. Wykrycie

Riker, kwiecień 2257, Układ Słoneczny

Osiemdziesiąt tysięcy dronów obserwacyjnych dawało masę fałszywych alarmów. Nawet z algorytmami filtrującymi, które opracowałem, musiałem codziennie sprawdzać kupę oflagowanych obiektów. W końcu fałszywe alarmy były tylko męczące. A przeoczenie prawdziwego alarmu – katastrofalne.

Mimo wszystko stało się to nudną rutynową robotą, do tego stopnia, że po dwudziestu siedmiu latach monitorowania omal nie przegapiłem pierwszego istotnego sygnału.

Podskoczyłem na siedzeniu, gdy dotarły do mnie szczegóły. Sygnał zbyt regularny na szum tła, zbyt stały na błąd czujników. Odczyty były ledwie wykrywalne, ale i tak krzyczały „niebezpieczeństwo”. Przeskoczyłem naprzód o parę godzin zapisów i w końcu pogodziłem się z faktem, że nie da się tego wyjaśnić w ten sposób.

Z ciężkim sercem posłałem wiadomość do Billa.

Prawdziwy alarm.

Bill wskoczył do mnie po paru chwilach.

– Musiałeś mi zepsuć dzień. No dobra, pokazuj.

Bez słowa wskazałem monitor. Bill usiadł, przyciągnął okienko, by mieć je przed nosem, i zaczął przepatrywać dane. Widziałem, jak porusza oczyma, a jego brwi coraz bardziej się ściągają.

W końcu odsunął okienko i usiadł z westchnieniem.

– To jest to. Mamy inwazję. Widzę, że kurs jest dość odległy od linii prostej stąd do GL 877. Spodziewali się, że będziemy obserwować.

Kiwnąłem głową.

– Albo przynajmniej tak założyli. Jeszcze za wcześnie na oszacowanie ich siły, ale pod koniec dnia pewnie już się da. Czekamy z ogłoszeniem tego?

– Chyba nie. – Bill potarł twarz dłońmi i spojrzał na mnie ze znużoną miną. – Zrobię Zgromadzenie. Trzeba ludziom dać czas na ogarnięcie się. Zaraz coś wyślę i obiecuję, że więcej informacji będzie... Kiedy? Za trzy godziny?

Kiwnąłem głową, Bill wstał.

– Dobra, ja zacznę. Niech te drony będą dobrze poza zasięgiem detekcji Innych. Po co mają wiedzieć, że ich widzieliśmy. I dawajcie info, jak tylko będzie. – Po tych słowach zniknął.

Jak się okazało, ze Zgromadzeniem nie zdążyliśmy. Odczyty wyostrzyły się do indywidualnych sygnałów w niecałą godzinę. Chyba wszyscy zapomnieliśmy, jak wielkie są statki Innych. Pięćdziesiąt mniejszych obiektów, zapewne asteroid śmierci, i sto większych, transportowców, zapewne wypełnionych takimi czy innymi jednostkami bojowymi.

Wysłałem wiadomość do Billa i natychmiast dostałem odpowiedź.

Już coś organizuję.

Dziesięć milisekund później Bill, Oliver, Jacques, Garfield, Thor i Claude wskoczyli mi do VR-ki. Zauważyłem skargę Gupika, gdy użycie pamięci przez wirtualkę skoczyło. Dla równowagi wyłączyłem Kolczatkę i Jeevesa.

– No to słabo – powiedział Bill, patrząc na ekran, który umieściłem na ścianie. – Wysłali chyba wszystko, co mieli.

– Oprócz tego, co miała ekspedycja na Deltę Pavonis, wróciła prawdopodobnie po starcie tych tutaj. – Jacques popatrzył na nas ze splecionymi ramionami. Nikt tu nie był fanem Innych, lecz Jacques wykształcił u siebie naprawdę organiczną nienawiść. I trudno było go winić. Ja podobne uczucie żywiłem do wspomnienia po SZLAG-u.

– Thor, masz analizę prawdopodobnego ładunku transportowców?

Thor kiwnął głową.

– Jasne, ale musicie pamiętać, że na Deltę Pavonis Inni wyposażyli się przeciwko potencjalnej obronie. Tutaj zakładają niemal pewną obronę, która jest w przestrzeni kosmicznej, było kilkadziesiąt lat na jej przygotowanie i która wie, co Inni mają w zanadrzu. Na pewno załadowali wszystko, co mogli.

– To znaczy wszystko, co mieli gotowe – stwierdził Claude. – Moment niszczenia dronów na GL 877 to limit czasu, jaki mieli na przygotowania.

– Jasne, ale mogli sobie po prostu wypchać te transportowce surowcami i produkować rzeczy po drodze – odparł Garfield. – Przecież zasobów im nie brakuje.

– Cholera. – Claude podrapał się po głowie. – To ile subiektywnego czasu mogli mieć na budowę siły zbrojnej?

– Hmm... – Bill zastanowił się. – Dwadzieścia osiem koma jeden lat świetlnych. Transportowce nie przyśpieszają więcej niż pięć g, a gdyby robiły

dużo mniej, jeszcze by tu nie dotarli. Najprawdopodobniej wybrali minimalizację czasu lotu zamiast maksymalizacji subiektywnego czasu podczas podróży. To daje niecałe dwa subiektywne lata. – Popatrzył po grupie. – Masa czasu, ale gdyby wypchali transportowce po brzegi, pewnie wydłużyliby lot. Thor, da się z tym coś zrobić?

Thor kiwnął głową, po czym jego awatar zamarł, gdy podkręcił sobie zegar, żeby przeliczyć modele.

Po chwili wrócił.

– Dalej niedobrze. Mogli narobić co najmniej dwadzieścia tysięcy myśliwców i latających bomb, albo i bliżej trzydziestu.

– O rany – powiedział Claude. – A my co mamy?

– Pięciuset Bobów, tysiąc pancerników z MSI, trzy tysiące atomówek i pięć tysięcy niszczycieli.

– Plus igły plazmowe i lasery, które niespecjalnie się przydadzą przy ograniczeniu prędkości światła.

– Ale zaraz – zauważył Garfield. – Limit prędkości światła działa przeciwko nim, a nam może pomagać.

Wszyscy odwrócili się ku niemu.

– Jeśli uda nam się podprowadzić blisko nich jakieś drony obserwacyjne – kontynuował – możemy śledzić ich pozycję w czasie rzeczywistym i strzelić laserami i igłami tak, żeby ich przechwycić.

– No dobra, ale co, jak zrobią ten swój megaping? Od razu te drony zobaczą i będą wiedzieli, co się kroi.

Garfield wzruszył ramionami.

– Jeśli zrobią megaping, to rozgłoszą swoją obecność. Mogą nie chcieć tego robić do ostatniej sekundy.

Potarłem oczy kciukiem i palcem wskazującym.

– Cholera, szkoda, że nie ma już z nami Butterwortha.

Bill wyszczerzył się do mnie.

– Tego zdania to chyba jeszcze od ciebie nie słyszałem.

– Bill, to nie tak, że ja go nie lubiłem. Po prostu zawsze mieliśmy odmienne zdanie. – Wzruszyłem ramionami. – Dobry był w wyczytywaniu, co siedzi w głowie tego drugiego. Świetny. A Pierwszy Bob nie za bardzo.

Wszyscy wokół stołu pokiwali głowami.

– No – powiedział Garfield – to też dlatego nigdy nam nie szło w szachy.

Chwilę zadumy przerwał Thor.

– OK, nieważne. Posłuchajcie, przecież da się policzyć, kiedy prawdopodobnie uznają, że jest dla nas za późno, żeby cokolwiek zrobić. Wtedy zrobią megaping. Po prostu musimy zadziałać chwilę wcześniej.

– Dobra, Thor, zajmiesz się tym? – Kiedy skinął głową, Bill popatrzył na nas.
– Postarajmy się rozstawić te zamaskowane drony. I salwę zamaskowanych atomówek. Wszystko, co rozwalimy wcześniej, będziemy mieć z głowy później. I wyślijmy Dżokerów. Niech zawczasu zajmą pozycję.

Dostałem wiadomość i aż podskoczyłem, a Bill spojrzał na mnie z uniesioną brwią.

– Wygląda na to, że Herschel i Neil dolecieli. – Uśmiechnąłem się szeroko do reszty. – Może chociaż nam się uda wywieźć stąd ludzi.

Bill kiwnął głową i omiótł obecnych spojrzeniem.

– Dobra, każdy wie, co ma robić. Zgromadzenie za dwie godziny, przygotujmy się. – I zniknął, a zaraz po nim reszta.

58. Przylot Herschel, kwiecień 2257, Układ Słoneczny

Aż podskakiwałem z ekscytacji. Za parę minut mieliśmy wyhamować na tyle, żeby móc się spać w VR z pozostałymi Bobami. Oczywiście jakąś tam łączność mieliśmy, ale email to taka sucha metoda komunikacji. Nikt go nie używa do niczego poza raportami i informacjami.

Wreszcie, ostatni ping zakończył się pomyślnie. Zagwizdaliśmy, uruchomiliśmy nasze VR-ki i wysłaliśmy prośbę o połączenie do Rikera.

[Połączenie odrzucone.]

– Co? – Zerknąłem na Neila. – Podpadliśmy jakoś?

Wzruszył ramionami równie zdziwiony.

– Mam nadzieję, że nie. Dobrze byłoby chociaż wiedzieć, za co.

[Odbiorca sygnalizuje brak wolnych miejsc.]

– Aha... – No tak, to miało więcej sensu. VR-ka statku miała ograniczenie liczby osób, które mogła przyjąć. Po prostu źle trafiliśmy. Rozparłem się w fotelu, zamówiłem kawę i spróbowałem się rozluźnić.

W końcu Riker zastukał do naszej VR-ki. Normalnie było raczej odwrotnie, ale dzisiaj nic nie było normalnie, więc nawet nie skomentowałem.

– Cześć, panowie. Cieszę się, że wreszcie dotarliście.

– Co się dzieje, Riker?

– Teraz jestem Will, Herschel. Próbuje się odciąć od tego całego Star Treka.

Skinąłem głową i machnąłem, żeby usiadł.

Will rozsiadł się, wziął kawę od Jeevesa i przez chwilę nic nie mówił.

– Panowie, pamiętacie, jak Inni zaczęli nam wysadzać drony obserwacyjne wokół GL 877, a potem nagle przestali? A Neil... – pochylił głowę w uznaniu dla niego – zauważył, że mogli coś zrobić, kiedy przez chwilę nic nie widzieliśmy?

Kiwnęliśmy w milczeniu głowami. Will mocno się streszczał. Ewidentnie nie przyszedł po prostu pogadać. Coś się kroilo.

– Wykryliśmy ich flotę. – Will odstawił filiżankę i odwrócił się do nas. – Jest wielka. Znaczący naprawdę wielka. Nie jestem pewien, czy damy radę ich rozbić.

Ale jestem pewien, że nie zdążymy ich rozbić, zanim zbliżą się do Ziemi na tyle, by zacząć strzelać promieniami. A musimy zakładać, że tak właśnie robią.

– Ja pier... – Neil miał oczy jak spodki. – Ilu ludzi już wywieźliście? Ile macie kapsuły?

– Udało się nam zbudować trzy miliony. To i tak dobrze. Wasz raport mówi, że macie pięć. Niestety na Ziemi wciąż jest nieco ponad czternaście milionów ludzi.

Jęknąłem.

– Brakuje sześciu milionów. Nie da się ich wsadzić po dwóch? – Głupia uwaga, sam dobrze wiedziałem. Kapsuły były dla jednej osoby i to nie była tylko kwestia upchnięcia ich w środku. Na szczęście Will zrozumiał, że to retoryczny komentarz, i nie zareagował.

– Ile czasu mamy? – zapytał Neil. – Da się zbudować jakieś większe komory hibernacyjne?

– Nie ma czasu na nic takiego – odpowiedział Will. – Zresztą to nie przyśpieszy, na każdą osobę trzeba i tak tyle samo sprzętu.

Neil kiwnął głową.

– To co robimy?

Will spojrzał na nas, pokręcił głową i schował twarz w dłoniach.

– Nie wiem, Neil. Właśnie miałem spotkanie dokładnie na ten temat. Na razie wygląda na to, że wywozimy z planety tyle osób, ile się da, i liczymy, że powstrzymamy Innych wystarczająco długo, żeby uratować resztę.

– Wahadłowce? – zapytałem.

– To nie problem. Chociaż tyle. O nich myśleliśmy od wielu lat. Jesteśmy w stanie przewozić po milion osób za jednym zamachem. Co prawda linie lotnicze z Trzeciego Świata wyglądają przy tym jak pierwsza klasa, ale jak chodzi o twoje życie, to wytrzymasz kłatkę z kurami na kolanach.

Spojrzeliliśmy po sobie z Neilem. Coraz gorzej to wyglądało.

– Będziecie gotowi do załadunku?

– Nasze kapsuły są gotowe – odparł Neil. – I przygotowaliśmy parę ładowni pod wasze. Na czternaście milionów, więc trochę przesadziliśmy.

Wzruszyłem ramionami.

– My też o tym myśleliśmy od paru lat. Jesteśmy gotowi na wszystko, co nam wrzucicie.

Will kiwnął głową.

– Obyśmy byli gotowi też na Innych.

– Jak zdecydujecie, kogo wywieźć pierwszego?

Głośno stęknął.

– Przyznaję, że starannie unikałem zastanawiania się nad tym. Prawie połowę Ziemi pozostawimy na pastwę Innych. Jakkolwiek to ująć, nie będzie łatwo.

Neil patrzył przez moment w sufit.

– Losowanie?

– Tak, to by było najbardziej sprawiedliwe – odparł Will. – Ale zależy nam na efektywności. Czyli najpierw największa enklawa i najkrótszą drogą do kolejnej. Nie możemy tak sobie skakać z końca na koniec planety przez jakieś losowe wyniki.

– Wow! – Mózg się od tego lasował i to bardzo nieprzyjemnie. – Będziesz podejmować arbitralne decyzje, kto przeżyje, a kto zginie. Jak to zniesiesz?

Zrobił udręczoną minę.

– Herschel, nie wiem. Po prostu nie wiem.

59. Pojednanie

Howard, październik 2230, Odyn

Stałem przed ścianą z fibrekstu i patrzyłem na krajobraz Odyna, gdy podeszła Bridget i położyła mi dłoń na ramieniu. To, że pojawiła się dyskretnie i bezgłośnie, sprawiło, że od razu się obejrzałem, spodziewając się kłopotów.

Jej oczy miały wyraz... udręczony, może zdziwiony, ale bez lęku, bez paniki. Przekrzywiłem głowę, czekając, aż się odezwie.

Parę razy spróbowała się uśmiechnąć, zanim odzyskała głos.

– Zaproсили mnie na ślub.

– To zawsze miło. Czyj?

– Howiego.

Uniosłem brwi.

– Nie przeskoczył czasem paru etapów?

Uśmiechnęła się.

– Widocznie przegapiłam sporo spraw w życiu moich dzieci. Ale twój pomysł, żeby rodzina, eee... Rikera... – skrzywiła się – ...wiesz, o co mi chodzi. Żeby z nim porozmawiali. Chyba pomogło.

– Zaczął się do ciebie odzywać.

– No. Będzie też Lianne. Według Howiego trzeba jej dać trochę czasu. I przejdzie jej.

– Rosie?

Pokręciła głową.

– Postawiła ultimatum. Jeśli ja się pojawię, ona nie przyjdzie. Albo jeśli ty.

– Dalej jest wściekła.

Bridget skrzywiła się i od razu pożałowałem tej uwagi.

– Przepraszam, Bridge.

– Jej chyba nie przejdzie, Howard. Taka jest. Nie popuści. Howie powiedział, że chce, by jego dzieci poznały babcię. Musiał dokonać wyboru.

– Czyli kiedy?

– Za niecały miesiąc. Już poprosiłam Dexa, żeby mi zrobił androidową Bridget. I ty też jesteś zaproszony. – Łypnęła na mnie groźnie. – I tak, wystąpisz

w garniturze.

Zatem znów miałem na sobie garnitur i krawat. Ale nie przeszkadzało mi to, bo miałem okazję zobaczyć Bridget w pełnym rynsztunku. Włożyła oczywiście zieloną sukienkę, pasującą do rudych włosów. Można by pomyśleć, że to sztampowe. Lecz kiedy dobrze wyjdzie – wcale nie.

Moim zdaniem jej wychodziło to bardzo, bardzo dobrze.

Bridget zachowała swoje mieszkanie w Przyczółku. Początkowo myślałem, że to po prostu nostalgia, teraz jednak okazywało się przydatne. Mogliśmy w nim trzymać nasze androidy, kiedy nie były używane – i w ogóle mieliśmy stały adres na Wolkanie.

Kiedy nadszedł czas, zawołaliśmy jedną z publicznych kapsuł transportowych i podaliśmy MSI adres kościoła.

Sam ślub – no cóż, jak to ślub. Oczywiście katolicki. Howie wyglądał trochę starzej i trochę bardziej dojrzałe. Panna młoda, Angelina, była piękna, jak tylko panna młoda może być piękna. Wzruszyłem się nawet, czym sam się trochę zdziwiłem. Przecież to nawet nie jest moja rodzina. Wyraźnie jednak nie miało to znaczenia.

Na przyjęciu Bridget wreszcie stanęła oko w oko z synem. Chwila wahania, ja już zbierałem się w sobie, żeby się wtrącić. To jednak minęło i Howie przytulił matkę. Na dłużej, niż można by się spodziewać. I żadne nie miało ochoty puścić. Uznałem to za dobry znak. W końcu bez słowa odsunęli się od siebie.

Moja kolej. Wyciągnąłem rękę:

– Gratulacje, młody.

Ujął moją dłoń i wyszczerzył się do mnie.

– Dzięki, Howard. Słuchaj... chyba już nie muszę mówić do ciebie „wujku”?

Roześmiałem się.

– Możesz mówić, jak chcesz. Nie ma sprawy. – Zerknąłem na Bridget, która ledwie powstrzymywała łzy. – I rozmawiać też możemy, kiedy tylko chcesz. Zawsze jesteśmy w kontakcie.

Odstąpiliśmy na bok, żeby kolejna osoba z kolejki mogła podejść z życzeniami.

– Nie było tak źle – powiedziałem do Bridget.

Nie odpowiedziała i zauważyłem, że wpatruje się w dal. Powiodłem wzrokiem za jej spojrzaniem i zobaczyłem Lianne. Oj...

– To ja... ten... będę przy bufecie. Głód wzywa.

Bridget kiwnęła głową i poszła do córki.

Właśnie zmiatałem z talerza kawałek znakomitego rostbefu, gdy usiadła koło mnie z powrotem.

– I jak?

Westchnęła i popatrzyła na mnie.

– Rosie emigruje na Romulusa.

– Trochę ekstremalny krok.

– Cała Rosie, Howard. Ani kroku w tył, żadnych kompromisów. Zerwała kontakty z bratem i siostrą. – Łzy stanęły jej w oczach. – Howard, czy ja jestem samolubna? Może powinnam po prostu odejść i tyle?

– Oj, Bridget, nie możesz tylko ty cały czas ustępować, bo w końcu dojdiesz do ściany. W przypadku Rosie wszyscy stawali na rżęsach. Teraz ona mogłaby pójść na drobny kompromis. Tylko że jakoś tego nie widzę.

Kiwnęła głową, choć wciąż była udręczona.

– Posłuchaj, kiedyś spróbujesz nawiązać kontakt z jej dziećmi. O ile będzie jakieś miała. Pamiętaj, mamy do dyspozycji całą wieczność.

Znów westchnęła i kiwnęła głową. Wskazałem na Howiego tańczącego ze swoją żoną. Twarz jej pojaśniała.

Rodzina. Zła, dobra, parszywa, wszystko jedno: jakiś kontakt z nią trzeba mieć.

60. Atak z zaskoczenia

Riker, kwiecień 2257, Układ Słoneczny

Bill porozstawiał w sali do Zgromadzeń liczne wielkie ekrany. Wypełniło ją dwustu Bobów, a kilkuset kolejnych wdzwoniło się zdalnie. VR-ka Zgromadzenia doszła do granicy pojemności, po raz pierwszy, odkąd ją zbudował.

Pełnościenne ekrany wszystkie pokazywały to samo – przewidywany kurs Innych do Układu Słonecznego, kończący się na Ziemi. Pod różnymi kątami do tego kursu, z wyjaśniającymi dymkami, widoczne były jednostki naszej kontrofensywy. Przyjdziemy do nich z bitwą, miejmy nadzieję, że zanim zorientują się, że o nich wiemy.

– Trzeba jak najwięcej zniszczyć, zanim zdążą zareagować – mówił Bill. – W równej walce mają przewagę wielkości i energii. Ale ataki z zaskoczenia faworyzują nas.

Wystąpił Thor i wskazał jedną grupę.

– Pierwsze idą maskowane bomby termojądrowe. Trzy minuty. Mają zapasowe mechaniczne zapalniki, więc nawet jak je trafią impulsem EMP, zdetonują o zadanym czasie. – Rozejrzał się. – Mam nadzieję.

Zerknąłem na zegar odliczający czas. Niecałe trzy minuty do pierwszego starcia. Napięcie w sali było aż namacalne.

Thor dalej wskazywał jednostki i opisywał taktykę. Ja odpływałem myślami w przegląd ostatnich stu lat. Sto lat temu, co do miesiąca, powstrzymałem Brazylijczyków od zniszczenia Ziemi; sto lat od mojej pierwszej rozmowy z pułkownikiem Butterworthem. Nigdy się do tego publicznie nie przyznam, ale bardzo za nim tęskniłem, odkąd przeniósł się na Wolkana, a jeszcze bardziej, odkąd zmarł. Miałem większy kontakt z ludzkością niż większość Bobów, gdyż przede wszystkim to ja utrzymywałem więź z naszą rodziną; mogłem jednak zrozumieć poczucie wyalienowania, na które zaczynało się skarżyć coraz więcej z nich.

Otrząsałem się z tego i skupiłem z powrotem na prezentacji Thora. Właśnie kończył i potwierdzał zadania z różnymi grupami. Kiwnąłem głową, gdy

wspomniał moją grupę, i dalej obserwowałem resztę Bobów.

Pierwszy Bob nigdy nie był typem wojownika. Nawet w D&D wolał raczej używać magii. Teraz znaleźliśmy się na linii frontu w wojnie decydującej o losie całej ludzkości. Niezbyt się spodziewałem, że tak się potoczy moje życie.

Westchnąłem zły sam na siebie za ten brak koncentracji i wyłączyłem się razem z resztą, kiedy Thor skończył.

Inni wyraźnie liczyli się z możliwością ataku z zaskoczenia. Nasze sondy wykryły drony wartownicze rozstawione w odległości dwóch minut świetlnych od ich grupy. Oczywiście one nas też wykryły, ale mieliśmy dwie minuty wyprzedzenia dzięki natychmiastowej łączności UNOP-em. Rozwaliliśmy je i natychmiast zmieniliśmy kurs, by być poza stożkiem rażenia, kiedy Inni w końcu zareagują.

– A cholera. – Bill pokazał ekran statusu, gdzie właśnie zgasła połowa naszych bomb. – Wygląda na to, że są lepsi w przewidywaniu naszych ruchów niż my w przewidywaniu ich.

Spojrzałem na ekran.

– Przewidzieli, że się rozproszymy, i strzelili losowo.

Bill kiwnął głową, ale wtrącił się Garfield.

– Nie, nie losowo. – Wyświetlił zbiór wektorów. – Popatrzcie. Widzicie jakąś prawidłowość w tych proporcjach?

– Hmm – mruknąłem. – Najwyraźniej uwielbiają złoty podział.

– Albo myślą, że my go lubimy. Czy on nie jest czasem ważny w feng shui?

– Tak, magiczna proporcja. Ale... aaa. – Bill klepnął się w czoło. – Ta chińska sonda. Pewnie wszędzie to miała.

– Czyli spodziewają się, że w naszych reakcjach będzie widoczna skłonność do używania tego podziału... Fascynujące.

Potarłem podbródek w swojej najlepszej przesadnej pozie.

– Halo, Ziemia do głupków! – Thor łypnął na nas. – Dalej nam brakuje połowy bomb. Możemy się łaskawie skupić na programie?

Wszyscy wyszczerzyliśmy się do niego i zabraliśmy się do pracy. Sterowane UNOP-em bomby termojądrowe wleciały w armadę Innych i zdetonowały. Elegancka synchronizacja tych eksplozji wywołała wiwat bandy Bobów.

Obszar dopiero po paru sekundach oczyścił się na tyle, żeby móc zobaczyć skutki. Kilka impulsów SUDDAR-em na minimalnej mocy pokazało dziesięć

zniszczonych lub ciężko uszkodzonych asteroid śmierci oraz dwadzieścia dwa transportowce całkiem zniszczone lub bezwładnie dryfujące.

Nieźle, jak na początek.

Niestety, na tym się kończył element zaskoczenia. Teraz Inni przejdą do...

I w tej chwili Inni wyemitowali ten superimpuls, który tak nam zaimponował na Delcie Pavonis. Tym razem już nie zrobił takiego wrażenia, bo wiedzieliśmy co nieco o ich transportowcach i generatorze mocy na zjawisku Casimira. Ale i tak wiązka podświetliła na chwilę wszystkie co istotniejsze masy w promieniu paru godzin świetlnych.

– No dobra – stwierdził Bill. – Z zaskoczeniem koniec. Przechodzimy do głównego planu bitwy.

Grafika na ekranach zmieniała się, gdy przeszliśmy do fazy 2.

61. Zapowiedź

Bob, wrzesień 2232, Delta Eridani

Archimedes zgiął się w kolejnym ataku kaszlu. Niszczyciel, patrząc z obawą, poklepał go po plecach. Ja chwyciłem worek z wodą i podstawilem mu. W końcu opanował kaszel i wziął bukłak ode mnie. Odwróciłem się, żeby dać mu trochę prywatności, i popatrzyłem na padający na wioskę drobny deszczyk.

Pod pergolą – tak naprawdę to był po prostu namiot na szkielecie, którego ściany można było podnieść i podwiązać – było nam wygodnie i sucho. Uśmiechnąłem się. W Camelocie trwał stały postęp technologiczny i jakość życia cały czas się poprawiała. Dobry spadek im tu zostawiam.

Ataki kaszlu zdarzały się ostatnio coraz częściej i coraz bardziej mnie martwiły. Abstrakcyjna rozmowa o efemerydach i pogrzebach to jedno; teraz dożywał ostatnich dni ktoś, kogo znałem i kochałem od pięćdziesięciu lat. Plany przelatywały mi przez głowę: przemycić drona i zrobić skan SUDDAR-em; zsyntetyzować jakieś leki albo chociaż środki znieczulające. To oczywiście było tylko chciejstwo, nic innego. Żadna operacja nie uleczy starości, nawet gdybym umiał ją przeprowadzić.

Zmuszało mnie to jednak do przemyślenia własnej przyszłości tutaj. Byłem członkiem plemienia od prawie dwudziestu lat i miałem oprócz Archimedesas masę innych przyjaciół. Mogłem tu nadal żyć, od czasu do czasu modyfikując androida, żeby symulować starzenie. Kurde, mogłem nawet wrócić za parę lat jako ktoś inny. Pytanie brzmiało: czy chciałem? Czy jest sens? Może powinienem po prostu wycofać się, tak jak pierwotnie planowałem?

Usiadłem obok Archimedesas. Uśmiechnął się do mnie słabo.

– *Bawbe*, ja chyba niedługo dołączę do *Diany*.

– Ej, ajdaj okójszaj zaj awbebaj. – Nie byłem pewien, jak program tłumaczący poradzi sobie ze świńską łaciną, ale chyba dał radę, bo Archimedes zachichotał.

– Przepraszam, *Robercie*. – Przerwał na moment dla nabrania tchu. A i to sprawiało mu na oko duży wysiłek. – Świetnie było cię tu mieć przez tyle lat. To było bardzo ciekawe i bardzo dobre życie. Ale myślę, że to już koniec.

Położyłem mu dłoń na ramieniu.

– Trzymaj się, przyjacielu. Jest jeszcze tyle do zobaczenia.

Podeszła Belinda, niosąc drewnianą miseczkę z gulaszem. Dopilnowaliśmy, żeby Archimedes usiadł wygodnie. Jadł powoli, metodycznie, jakby to była raczej praca, którą trzeba wykonać, niż coś, co sprawia przyjemność. Wtedy naprawdę dotarło do mnie, że on już czeka na śmierć. Przytłoczyła mnie ogromna fala smutku. Musiałem zacząć oddychać głęboko, by powstrzymać atak paniki. Co, jak się zastanowić, było dość głupie. Nie pamiętasz, komputer jesteś?

Jakkolwiek by do tego podchodzić, umierał mój przyjaciel.

62. Życie w chmurach

Howard, luty 2244, Epsilon Eridani

– Jestem, kochanie!

Bridget odwróciła się do mnie, gdy zamykałem drzwi mieszkania.

– I to się nigdy nie nudzi.

– Nigdy. Się nie znudzi – stwierdziłem, uściskałem ją i ucałowałem. – Gdzie martini dla mnie?

– W butelkach. Może wymagać montażu. Mi też zrób.

Westchnąłem z zadowoleniem i poszedłem przygotować parę prawdziwych drinków. Niestety w prawdziwym życiu nie można było sobie po prostu zmaterializować martini. Z drugiej strony, choćbym nie wiem jak kręcił parametrami VR-ki, fizyczne martini zawsze smakowało lepiej.

Podąłem drinka Bridget. Praktycznie nie podniosła wzroku znad Kanwy, ale mruknęła z wdzięcznością. Zajrzałem jej przez ramię. Wyglądało na to, że ma tam drzewo gatunków jakiegoś wycinka fauny z Patchworka. Coś ze skrzydłami i żądłem. Jak się zastanowić, to niespecjalnie zawężyło listę gatunków.

Schemat zajmował całą Kanwę oprócz okienka w rogu ze zdjęciem Howiego, Angeliny i ich trojga dzieci. Bridget została babcią, a na jej narzekania, jak staro się przez to czuje, nikt się nie nabierał. Odwiedzaliśmy ich regularnie, korzystając z androidów na Wolkane, i babcia była uwielbianą.

Podszedłem do okienka z obrazem i spojrzałem na miasto Tantor. Tak, dokładnie. Tantor. Jakiś głupek zapragnął literackiego nawiązania, ale zgubiła mu się literka ¹. Mieszkaliśmy teraz w słoni. Amatorzy.

Prychnąłem pogardliwie i odwróciłem wzrok.

– Co, dalej narzekasz na tę nazwę? – zapytała Bridget.

– Czytasz już w myślach?

– W twoim prychnaniu jest taki ton, który mówi „no debile”. Patrzyłeś przez okno. Bardzo trudne to nie było.

Zaśmiałem się i uniosłem szklanekę w toaście. Zżyliśmy się ze sobą przez te lata i znaliśmy się jak każde małżeństwo z dziesiątkami lat stażu. Poświęciła

chwilę, by się do mnie uśmiechnąć, i wróciła do pomrukiwania i postukiwania w Kanwę w powietrzu przed sobą.

W oddali kopuła miasta oddzielała nas od atmosfery Cyrku. Klaunomobil w końcu zmienił oficjalną nazwę na Patchwork, ale jego jowiszowy sąsiad zachował pierwotne przezwisko. Nikomu widać nie przeszkadzało.

Balonowce, czy ich lokalny odpowiednik, przepływały za ścianą kopuły, z nieuniknioną świtą drapieżników. Zaczynało do nas docierać, że życie na gazowych olbrzymach jest równie obfite, wszechobecne i spójne systemowo jak na planetach typu ziemskiego. Coraz głośniejszy chór głosów domagał się, by sprawdzić także inne typy środowisk. Dobry czas dla biologa.

Tantor – na samą myśl o tej nazwie zgrzytały mi zęby – miał już około miliona mieszkańców. Spodziewaliśmy się trochę wahania ze strony ludności Patchworka, kiedy zaczęliśmy budować miasta w chmurach Cyrku, okazało się jednak, że większość ludzi z miłą chęcią opuściła przytłaczający ekologiczny wir tej planety.

Podszedłem z boku do Bridget, żeby widziała mnie kątem oka.

– Co, jakieś nowe paskudztwa?

– Ha! – Odwróciła się do mnie. – Szczerze, Howard, to ja myślę, że ta planeta wyewoluowuje nowe gatunki szybciej, niż my się pozbywamy starych. Najwyraźniej ludzie są niezagospodarowaną niszą pokarmową. Jestem przekonana, że niektóre te cholery dziesięć lat temu jeszcze nie istniały.

Stęknąłem. Jak dotąd nic nie polubiło smaku androida, więc nam nic nie groziło.

Uniosłem martini do ust i wtedy Bridget zapytała:

– Howardzie, a myślałeś kiedyś o adopcji?

Alkohol jest zadziwiająco trudny do usunięcia z ubrań i dywanów. Wydawałoby się, że powinien szybko wyparować, ale zapach pozostaje. Dyskusja mogła zostać podjęta dopiero po dobrych paru minutach czyszczenia.

– Że co? – Znów mistrzowska cięta riposta.

– Jakiś czas temu rozbił się ten wahadłowiec. Mnóstwo dzieci zostało bez rodziców. Takie rzeczy się zdarzają. Ludzie giną. Niestety trochę więcej niż w dobrze osiadłych, stabilnych społeczeństwach. Podobne problemy są na Wolkanie, Romulusie, w innych koloniach. Dorośli miewają ryzykowną pracę. Władze kolonii będą musiały już tworzyć specjalne wydziały zajmujące się tym problemem.

– Bridget, ale my... ten... że tak niedelikatnie to ujmę, jesteśmy maszynami.

– I kto to mówi? Typ, który robi mi regularne wykłady o tym, że jestem Własną Indywidualnością? A kiedyś pół godziny gadał o Chińskich Pokojach? Mamy oficjalny status obywateli. Mamy przyjaciół. Należymy do klubów. Kurde, Howard, nawet podatki płacimy.

Wpatrywałem się w nią przez dłuższą chwilę.

– Właściwie to jakiegoś spójnego logicznie argumentu nie mam. Co dziwne, bo moja odruchowa reakcja to „no nie, nie ma mowy”.

Bridget przekrzywiła głowę i się uśmiechnęła.

– Nie musisz od razu podejmować decyzji. Mamy nieskończenie wiele czasu, prawda?

Znałem Bridget dobrze. To mogło się skończyć tylko w jeden sposób. Zostanę tatusiem.

1. Trantor – stolica Pierwszego Galaktycznego Imperium w Fundacji Asimova. Tantor – słów w języku małp z Tarzana (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

63. Proszę się trzymać Herschel, kwiecień 2257, Układ Słoneczny

Neil i Will wskoczyli razem do mojej VR-ki. Neil opadł na swój ulubiony worek sako.

– Kapsuły są w środku, już popodłączane. Osiem milionów sztuk zajmuje ledwo dwa procent statku. Chwilami zapominam, jak wielki jest ten grzmot. – Machnięciem otworzył okienko z raportem.

Will przyciągnął je do siebie i zaczął przewijać raport.

– Wszystko wygląda w porządku. Jakież problemy?

– Nic. Nasze kapsuły już oczywiście były ustawione. Twoje weszły bez problemu i przeszły całą diagnostykę. Mamy nieco ponad osiem milionów i czekają na pasażerów. – Spojrzałem na Willa, unosząc brew jak Spock. – A u ciebie, Will? Jak poszło z selekcją?

– Eee... No... jeśli chodzi o to... – Uśmiechnął się z udręką. – Nie dyskutowałem tego na forum publicznym. Zagadałem prywatnie z paroma przedstawicielami. Zgodziliśmy się, że nie ma żadnego scenariusza, który nie kończy się lękami i złością, więc odkładamy to jak najpóźniej się da.

Jęknąłem. Kiedy to się skończy i będę miał trochę czasu wolnego, pokrzyczę sobie i poklnę.

– Może uda się powstrzymać Innych, prawda? To jest możliwe. – Neil popatrzył po nas.

– Zupełnie bez strat wśród cywili? – Will pokręcił głową. – Co do zasady, pewnie jest możliwe. Ale i tak do tego czasu podejmiemy decyzję. Porzucimy sześć milionów ludzi. Przeprosiny pewnie nie wystarczą, nie sądzisz?

Powoli kiwnąłem głową. Strasznie męczyła mnie ta rozmowa. Pora zmienić temat.

Wyciągnąłem listę kontrolną i zacząłem odfajkować pozycje.

– Transportowce wlecą przodem, wylecą tyłem. Wyładunek zaczynamy od rufowych ładowni i przesuwamy się w przód. Opadniemy na niską orbitę, żeby czas przelotu był jak najkrótszy. Jak nisko możemy bezpiecznie zejść? – Zerknąłem na Neila. – Bill coś mówił?

– Pytałem o to dokładnie. Bill zdziwił się, że dodaliśmy osiem płyt holowniczych i powiedział, że z nimi to praktycznie moglibyśmy wylądować.

Parsknąłem śmiechem.

– No, to by było coś.

– A może trzeba spró... Czekał, jak poważnie mówił Bill? – Nie czekając na odpowiedź Neila, posłałem do niego wiadomość.

Odpowiedział w parę milisekund.

Trzydzieści dwie płyty wytrzymają wszystko oprócz zetknięcia z gruntem. A co?

Wpatrzyłem się w przestrzeń. Neil coś mówił, ale nie słuchałem go. W końcu przybliżył twarz do mojej.

– Ej, ty dobrze się czujesz?

Skupiłem wzrok na jego twarzy.

– Chyba wiem, jak uratować wszystkich.

Will wytrzeszczył na mnie oczy.

– Spalił ci się tranzystor. – Odwrócił się do Billa. – Zwariował, nie?

Wszyscy spojrzeliśmy na Billa. Wcale nie byłem pewien, czy Will nie ma czasem racji. A Bill przez pełne pięć milisekund patrzył w przestrzeń.

– Właściwie to nie jest aż tak absurdalne. Widziałem te plany konstrukcji *Bellerofonta*, które zrobiliście. Myślę, że on ma być hermetyczny i jest w stanie utrzymać atmosferę. Może one mają też służyć do transportu siły żywej. Wyjaśniałoby to niektóre decyzje konstrukcyjne.

Kiwnąłem głową.

– Jak te przewymiarowane drzwi do ładowni.

– I podłączenie do prądu w każdej ładowni – dodał Neil. – I konfigurowalne ściany.

– Ja nie mogę – mruknął Will. – To jak, po prostu to ogłaszamy czy pytamy ONZ?

– A jest czas, żeby pytać? – wtrącił Neil.

– Oczywiście! – odparł Will. – Nie ma tylko czasu czekać, aż podejmą decyzję. – Skrzywił się drwiąco, potem spoważniał. – Nie. Musimy teraz podjąć decyzję.

– Alarmowe Zgromadzenie?

– Bill, na to też nie ma czasu. Trzeba działać już. Nie mamy żadnego luzu, wszystko jest wyżyłowane na maksa.

– Głosowanie?

– Jeśli chcesz... ale szczerze... jeśli myślisz, że to jest do zrobienia i można uratować sześć milionów ludzi, to ja mówię: jedziemy z tym.

Bill rozejrzał się po pokoju. Will, Neil i ja spojrzeliśmy na niego. To było to. Czterech Bobów decyduje o losach reszty ludzkości. Ale zero ciśnienia.

– Wolniej, kurde. Chcesz nas rozwalić?

– Neil, weź się zamknij. Proszę i dziękuję.

Czułem jego wrogie spojrzenie, ale nie miałem czasu odpowiedzieć tym samym. Miałem robotę – opuszczałem do ziemskiej atmosfery dziesięciokilometrowy, ważący sto milionów ton statek kosmiczny obcych, starając się nie zniszczyć ani jego, ani części planety. *Bellerofonta* podtrzymywały trzydzieści dwie płyty holownicze i tylko one dzieliły nas od bardzo dużego krateru.

– Dwa tysiące metrów – dobiegł mnie znikąd głos Billa.

Kiwnąłem głową i przerwałem obniżanie. Spojrzałem w widok z jednego z towarzyszących dronów. Wyglądało to jak żywcem wyjęte z jakiegoś filmu. Statek, opuszczając się w atmosferę, rozpychał cumulusy na boki. Kiedy zawiśliśmy, powietrzne wiry i fale utworzyły wokół niego zawiłe smugi i wzory.

– Na pozycji, lokalizacja numer jeden.

– Ta będzie najtrudniejsza, bo tu nabierasz atmosfery.

Kiwnąłem głową.

– Jeśli to przeżyjemy, wszystko inne już będzie rutyną.

– Nic z tego nie będzie rutyną. – Neil wyszczerzył się do mnie, a ja odpowiedziałem tym samym.

Neil sterował wrotami ładunkowymi i koordynował transportowce. Przed naszym dziobem wisiało ich tysiąc, gotowych, by zacząć zbierać ludzi, gdy tylko damy sygnał gotowości. Zaczął otwierać wrota, bardzo, bardzo powoli. Powietrze wdarło się do środka, próbując wypełnić siedemdziesiąt osiem milionów metrów sześciennych próżni. *Bellerofont* zatrzęsł się pod naporem tego huraganu. Neil obserwował wskaźniki, regulując stopień rozwarcia wrót, otwierając je na maksymalny bezpieczny kąt. Wyrównanie ciśnienia i tak zajęło trzydzieści minut.

Szybka kontrola statusu i Neil zaczął otwierać drzwi od ładowni. Nie potrzebowaliśmy wypełniać wszystkich – tylko tyle, by pomieściły sześć milionów ludzi.

Bez słowa kiwnąłem Willowi głową. Odpowiedział szybkim uśmiechem i zaraz nawiązał połączenie wideo z grupami transportowców. Zauważyłem w przelocie, że wygląda na o wiele mniej zestresowanego. To nadal nie były wakacje, ale brak konieczności decydowania, kto przeżyje, a kto umrze, na pewno zdjął mu z ramion ogromny ciężar.

Wydał polecenia dowódcom oddziałów i transportowce rozproszyły się, żeby zebrać wszystkich ludzi z całej planety. *Bellerofont* będzie musiał zatrzymać się w dziesięciu miejscach, by ich wszystkich podjąć.

Ciekawa rzecz. Ludzie i tak musieli marudzić, mimo że piekielne ogary już dosłownie łapały ich za nogawki. Pamiętam, że w dawnych czasach bywałem na koncertach czy meczach i jakoś się udawało szybko i bez specjalnego zamieszania wprowadzić i wyprowadzić ze stadionu dziesiątki tysięcy ludzi. W tym przypadku do każdego transportowca trzeba było wpakować tylko tysiąc pasażerów. Łatwizna, prawda?

Zginęło szesnaście osób. Dziesięć stratowanych, cztery zmarły z przyczyn medycznych, dwie – zastrzelone przez siły porządkowe. Wow!

– Herschel, szesnaście osób na milion to wcale nie tak źle – powiedział Will.
– Pozostałe grupy już poinstruowałem, więc będą przygotowane i pewnie lepiej zareagują. Ale ty się nie załamuj. I tak jesteś teraz Top Gun. MVP. I tak dalej. Cały ten szajs. – Uśmiechnął się szeroko i jakimś cudem poczułem się lepiej. Albo mniej gorzej.

Prawdziwe problemy pojawią się pod koniec. Pierwsze osiem milionów pójdzie do hibernacji i będzie wymagało minimalnej obsługi. Ale kiedy kapsuły się zapełnią, ludzie będą wysiadać do ładowni, w nieważkości, nieprzeszkoleni i nieprzygotowani. I pozbawieni urządzeń sanitarnych. Siatki znaleźliśmy w zasobach *Bellerofonta* i przekonfigurowaliśmy trochę ładownie, żeby nie pakować ludzi po prostu do gigantycznej przestrzeni. I tak spodziewaliśmy się ciekawych czasów.

Problemem było oczywiście podjęcie tej decyzji w ostatniej chwili. Nie planowaliśmy przewożenia aktywnych pasażerów. Plan składał się głównie z dwóch pozycji: 1) ładujemy ludzi, 2) spierdzielamy. Potem robił się mało konkretny. Celem było wywiezienie ich z zasięgu rażenia Innych. Jeśli wygramy, możemy odstawić ich z powrotem do domów. Jeśli przegramy... hmm, o tym nikt nie miał ochoty rozmawiać.

Na razie musieliśmy się przejmować tylko samym załadunkiem.

Jeden mały, a korzystny szczegół: enklawy przez dziesiątki lat konsolidowały się, w miarę przenoszenia się bliżej równika. Nie musieliśmy już zaprzętać sobie głowy małymi grupkami poniżej dziesięciu tysięcy, jakich było pełno, gdy Will pierwszy raz przyleciał do Układu Słonecznego.

Zdecydowaliśmy, że każdą enklawę dajemy po prostu do oddzielnej ładowni. Po co im urządzać jeszcze dodatkowe zamieszanie. A napięcia pomiędzy grupami były na tyle duże, że trzeba się było liczyć z wybuchem przemocy.

Chociaż walka na pięści w nieważkości byłaby raczej śmieszna niż groźna.

Wyskoczyło okienko ze statusem, zwracając moją uwagę. Wszystkie transportowce są za wejściem, w osiowym korytarzu. Neil bez słowa uniósł kciuk i zamknął główne wrota. Mogą wysadzać uchodźców do ładowni, kiedy my przemieszczamy się na następny punkt zbiórki.

Dwadzieścia jeden enklaw. Jeszcze dziewięć przystanków i całą ludzką rasę, przynajmniej z Układu Słonecznego, wpakujemy do jednego statku.

Skierowałem *Bellerofonta* w górę. Pierwszy z głowy...

64. Zaczyna się bitwa Riker, kwiecień 2257, Układ Słoneczny

Bill spojrzał w moją stronę.

– No dobra, z impulsu się wystrzelali. Aktywować Dżokerów.

Kiwnąłem głową i puściłem wiadomości do Hannibala, przywódcy Dżokerów. Sam pomysł był prosty. Kilka dni temu zaczęli przyśpieszać w kierunku przewidywanego punktu pierwszego kontaktu. Staraliśmy się tak to wyliczyć, by byli poza zasięgiem superimpulsu i tym samym ich pojawienie się było całkowitym zaskoczeniem. Wadę stanowił fakt, że podczas impulsu musieli być w odległości co najmniej pięciu godzin świetlnych.

Okazało się, że całkiem ciasno to wyliczyliśmy. Byli nieco poniżej pięciu godzin świetlnych i lecieli z mniej więcej 95% c. Czyli za około pięć godzin Innych czeka dość poważna niespodzianka.

Parę sekund później dostałem potwierdzenie i czas ataku. Wtedy wszyscy musimy być poza tym obszarem. Nastawiłem sobie przypominajkę.

Tymczasem pierwsza grupa szturmowa zaatakowała Innych. Nadleciała pod kątem trzydziestu stopni, tak jak ostatnim razem, i ostrzelała ich laserami, igłami plazmowymi, miotaczami cząstek, niszczycielami i bombami.

Bill znów na mnie spojrzał.

– Grupa bombowa.

Superping musiał wykryć dużą liczbę pancerników przed dziobem armady Innych. Nie wykrył natomiast dużej liczby maskujących się bomb termojądrowych w ich ładowniach. Pancerniki zaczęły je teraz wystrzeliwać, używając dział elektromagnetycznych. Te zakamuflowane, bezgłośnie bomby będą do wykrycia tylko, jeśli Inni zrobią kolejny superping.

Gdy pierwsza grupa uderzeniowa przecięła szyk Innych, rozproszyli się. I tak jak się spodziewaliśmy, wypuścili te swoje wariacko szybkie torpedy. Igły plazmowe i działa elektromagnetyczne zdjęły ich bardzo dużo, ale straciliśmy około połowy Bobów z tej fali. Miejmy nadzieję, że mieli aktualne kopie zapasowe.

Od razu kilka transportowców otworzyło wrota, z których wysypały się statki obrony. Bez dwóch zdań zaczęła się bitwa.

Bill usiadł i sapnął.

– Grupy uderzeniowe mają swoje rozkazy. Będą oczywiście starać się atakować trochę inaczej niż ostatnim razem i unikać wszystkiego, co choćby zbliża się do złotego podziału.

Nagle – kolejny superimpuls. Spojrzeliśmy z Billem po sobie, wytrzeszczyszy oczy. On odezwał się pierwszy.

– Tego się nie spodziewaliśmy. Nasze modele wskazywały, że muszą się ładować co najmniej kilka godzin, na podstawie mocy generatora Casimira z *Bellerofonta*.

– Jeśli nasze modele są błędne – powiedział Thor – to wszystkie nasze plany są podejrzanе.

Podszedł Garfield.

– Nie na tym polega problem. Zauważyliście, że siły obronne, które wypuścili, są mniejsze, niż się spodziewaliśmy? Myślę, że poinstalowali w transportowcach dodatkowe generatory.

– Mniej miejsca na drony, większa zdolność ładowania. – Thor kiwnął głową. – Ma to sens i ogólnie nie jest to zła strategia.

– Możemy to wykorzystać?

– Tylko w najprostszy sposób – odparł Bill. – Mniej obrońców oznacza, że może się udać dotrzeć bliżej wielkich statków przed detonacją. Miejmy nadzieję.

Wzdrygnąłem się, bo dotarło do mnie, że Dżokery są zdemaskowane. Pingnąłem Hannibala, ich przywódcę. To była najgorsza możliwa wiadomość.

– Przykro mi, Will. Byliśmy w zasięgu. Zarejestrowaliśmy wyraźny impuls, co oznacza, że oni o nas wiedzą.

Odwróciłem się do Billa, który był szary na twarzy. Dokładnie tak samo się czułem.

Dżokery były zwornikiem naszego planu. Jeśli poniosą klęskę, nasze szanse na sukces lecą na pysk.

– Cholera. – Bill potarł twarz dłońmi. – Hannibal, tutaj tak naprawdę nie mamy planu B. Dopilnujcie, żeby mieć aktualne kopie zapasowe, i idźcie dalej ze swoim planem. Może się przebijecie z paroma bombami. Może do tego czasu trochę im przerzedzimy obronę.

– Zrozumiałem.

Spojrzałem na Billa, unosząc brew.

– A może babci wyrosną wąsy i przystąpi do ruchu oporu.

– A jaki mamy wybór? – Wzruszył ramionami. – Robimy, co możemy, bo tylko to możemy.

Do rozmowy wtrącił się Thor.

– Posłuchajcie. Inni wiedzą teraz o wszystkim, co mamy. Ale nie wiedzą, czy to wszystko. Moglibyśmy mieć dla nich jeszcze inne niespodzianki. Więc nie panikujmy. Niech to wygląda, jak jakiś plan, a może popełnią błąd, skupiając się na wypatrywaniu czegoś jeszcze.

Bill kiwnął głową.

– Słusznie. Dobra, to jedziemy z naszym planem. Rzucamy wszystko, co mamy, ale niech to wygląda jak planowa obrona. Przekażcie to wszystkim grupom i jedziemy.

Skupiliśmy się więc na dużej fali bomb termojądrowych wyrzuconych przez pancerniki. Drony obronne Innych już ustawiały się w szereg, by je przechwycić, a kilka asteroid śmierci obracało się transponderami w ich stronę.

– Igły na obrońców, lasery na asteroidy – rozkazał Bill.

Horda dronów nieprzyjaciela rzuciła się na nadlatujące bomby. Włączyliśmy ich napędy i rozkazaliśmy wykonywać uniki. A my tymczasem staraliśmy się wystrzelać igłami jak najwięcej dronów.

Przez lata wprowadziliśmy sporo ulepszeń do naszych napędów SURGE, ale i tak sporo nam brakowało do setek g, jakie wyciągały pociski wroga. Wydawało się, że w tym ataku zniszczą połowę naszych bomb.

Kolejnym problemem były asteroidy śmierci. Niszczyły elektronikę każdego nieekranowanego urządzenia. Liczyliśmy, że Inni będą bardziej polegać na ich impulsach, a mniej na pociskach, niestety działa się inaczej.

Około dwudziestu atomówek przebiło się przez kurtynę nadlatujących pocisków. Teraz wycelowały się asteroidy śmierci. Czekaliśmy, aż niektóre z nich strzelą impulsami, a potem zaatakowaliśmy siatki tych, które się nie wyładowały. Te, które strzeliły, przez chwilę nie będą zagrożeniem. Musieliśmy zniszczyć dokładnie te trzymane w odwodzie.

Wtedy atomówki dotarły do celów. W odróżnieniu od poprzedniej bitwy, w Delcie Pavonis, miały mechaniczne zapalniki, kompletnie niewrażliwe na napromieniowanie.

– Wygląda na to, że z połowa wybuchła – powiedział Bill, patrząc na ekran.

Czekaliśmy przez ciągnące się w nieskończoność sekundy, aż widok się oczyści.

Sukces, w pewnym sensie. Możliwe, że zniszczyliśmy około jednej trzeciej ich siły. Niestety, doświadczenie z Deltą Pavonis mówiło, że większość przewagi osiągamy na początku, zanim Inni przystosują się do naszej taktyki. Żeby wygrać, musieliśmy zadać takie szkody jeszcze dwa razy, co wydawało się mało prawdopodobne.

Bill odwrócił się do mnie skrzywiony.

– Will, zobacz, jak tam status ewakuacji. To może być jedyne, co zapewni przetrwanie ludzkości.

Kiwnąłem głową i wyłączyłem się. To będzie długi dzień.

65. Armatura

Herschel, kwiecień 2257, Układ Słoneczny

– Tak według ciebie wygląda toaleta dla zero g? – Will wytrzeszczył oczy w okienku wideo.

– Chcesz, to mnie pozwij – odpowiedział Neil. – Mieliśmy już trochę „wypadków przy pracy”, nie mówiąc o ludziach reagujących na nieważkość rzyganiem. A, i wiesz, co się dzieje? Okazuje się, że widok i smród latających rzygów powoduje, że rzygają kolejni. Co za niespodzianka. – Zrobił głęboki wdech. – W każdym razie to się zrobiło priorytetowe. W zasadzie to jest po prostu wielki odkurzacz. Szopy już latają i odkurzają istniejące te... wypadki przy pracy, a zaraz dorobimy do tego jakieś przepierzenia, żeby mieć trochę prywatności.

– Jezus, jak ja się czasem cieszę, że jestem replikantem.

– Gów... znaczy, szczerą prawdą. – Neil się wyszczerzył.

Poświęciłem chwilę, by spojrzeć nań spode łba.

– A co z jedzeniem i wodą?

– Jedzenie na razie nie jest nawet problemem – powiedział Will, kręcąc głową. – Zanim wylecimy, obierzemy farmy orbitalne do zera, ale to jest naprawdę ostatnia pozycja na liście. Woda też nie jest w tej chwili problemem, bo enklawy miały wziąć zapasy ze sobą, nawet te, które poszły do kapsuł. Za chwilę zmajstrujemy jakiś system odzysku. Na razie weźmiemy trochę z farm.

W tym momencie wszyscy dostaliśmy wiadomość od Billa.

Skończyliście może? Spychają nas. Możecie niedługo dostać impulsem.

Popatrzyliśmy po sobie, wytrzeszczając oczy.

– Mało czasu – stwierdził Will.

Szybko napisałem odpowiedź.

Zgodnie z planem. Dwie trzecie podniesione. Dwie godziny, mamy wszystkich i uciekamy.

Spojrzał na mnie.

– Zobaczymy, może da się to jeszcze trochę ścisnąć.

– Ostatni transportowiec właśnie wystartował. Lecę na kolejny punkt jak tylko będę go miał w korytarzu.

Will kiwnął głową i się wyłączył.

66. Ciąg dalszy bitwy

Bill, kwiecień 2257, Układ Słoneczny

Odwróciłem się, gdy wskoczył do mnie Will.

– Jak tam w *Bellerofoncie*?

Rzucił mi krzywy uśmiech.

– Nie chciałbyś być w tych ładowniach z ludźmi. Neil i Herschel robią, co mogą. Wyobraź sobie szopy latające z odkurzacami w odnóżach...

Ten niespodziewany obraz wywołał u mnie uśmiech, ale wesołość trwała tylko przez chwilę. Nieustanne wieści z pola bitwy przywołały mnie do rzeczywistości.

– Powoli tracimy pozycję, Will. Spychają nas. I chyba wykryli *Bellerofonta*. Chyba próbują manewrować asteroidami śmierci, żeby mieć Ziemię na celowniku.

– Ziemię czy *Bellerofonta*?

– Dobre pytanie. W zasadzie nie wiemy. Chociaż myślę, że nie rozkminili, co robimy, nie z tej odległości.

– Tak czy owak, spróbujmy dać im jakieś zajęcie. – Czyny poszły za słowami: Will podszedł do ekranów taktycznych. Wskazał rozstawienie jednostek. – To, że nas trafia, oczywiście im nie przeszkadza, ale muszą mieć czysty strzał, czyli nic swojego na drodze. To znaczy, że nie będzie żadnych jednostek Innych między asteroidami śmierci a Ziemią. Jak możemy to wykorzystać?

– Dużo ich zniszczyć?

Will spojrzał drwiąco.

– A dokładniej?

– Hmm... – Zastanowiłem się. – Za wiele nie korzystaliśmy z konwencjonalnej amunicji do dział elektromagnetycznych. Dajmy ciągłą salwę do tych Gwiazd Śmierci, które są odsłonięte.

– Bill, to im nic nie robi. Są za duże.

– Oni o tym wiedzą i zlekceważą ten atak. A my po jakichś pięciu sekundach zaczniemy przeplatać kule armatnie z balistycznymi atomówkami. I to już im coś robi.

Will wyszczerzył zęby i odwrócił się, żeby wydać rozkazy.

Niesamowite, ale zadziało. Sześć Gwiazd Śmierci eksplodowało kulami ognia, zanim Inni postanowili potraktować ten atak poważnie. Podzielili swoją uwagę pomiędzy napromieniowywanie Ziemi i naszych sił. Jedna dobra wiadomość, jedna zła.

– Dali impuls w kierunku Ziemi lub *Bellerofonta* – ogłosił jeden z monitorujących Bobów, chyba Thor, choć już trochę nie nadążałem.

– Możesz dokładnie ustalić współrzędne celu?

Chwila ciszy, a potem:

– Tak.

– Dawaj znać *Bellerofontowi* o impulsach idących w ich stronę. Mogą zdążyć zareagować.

– Tajest. Ooo! Dwa kolejne. Robi się ciepło.

Odwróciłem się do Willa.

– Za mało ich męczymy. Jeśli trafią *Bellerofonta*, to wszystko na nic.

Will zastanowił się i wydał rozkazy.

– Dajcie wszystkie nasze lasery, miotacze cząstek i igły – wszystkie – na tę grupę asteroid śmierci. Celujcie w siatki, na ile się da. I dawajcie też kule armatnie i atomówki.

– To osłabi naszą ogólną obronę.

– Wiem, Bill. – Wzruszył ramionami. – Ale, jak powiedziałeś: jeśli stracimy *Bellerofonta*, to wszystko inne nie ma już znaczenia.

Bobowie natychmiast skupili się na tych obiektach. Obszar wokół asteroid śmierci zaczął wyglądać jak bitwa z Gwiezdnych Wojen, przynajmniej na ekranach. Przy takich odległościach i w próżni rzeczywistość była o wiele mniej dramatyczna.

Nie byliśmy w stanie całkowicie powstrzymać asteroid śmierci. Strzeliły jeszcze paroma impulsami, a Thor od razu przekazywał współrzędne *Bellerofontowi*. Jednakże dawaliśmy się im we znaki i kilka strzałów poszło pod bardzo dziwnym kątem, do tego stopnia, że zastanawialiśmy się, czy aby czegoś tam nie ma.

Nagle sukces. Dwóm atomówkom udało się podpłynąć bardzo blisko – i prawie jednocześnie. Dwie eksplozje na kilka sekund przesterowały kamery. Kiedy pole się oczyściło, zniknęła ostatnia asteroida śmierci próbująca ostrzelać Ziemię. Bobowie zaczęli wiwatować.

Will uśmiechnął się do mnie.

– To jeszcze nie zwycięstwo, ale przynajmniej możemy skupić się z powrotem na głównym ataku. A jak to idzie, swoją drogą?

– Dalej nas spychają, Will. – Pokręciłem głową. – I kończą nam się opcje.

Will zerknął na monitory ze statusem.

– Cholera. No dobra, może teraz jakoś ich wzmocnimy. Pójdę i sprawdzę z innymi grupami, jeśli ty już tu się trzymasz.

Kiwnąłem głową, ale bez nadziei. Będziemy potrzebować jakiegoś cudu w ostatniej chwili. A przecież ostatnim razem, w Delcie Pavonis, nic takiego się nie zdarzyło.

67. Ucieczka

Herschel, kwiecień 2257, Układ Słoneczny

Obserwowaliśmy na monitorze trzy ostatnie transportowce wlatujące przez główne wrota do korytarza. Piloci śpieszyli się, a pewnie też musieli walczyć z turbulencjami w środku statku. Neil zaczął zamykać wrota, nim ostatni z nich znalazł się w środku. Odczekałem, aż się uszczelnią, i dałem gaz, ile tylko mogłem.

Bellerofont majestatycznie wzleciał przez atmosferę. Turbulencje były praktycznie niewykrywalne i szybko wygasły. Gdy tylko znaleźliśmy się ponad atmosferą, ustawiłem się tak, by Ziemia zasłaniała mnie przed bitwą. Wtedy dałem napęd na maksa. Z przyśpieszeniem prawie 3 g wystrzeliliśmy na wspomaganą orbitę.

Impuls w waszym kierunku. Jedna asteroida śmierci. Trzydzieści sekund. Załączam współrzędne.

Spojrzałem w przysłane dane i zrobiłem zwrot pod kątem prostym. Z tej odległości stożek impulsu miał być dość wąski i powinienem bez większego wysiłku się z niego usunąć. Bardziej niepokoiła mnie liczba asteroid śmierci, które jeszcze są w stanie strzelić w naszą stronę.

Jeśli wezmą nas w dwa ognie, to koniec.

Dwa kolejne impulsy.

To był skoordynowany atak. Pierwszy był łatwy do uniknięcia, bo szedł trochę z tyłu, ale oczywisty unik wpakowałby mnie prosto na drugi impuls. Przyznałem sam przed sobą: niezła strategia. Tylko że dzięki łączności UNOP-em wiedzieliśmy, co się dzieje.

Zrobiłem unik w losowym kierunku i uśmiechnąłem się, wyobrażając sobie, jak kanonierzy Innych zgrzytają we frustracji swoimi odpowiednikami zębów. Nagle przestałem się uśmiechać – dotarło do mnie, że właśnie poinformowałem Innych, że mamy łączność nadświatłą. Puściłem szybką wiadomość do Billa z tą informacją. Nie wiedziałem, czy będą w stanie oprzeć na tym fakcie swoją strategię, ale lepiej to jasno powiedzieć.

Kolejny impuls. Otrze się o Ziemię.

– Oj, niedobrze. Neil...

– Już. – Neil gorączkowo przeliczył współrzędne. I odwrócił się do mnie z przerażeniem wypisanym na twarzy. – Hersch, oni trafiają.

– W Ziemię?

– W Kubę.

– Kubę? Ale my...

Kiwnął głową.

– Tak. Planowo mamy ich podnieść dopiero za godzinę.

– Ile czasu?

– Dwadzieścia osiem sekund.

Przez dwie milisekundy patrzyłem na Neila. Na Kubie mieszkało teraz sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Nie było szans, by coś zrobić. Nie w tym czasie.

– Czyli oni...

– Tak. Już nie żyją.

Oczywiście nikogo tam osobiście nie znałem. Byłem w układzie dopiero dzień czy dwa. Ale Riker, to znaczy Will, na pewno kogoś znał. Miałem nadzieję, że tego nie policzył. Dla nas trzydzieści sekund to wieczność. Trzydzieści sekund na myślenie o ludziach, których znasz, jeszcze żywych, ale niedługo martwych...

Neil miał opuszczoną głowę i zaciśnięte powieki.

– Ja mu powiem, stary. Jak będzie po wszystkim.

Uniósł na mnie wzrok i kiwnął głową. Kilka razy przełknął ślinę i wrócił do pracy. Przez resztę tej minuty w powietrzu było aż ciężko od ciszy.

Wysłaliśmy na Kubę dwa drony, bardziej na wszelki wypadek niż z jakąkolwiek nadzieją. Nie minęły dwie sekundy, gdy musieliśmy wyłączyć obraz. Mieszkańcy zebrali się na otwartych obszarach, żeby ułatwić załadunek. Tyle trupów...

Reszta załadunku przeszła bez incydentów. Inni puścili jeszcze parę impulsów, ale żaden nie przeszedł blisko. Nie mieli oczywiście pojęcia, że lepiej byłoby celować w samą Ziemię. A może byli oburzeni tym, że używamy ich transportowca.

Nie miało to znaczenia.

Wreszcie ostatni raz unieśliśmy się z Ziemi. Wycelowałem dziób w kurs, który trzymał nas w cieniu Ziemi względem floty Innych, i dałem gaz.

Oddalenie się od bitwy na tyle, by poczuć się bezpiecznie, zajęło kilka godzin. Z tej odległości impuls wywołałby co najwyżej ładną zorzę wokół płyt holowniczych. Bitwa wciąż szalała. Zmieniła się w wojnę na wyniszczenie. Prawdopodobnie wygra ten, co zostanie.

– Jakie mamy szanse? – zapytał Neil.

Wiedziałem tak samo jak on. Po prostu chciał coś zagadać. Wzruszyłem ramionami.

– Jeśli tutaj wygrają, będziemy musieli lecieć do któregoś z innych światów z koloniami. Co oznacza, że budujemy jakieś miejsce do życia dla sześciu milionów ludzi i jednocześnie kapsuły hibernacyjne. Prawdopodobnie z milion zabiorą głód i choroby. Jeśli wygramy, możemy wrócić, wyładować ich, dobudować resztę kapsuł i zabrać wszystkich na 82 Eridani. Ale... – wpatrzyłem się w Neila – ...wciąż trzeba będzie poradzić sobie z Innymi w ich macierzystym układzie. Inaczej oni po prostu się przegrupują, odbudują, odnowią i znów na nas ruszą, w jakimś innym miejscu i czasie.

Siedzieliśmy i wpatrywaliśmy się w przestrzeń. Od czasu do czasu zerkąłem na stan ludzi. Z głośników dobiegały jęki, stękania i rozpaczliwe szlochy. Dla nas to było trudne, ale oni mieli nieskończenie gorzej. Całe życie wisiał nad nimi potencjalny wyrok śmierci, jednak to zagrożenie było nieosobowe, nieokreślone i rozmyte. Teraz zaś pojawiło się inne, osobowe i bezpośrednie, mogące się ziścić w każdej chwili.

Spojrzałem przez kamerę losowego szopa. Ludzie generalnie poowijali się zapewnionymi przez nas siatkami. Dawało to pewnie namiastkę poczucia góry i dołu w nieważkości. Uchodźcy najbliżsi kamery wszyscy mieli zamknięte oczy. Tulili się do siebie i obejmowali, byli po prostu nastawieni na przetrzymanie.

W jakimś nieznanym czasie albo ich wyładujemy, albo wszyscy nagle zginą. Nie było na co się cieszyć.

Otrząsałem się z tych ponurych myśli. Miałem robotę, polegającą głównie na zadbaniu, by ta druga alternatywa się nie spełniła.

Dobrze, że chociaż spadała liczba incydentów sanitarnych. Choć byłem przekonany, że powietrze w ładowniach musi być nieźle świeże.

Nagle, wiadomość od Willa:

No, koniec.

68. Bitwa

Riker, kwiecień 2257, Układ Słoneczny

Wskoczyłem z powrotem do centrum dowodzenia i zastałem tam scenę jak po wsadzeniu kija w mrowisko. Bobowie przekrzykiwali się głosami na pograniczu paniki. Kilka grup stało przed taktycznymi ekranami, kłócąc się i agresywnie gestykulując. Szybko odnalazłem Billa.

– Co się stało?

Bill zamknął na moment oczy ze znużeniem i desperacją.

– Zrobili szybki numer. Drugi superimpuls zamaskował gwałtowny wypad kilku oddziałów dronów i pocisków. Zaskoczyli nas. Musimy się wycofać i przegrupować.

Nagła myśl kazała mi sprawdzić przypominajki.

– Bill, nadchodzi moment dotarcia Dżokerów. Będą w stanie skorygować kurs czy po prostu spudłują?

– Cholera. – Bill opuścił wzrok i potarł czoło. – Daj mi chwilę.

Jego awatar zamarł. Przez chwilę lekko się bulwersowałem. Bill praktycznie nigdy nie wypadał z roli w ten sposób. Potem uśmiechnąłem się skonsternowany. Jeśli kiedykolwiek było to uzasadnione, to właśnie teraz. Bill ożył z powrotem, minę miał trochę bardziej optymistyczną.

– To jest jak z tymi wiadomościami. Dobra: Dżokery nadal ich przechwycą. Zła: Inni urządzili kontrofensywę. Wystarczy na wszystko, co mogą na nich rzucić Dżokery. I jeszcze zostanie.

– Przesadzili z tym? Odsłonili się od naszej strony?

– Nie. – Pokręcił głową. – Mają za dużo amunicji. Górują i nad nami, i nad Dżokerami.

– Czyli na strategiczne zwycięstwo nie ma żadnych szans.

– Nie, Will. – Bill usiadł zmęczony i pokonany.

– To chyba pora na akt desperacji, nie?

– Dziękuję, Spock. W sumie to czemu nie? Może będą musieli odwołać część rzeczy, które wypuścili na Dżokerów.

Kiwnąłem głową. Mieliśmy spory kontyngent pancerników sterowanych przez MSI, które nie zawahałyby się przed misją samobójczą – za to właśnie kochamy MSI – ale trzymaliśmy je na wypadek jakiejś pojawiającej się okazji. Teraz dorzucimy do ognia wszystkie zapasy paliwa naraz. Jakbyśmy mieli jakiś wybór...

Wydałem polecenia. Prawie setka pancerników i trochę *Nieb* rzuciły się do walki z pełnym przyśpieszeniem. Wszystkie inne statki dostały rozkaz zejścia z linii ognia. Byliśmy prawie pewni, że Inni użyją asteroid śmierci.

Inni zareagowali natychmiast, wypływając kolejną chmurę obrońców z kolejnego transportowca i obracając asteroidy śmierci w stronę nadlatujących statków.

– Zrobili błąd – powiedział zdziwiony Thor. Wszyscy popatrzyli na niego. Odwrócił się i wyszczerzył zęby. – Dobra akcja, ale zły statek. Wypuścili flotę z transportowca, który jest trochę za daleko. Nawet z ich przyśpieszeniem nie dolecą na czas.

I rzeczywiście, Inni chyba pojęli własną pomyłkę, bo kolejny transportowiec otworzył wrota i wypuścił jednostki. Tyle że za późno. Chwila zwłoki i te miały dotrzeć jeszcze później.

Uśmiechnąłem się, wyobrażając sobie jakiegoś generała Innych, gdzieś w środku armady, jak krzyczy na podwładnych i wściekle wymachuje swoimi wichajstrami. Pomagało. Trochę.

Kilka pancerników celowo się wysforowało. Teraz zdetonowały wszystkie swoje ładunki. Eksplozje sprzątnęły prawie całą pierwszą falę obrońców, torując drogę następnym pancernikom. Te wleciały, ustawiły się tak, by zmaksymalizować pole rażenia, i zdetonowały się wszystkie naraz.

Nie budowaliśmy ciężkich atomówek, one były przeznaczone do taktycznych uderzeń, a nie do niszczenia całych miast. Mimo to taka liczba statków, a każdy z kilkoma głowicami... powstała niezła kula ognia. Pole bitwy nie chciało się oczyścić przez prawie pół minuty.

Gdy wreszcie widać było skutki, rozległy się wiwaty. Funkcjonowała już tylko jedna trzecia floty Innych. I teraz to oni musieli się przegrupować, spowalniając natarcie i przesuując jednostki, tak by nie mieć luk w obronie.

Domyślaliśmy się, że teraz będą bardziej polegać na impulsach EMP. Lepiej nas przetrzebić, a potem spokojnie się naładować przed atakiem na Ziemię. Oczywiście to od samego początku była najlepsza strategia, lecz Inni dawno udowodnili, że ich arogancja nie zna granic. Po prostu nie spodziewali się, że możemy zorganizować coś, co będzie na poziomie ich...

Wpatrzyłem się przed siebie, rozdziawiając usta. Bill to zauważył i odwrócił się do mnie z troską.

– Dobrze się czujesz, Will?

Przekrzywiłem głowę.

– Bill, Dżokery lecą prawie z prędkością światła, nie?

– No, dokładnie, chcieliśmy, żeby wpadli jak najszybciej. Ale teraz to wszystko na nic. Inni i tak mogą postrzącać ich atomówki, zanim się odpowiednio zbliżą.

Na mojej twarzy powoli odmalował się uśmiech.

– Ale nie muszą się odpowiednio zbliżać. Wiemy ze skanów, że asteroidy śmierci nie są za bardzo ekranowane przeciwko impulsom...

– No, nie, one są od strzelania impulsami. A co?

– Przy prędkości Dżokerów promieniowanie z wybuchu przesunie się solidnie dopplerowsko w górę, prawda? Konkretnie się przesunie. Wyżej niż impulsy Innych.

Teraz to Bill wybałuszył oczy. Odwrócił się do ekranu i natychmiast odezwał się na kanale Dżokerów.

– Hannibal! Wystrzelcie wszystkie wasze atomówki, prosto na Innych i zdetonujcie je, jak tylko to będzie bezpieczne. Tak, żeby napromieniować każdy statek Innych. Starajcie się unikać naszych, ale jak trzeba, to trzeba, jesteśmy na to gotowi. Potwierdzić!

– Dotarło, Bill. Już wypuszczamy.

Ekran pokazał, że Dżokery emitują całą falę mniejszych jednostek. Prawie tysiąc bomb, według pierwotnego planu mających wybuchnąć pośrodku floty Innych. Jeśli to się nie uda, to właśnie zmarnowaliśmy większość naszego pozostałego uzbrojenia.

Bill spojrzał na mnie. Jakby czytając mi w myślach, powiedział:

– I tak by się zmarnowało.

Margines był bardzo niewielki. Zadziałaliśmy ułamek sekundy za późno. Bomby wybuchły niecałe dwie sekundy od kontaktu z nadlatującymi siłami obrony Innych. Pięć sekund później promieniowanie dotarło do ich głównej floty.

Zjawisko Dopplera wywołane prędkością uzbrojenia przesunęło częstotliwość promieniowania nawet powyżej tego, co mogły wyemitować asteroidy śmierci. W praktyce zwyciężaliśmy, walcząc ich własnym mieczem. Każdy statek w zasięgu tego promieniowania, nawet jeśli fizycznie nie był zniszczony, był wysterylizowany z wszelkiego życia. A istniała spora szansa także na sfajczenie całej elektroniki.

Stożek rażenia był szeroki, na tyle szeroki, że oprócz floty Innych zahaczał także około pięćdziesięciu naszych pancerników. Patrzyliśmy, jak ich kontrolki

gasną na ekranie. Cała akcja na polu bitwy ustała, jakby wszyscy wstrzymali oddech.

Czekaliśmy. Mijały milisekundy, potem całe sekundy. Żadnej reakcji.

– Chyba wygraliśmy. – Bill wytrzeszczył oczy na ekran, na jego twarzy malowało się otwarte niedowierzanie. – To koniec.

– A pieprzyć to! – zawołał Thor. – Ja i tak ich powysadzam. Kto jeszcze ma atomówki?

Nadeszła seria odpowiedzi. Zbyt mało, żeby czuć się dobrze – w tym momencie naprawdę dotarło do nas, jak niewiele brakowało do klęski.

Przez chwilę patrzyliśmy po sobie, w końcu Bill kiwnął głową i powiedział:

– Strzelać bez rozkazu. Zniszczyć wszystkich.

Usiadłem ciężko.

– Chyba ludzkość jednak przeżyje.

– A właśnie. – Bill klepnął się w czoło. – Herschel i Neil dalej uciekają na pełnym gazie. Może trzeba im powiedzieć.

Wyszczерzył się do mnie, a ja kiwnąłem na niego, żeby to robił. Ale najpierw wysłałem im szybką wiadomość:

No, koniec.

69. Zakończenie

Bob, maj 2233, Delta Eridani

Odłożyłem bukłak na wodę i podwiązałem ściany pergoli. Na zewnątrz wstawał kolejny przepiękny dzień na Edenie. Śpiewały ptakopodobne stworzenia, a stworzenia wiewiórkopodobne wymyślały wszystkiemu i wszystkim za to, że istnieją.

Podniosłem bukłak, podszedłem do Archimedesesa i usiadłem.

– Wstawaj, przyjacielu. Przyniosłem świeżą wodę.

Jeszcze się nie obudził. Nakłaniałem go, żeby spał jak najwięcej, by regenerować siły. Nachyliłem się, zamierzając go szturchnąć, i...

Nic.

Zero oddechu.

Zero pulsu.

Słyszałem niskie zawodzenie. Dopiero po chwili zorientowałem się, że sam je wydaję.

Dłoń na ramieniu. Belinda.

– Robert? Robert? Musisz się ruszyć.

Uniosłem głowę i zobaczyłem patrzącego na mnie ze smutkiem Niszczyciela. Dotarło do mnie, że przeszkadzam. Podniosłem się, poszedłem na sztywnych nogach na drugi koniec namiotu, położyłem się i zwinąłem w kłębek.

Na pogrzeb Archimedesesa przyszli wszyscy. Nie tylko sama rodzina; wywarł taki czy inny wpływ na każdego żyjącego Deltanina. Kiedy pochód żałobników się skończył, był cały przysypany białymi kwiatami.

Kiedy rodzina podeszła zasypać grób, zapytałem ich, czy dadzą mi chwilę sam na sam. Wszyscy obejrzel się na Niszczyciela, który kiwnął głową. Byliśmy z Archimedesem nierozłączni przez dwadzieścia ziemskich lat – ponad osiemnaście edeńskich. Prośba była na miejscu.

Gdy reszta odeszła wystarczająco daleko, wpuściłem do grobu jednego z tych małych dronów wielkości piłki do nogi. Z podkręconym na maksa kamuflażem był niemal całkowicie niewidzialny, kiedy wtulał się w ziemię na samym dnie. Wyciągnąłem rękę, przesunąłem nieznacznie ramię Archimedes, tak żeby trzymał drona w objęciach.

Drony szpiegowskie nie zauważyły, by ktokolwiek się zorientował. Przyznałem sam przed sobą, że to głupi akt bez znaczenia. Wydawało mi się jednak, że dobrze zrobiłem. Chciałem mu zostawić coś z siebie.

Po odpowiedniej chwili wstałem i podszedłem do Niszczyciela i reszty rodziny. Odwrócili się do mnie, po czym razem, bez słowa, poszliśmy zasypać grób i przykryć go bryłami kamienia.

Dron, z nowym zasilaniem opartym na zjawisku Casimira, podziela pewnie całe stulecia. Coś mu się w końcu zepsuje, to oczywiste, ale na razie, jeśli ktokolwiek czy cokolwiek zechce zakłócić mi spokój, nadzieje się na niespodziankę.

Kiedy skończyliśmy, trochę jeszcze pokłęczałem przy grobie. Potem poszedłem do jego namiotu, gdzie siedzieli już Belinda i Buster. Belinda poczęstowała mnie suszonym mięsem. Jedliśmy w milczeniu.

Potem Buster powiedział:

– Jeśli chcesz, możesz sobie wziąć jego rzeczy. Byłeś od lat jego najlepszym przyjacielem.

Uśmiechnąłem się blado, tylko na tyle było mnie stać.

– Dzięki, Niszczycielu, ale ja chyba sobie pójdę. Tylko Archimedes mnie tu trzymał.

Niszczyciel długo patrzył na mnie z zakłopotaniem. W końcu nieśmiało zapytał:

– Robert? Ty jesteś *bawbe*, nie?

– Tak. – Wzruszyłem ramionami. – I skoro nie ma już Archimedes, to...

– Damy sobie radę?

Kiwnąłem głową.

– Tak. Dacie. Już panujecie nad swoim środowiskiem. Pokażecie temu światu, kto tu rządzi. A za wiele, wiele lat dzieci waszych dzieci przylecą i znajdą mnie i moich braci.

Wstałem.

– Żegnaj, Belindo. Żyj długo i szczęśliwie.

I nie odwracając się, odszedłem z wioski w kierunku czekającego drona transportowego.

70. Eksterminacja Ikar, grudzień 2256 – kwiecień 2257, w drodze do GL 877

Kurtyna w górę.

GL 877 była wciąż o parę miesięcy świetlnych, ale przy naszym τ , dla mnie i dla Dedala były to co najwyżej minuty. Układ łączności odbierał regularne zapytania i informacje od lokalnych Bobów – głównie Maria i jego grupy, starającej się prowadzić obserwację Innych. Nadchodzące wiadomości brzmiały dla mnie jak piski – dylatacja czasu była o wiele za duża, by sprzęt replikanta był w stanie ją skorygować. Gupik zajmował się odpowiadaniem, ale poprosiłem go, żeby niczego mi nie przekazywał, chyba że w nagłej potrzebie. Nie mogłem sobie pozwolić na zakłócanie skupienia.

Wysłałem przyrostową kopię zapasową, na wszelki wypadek. Kolejnej okazji mieć nie będę.

Wyłączyłem VR-kę i podkręciłem sobie zegar na maksa. Na tym poziomie rzeczywistość zaczynała mi się rozmywać – mój sprzęt próbował ją pikselować.

Kiedy dotarliśmy na odległość pięciu dni świetlnych, kazałem Gupikowi rozesłać wiadomość, by wszyscy lokalni Bobowie uciekali ze Strefy. Wszystko, co za chwilę znajdzie się za blisko GL 877, będzie wymagało blacharza i lakiernika.

Zaplanowaliśmy podejście tak, że ja nadlatywałem od gwiazdnej północy, a Dedal od południa. W odległości sześciu godzin świetlnych GL 877 przedstawiała się jako wyraźny dysk, nawet bez powiększenia. Nieustanna wymiana informacji pomiędzy mną i Dedalem zapewniała, że trafimy dokładnie w tej samej chwili. Machina była już rozpędzona i Inni nie mogli nic zrobić, żeby nie dopuścić do doręczenia naszych przesyłek.

Pora na ostatnią kontrolę.

– Wszystko w porządku, Ded. Już blisko. Nic już nie może się zdesynchronizować.

Nastąpiła przerwa, Dedal pewnie wykonywał własne testy.

– Tak, Iki. Pora ratować tyłki, nie?

– Dokładnie.

Oddzieliłem się od ładunku i przyśpieszyłem maksymalnie w kierunku środka galaktyki. W rufowej kamerze widziałem była planetę Epsilon Eridani, kurczącą się i oddalającą na swoim kursie. Odczyty wskazywały, że Dedal zrobił symetryczny ruch po drugiej stronie GL 877. Obaj mieliśmy otrzeć się o tę gwiazdę, przelatując w periastronie bliżej niż orbita Merkurego.

GL 877 urosła w parę sekund. Widziałem rozbłyśki i protuberancje na jej powierzchni, a SUDDAR rejestrował ogromne skupienie masy – budowaną sferę Dysona. Inni musieli już wykryć dwie planety, zbliżające się z prędkością odrobinę mniejszą od prędkości światła. Czy wiedzieli? Czy dotarło do nich, w ostatnich sekundach, co ich czeka? Mam nadzieję, że tak. Pawonisi nigdy nie mieli takiej sposobności, podobnie jak istoty z Dzety Tukana, których nazwy nigdy nie poznamy.

Nieco za mną, planeta znana kiedyś jako Epsilon Eridani 1, wielkości Marsa, uderzyła w północny biegun gwiazdy z relatywistyczną siłą równoważną połowie masy Jowisza. W tym samym momencie dawny największy księżyc Epsilon Eridani 3 zderzył się z drugim biegunem.

Gwiazdy są gorące, ale niezbyt gęste. Dwie planety wbiły się na znaczną głębokość, zanim przestały istnieć. Ich uderzenia wywołały symetryczne fale uderzeniowe, które przebiegły przez gwiazdę w kierunku jądra. Gdy te fale penetrowały coraz głębiej, sprężając materię gwiazdy, w obszarach, gdzie synteza termojądrowa nie mogła być podtrzymana, nagle okazało się, że da się ją podtrzymać. Natomiast w obszarach, gdzie fuzja już trwała, zdolność dramatycznie się zwiększyła. Pierwiastki niezdolne do fuzji w obecnych warunkach nagle dostały dodatkową energię i rozpoczęły syntezę. Hel zbił się w węgiel i tlen, a reakcja poszła łańcuchowo aż po żelazo. W parę minut energia promieniowania gwiazdy podskoczyła kilkaset razy. Delikatna równowaga pomiędzy ciśnieniem wewnętrznym a kompresją grawitacyjną została zachwiana i GL 877 eksplodowała z połową prędkości światła. Pochłonięcie całego układu miało jej zająć trzy godziny, jednak przez połowę tego czasu fala promieniowania zdążyła wszystko wysterylizować.

Uciekając z układu z prędkością dziewięćdziesiąt dziewięć koma jakaś absurdalna liczba dziesiątek procent prędkości światła, postrzegaliśmy z Dedalem tę falę w częstotliwościach radiowych. Ale i tak trzeba będzie parę lat świetlnych przelecieć z wysokim τ , zanim w ogóle będziemy mogli pomyśleć o bezpiecznym hamowaniu.

– To za Pawonisów. I za wszystkie inne, bezimienne gatunki, które uznaliście za stosowne wymazać z mapy wszechświata.

71. Zwycięstwo

Herschel, kwiecień 2257, Układ Słoneczny

Na dalsze informacje musieliśmy poczekać kilka pełnych sekund. Ewidentnie i Bill, i Will byli chwilowo bardzo zajętymi Bobami. Wreszcie wskoczył Bill, uśmiechnięty od ucha do ucha. Oraz z przepaską na oku, ręką na temblaku i paroma plasterkami ponaklejanymi typowo na krzyż, jak w kreskówkach.

Neil wybuchnął śmiechem i spadł z krzesła. Mnie udało się zachować powagę, uniosłem tylko brew i zapytałem najbardziej lodowatym głosem, na jaki było mnie stać:

– Naprawdę?

Bill zachichotał i zniknął efekty specjalne.

– No, niestosowny humor to nasza specjalność, co nie?

Przywołał sobie worek sako, opadł na niego i oklapł jakby nie miał kości.

– Jestem ci wdzięczny, Neil, że przypomniałeś mi, jak uwielbiamy ten mebel.
– I po chwili: – W każdym razie masakra jest po prostu niesamowita. Straciliśmy dziewięćdziesiąt procent naszych statków, a pozostałych niszczycieli i bomb to chyba byłoby za mało nawet na oddział harcerek. Ale rozwaliliśmy każdy sprzęt Innych w układzie. Oczywiście oprócz *Bellerofonta*. I daliśmy drony na pełny rekonesans. Na wszelki wypadek. Wszyscy widzieli te filmy, gdzie ludzie przedwcześnie się relaksują. Ja dziękuję, postoję.

Przez parę milisekund wszyscy siedzieliśmy w milczeniu. Przywołałem sobie piwo. Bill i Neil bez słowa zrobili to samo. Unieśliśmy szklanki do milczącego toastu i się napiliśmy.

Pozostawała jednak ta druga paląca kwestia.

– Bill, ale my dalej mamy Innych na głowie. Potrzebujemy jakiegoś ostatecznego rozwiązania, inaczej problem będzie powracał, coraz większy.

Bill pokręcił głową.

– Ten problem jest już rozwiązany. Przepraszam, byliśmy tak zajęci, że nie zebrałem się do napisania informacji, ale dopiero co wczoraj dostałem raport od Ikara i Dedala. Mają takie τ , że sformatowanie raportu i wysłanie go zajęło im prawie tydzień. – Wyszczrzył zęby. – Jeszcze w roku dwa tysiące dwieście

dwudziestym piątym zacząłem taki mały prywatny eksperyment. Za wiele o nim nie mówiłem, bo to było bardzo nieprawdopodobne. Nie chcąc budzić daremnych nadziei, chciałem, żebyśmy i tak przygotowywali się do frontalnego uderzenia. W skrócie: mniej więcej dziesięć dni temu GL 877 zamieniła się w nową. W całym układzie, aż po obłok Oorta, nic nie zostało. Potwierdziły to drony monitorujące, zanim też padły.

Spojrzeliliśmy po sobie z Neilem, obaj w szoku.

– To my umiemy takie rzeczy? O, stary! – powiedział Neil.

Wytrzeszczyłem oczy na Billa.

– Ktoregoś dnia jakiś gatunek zaobserwuje ten wybuch i będzie zachodzić w głowę, co jest nie tak z ich modelami astronomicznymi.

Daliśmy ciszy przeciągnąć się na kilka milisekund, delektując się tą chwilą. Wreszcie Bill dokończył:

– Mario wyśle Bobów na zwiady na peryferia GL 877 i do okolicznych gwiazd. Przez sto czy dwieście lat będziemy też patrolować okolicę. Ale jeśli nie znajdziemy jakichś innych gniazd, myślę, że Innych mamy z głowy.

Uśmiech zniknął z mojej twarzy.

– Czyli właśnie zniszczyliśmy cały gatunek.

– Potwierdzam. – Bill wbił wzrok w buty. – Filozoficznie to ciężka myśl. Ale zważywszy to, co zrobili nam i innym gatunkom, ani trochę tego nie żałuję.

Pokiwaliliśmy głowami, znów bez słowa.

– Jeszcze jedno ... – odezwałem się, patrząc znacząco na Billa.

Powoli zamknął oczy.

– Rany. Ilu? I jak?

– Ten impuls, który otarł się o Ziemię. Kuba. Około stu pięćdziesięciu tysięcy ludzi. – Bill otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale mu przerwałem. – Już sprawdziliśmy.

Pokiwał głową. Po paru milisekundach powiedział:

– To moja odpowiedzialność. Powiem Willowi. Wy martwcie się o ludzi na własnym pokładzie.

– A, no tak, chyba trzeba już zacząć ich odstawiać do domów.

Rozładowywaliśmy ludzi w odwrotnej kolejności, zaczynając od ostatnich. Pierwsza fala transportowców właśnie odleciała, a my stanęliśmy przed dylematem.

– Jest w ogóle sens budzić tych zahibernowanych? W istocie wysłamy ich na planetę, która już ledwo nadaje się do zamieszkania. – Uniosłem brwi i spojrzałem na Willa i Billa.

Will miał udrękę w oczach i z opóźnieniem reagował na pytania.

– Zapytam tych przedstawicieli ONZ, którzy są obudzeni, ale po mojemu: nie, nie ma sensu. Kiedy są w hibernacji, istniejące zasoby wystarczą na dłużej i będzie można aktywną część ludzkości rozmieścić w najlepszych miejscach.

– A ile będą tkwić w tej hibernacji? – zapytał Neil.

– To znaczy, zanim odleciecie, rozumiem? – odparł Bill. – Przy takiej ilości złomu z bitwy, plus to, co przywieźliście *Bellerofontem*, Willowi już nie będzie brakowało surowców. A wszystkie autofabryki nastawione na wysiłek wojenny mogą teraz nie robić niczego oprócz kapsuł hibernacyjnych. Te ostatnie sześć milionów da się wytworzyć w niecały rok.

– Jasna cholera – powiedziałem. – No to tak róbmy.

72. Dochodzenie do siebie

Bob, czerwiec 2233, Delta Eridani

To był dla mnie ciężki miesiąc. Sporadycznie próbowałem włączać wioskową VR-kę i obserwować, ale nie byłem w stanie jej znieść dłużej niż przez chwilę. Za życia nie miałem takiej styczności ze śmiercią – nie umarł mi nikt z bliskiej rodziny, a paru dalszych krewnych, którzy umarli, było dla mnie w zasadzie tylko nazwiskami na corocznych kartkach świątecznych. A tutaj to jak stracić brata czy rodzica. Parę razy popłakałem, uświadomiwszy sobie, co musieli przejść moi rodzice i siostry.

Na domiar złego w Camelocie ta śmierć przeszła w zasadzie bez echa. Nawet Niszczyciel i jego rodzina po dniu czy dwóch wrócili z powrotem do normalności.

A przecież Archimedes był ważny. Bardzo znacząco odmienił życie wszystkich Deltan – dlatego jakoś mnie uraziło, że tak szybko i całkowicie zepchnęli go w przeszłość.

W bardziej racjonalnych chwilach zastanawiałem się, czego się właściwie spodziewałem. Procesji? Pomnika?

Hmm. Pomnik. Interesujący pomysł.

Oczywiście już dawno wzięłem próbkę genomu Archimedesesa. Kwestia, jak różniło się jego DNA od deltańskiego archetypu, była przedmiotem ciągłych badań. Ustabilizowanie próbki zajęło kilka dni, użyłem do tego technik rozwiniętych na Ziemi – i przypadkiem wykorzystanych także do mojego ludzkiego mózgu. Jeden dodatkowy dzień i monolit na największym księżycu Edenu zyskał dodatkowy zapis.

Czułem jakiś niewyraźny niepokój, że wkraczam na tereny niezdrowej obsesji. A być ześwirowanym i nieśmiertelnym komputerem jest Bardzo Źle, z wielkimi literami. Pingnąłem Marvina, chcąc mieć inny punkt widzenia. Zaprosił mnie.

Wpadłem do jego VR-ki i rozejrzałem się. Marvin dalej realizował plan, który sam sobie narzucił – odzwierciedlenia każdej scenerii z każdej książki i filmu, które kiedykolwiek widzieliśmy lub czytaliśmy. Zrobiło się z tego coś w rodzaju

konkursu – ja musiałem zgadnąć, skąd to jest, przy minimalnej liczbie podpowiedzi.

Na tym jednak się wyłożyłem. Widziałem tylko zwykłe małe miasteczko. Stałem przed kawiarenką, w środku siedział Marvin i szczyrzył się do mnie przez witrynę. Odwróciłem się, żeby się rozejrzeć. Zwykli ludzie, robiący zwykłe rzeczy, zwykły świat z początku XXI wieku. Ale zamiast samochodów wozy konne. Hmmm.

Wzruszyłem ramionami i wszedłem do środka. Usiadłem naprzeciwko Marvina, a Jeeves postawił przede mną kawę.

– To Jeeves jest teraz kelnerem w knajpie? – Uniosłem brew.

Marvin uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– To akurat jest nieistotne.

Kiwnąłem głową, pozwoliłem, by przeszło parę milisekund. Potem nachyliłem się ku niemu i zacząłem mówić.

Marvin, chwała jego sklonowanemu sercu, słuchał w milczeniu, nawet kiedy łzy popłynęły mi po policzkach. Kiedy skończyłem, otarłem twarz serwetką.

– Jezus, Bob. Zmarł przyjaciel, którego znałeś od prawie siedemdziesięciu lat. To czego ty się spodziewałeś? Że machniesz ręką i pójdziesz dalej? Życie, stary. W każdym razie te gorsze odcinki.

– Ale my nie jesteśmy żywi.

– Jesteśmy, kurde. Biologiczni nie, ale żywi. Zaprzyjaźniamy się, cierpimy, podobno nawet się zakochujemy... Musisz przez to przejść. Przez żałobę. I nie wściekać się, że inni tak bardzo go nie oplakują. Mają swoje życie.

Usiadłem prosto i kiwnąłem głową. Marvin oczywiście miał rację. Ale coś mnie w tym nadal dręczyło. Nagle przyszło mi do głowy co.

– Bo wiesz... Marvin, śmiejemy się z Howarda i jego życiowych decyzji, ale on chociaż ewoluuje. A mój problem polega na tym, że przy pierwszej okazji wszedłem na utartą ścieżkę i tak nią lezę od siedemdziesięciu lat. Ciągłe próbuje być człowiekiem, na przekór rzeczywistości.

Marvin uśmiechnął się szeroko.

– O, dzisiaj to naprawdę jesteś spostrzegawczy. Jak nigdy.

– Chłe, chłe, chłe. W każdym razie śmierć Archimedesza daje okazję, żeby się odciąć, wykorzystać ten wstrząs emocjonalny. Jestem postludzkim skomputeryzowanym statkiem kosmicznym, najwyższy czas, żebym zaczął się zachowywać jak na taki statek przystało.

Dopiłem kawę i wstałem.

– Dzięki za rozmowę, Marv. Będziemy w kontakcie. A to miasteczko... to jest Nantucket, prawda? Z S.M. Stirlinga?

Marvin kiwnął głową z uśmiechem. Trudno nam było nabrać jeden drugiego.

Powoli spacerowałem po Camelocie. Właściwie to bardziej się snułem. Nie miałem ani punktu docelowego, do którego szedłem, ani nadrzędnego celu.

Charliego-androida trochę zmodyfikowałem, zmieniając mu wzór na sierści, kształt głowy i wzrost. Robert zniknął, a ten niczym się niewyróżniający Deltanin nie zostanie w wiosce wystarczająco długo, żeby się z kimś zaprzyjaźnić czy wdać w rozmowę, nie licząc zdawkowej.

To było moje pożegnanie z Edenem. Długo dotykałem różnych rzeczy, obserwowałem bawiące się dzieci, słuchałem odgłosów życia wsi. Przeszedłem obok namiotu Niszczyciela, uważając, żeby się tam zbyt długo nie kręcić, delektując się widokiem, dźwiękiem i zapachem rodziny.

A kiedy się nasyciłem, naprawdę na dobre sobie poszedłem.

73. Zgromadzenie Bill, styczeń 2258, BobNet

Zatrąbiłem jak zwykle klaksonem i odczekałem, aż standardowe miłe słowa ucichną. To było największe Zgromadzenie w historii, dużo, dużo liczniejsze od wszystkich poprzednich – mimo że około połowy Bobów wciąż było kopiami zapasowymi, a połowa aktywnych wciąż stała na platformach i czekała na zbudowanie statków.

Wolałbym poczekać, aż wszyscy się uaktywnią, ale zaniepokoiła mnie narastająca fala niezadowolenia w Bobiwersum. Lepiej będzie to otwarcie przegadać. Spojrzałem na Thora, który stał się de facto rzecznikiem tych – jak ich prywatnie nazywałem – dysydentów. Nie chciałem przeginać – przecież nie mieliśmy zacząć zaraz do siebie strzelać. W końcu, pomimo różnic zdań, wszyscy byliśmy w głębi jądra Bobami.

Thor rozejrzał się, sondując nastroje zebranych. I zwrócił się wprost do mnie.

– Bill, sprawa jest bardzo prosta. Przez ostatnie sto lat z kawałkiem praktycznie służyliśmy ludzkości. Wszyscy pamiętamy pierwsze spotkanie z tobą, Rikerem, Mariem, Milem i Bobem. Wszyscy pamiętamy, jaką kto podjął decyzję, kto będzie zasiedlać, kto eksplorować i tak dalej. Ale większość nas w ten czy inny sposób spędziła życie na niańczeniu ludzi, wożeniu ludzi i sprzecaniu się z ludźmi. I to jest męczące.

Rozległ się pomruk aprobaty. Rozejrzałem się i dotarło do mnie, że zgadza się z tym, mniej czy bardziej, większość obecnych Bobów. Nawet ci z wcześniejszych pokoleń.

– Rozumiem, co mówisz, Thor. Ja nie brałem aż takiego udziału w tym trudzie, głównie dlatego, że cały czas siedziałem w Epsilonie Eridani i bawiłem się w szalonego naukowca. Ale jedno nie jest dla mnie jasne. Chcesz coś poddać pod głosowanie?

Thor wyszczerzył do mnie zęby.

– No... nie. W Bobiwersum zasadniczo nie ma reguł. Każdy jest wolny i może robić, co chce. My chcemy po prostu doprowadzić do tego, żeby wszyscy zrozumieli tę sytuację.

Wystąpił Garfield.

– Bill, pamiętasz naszą dyskusję o tym, że jesteśmy *Homo sideria*?

Żartobliwie spojrzałem na niego spode łba.

– *Et tu*, Garfield?

– Nie do końca. Ale rozumiem, co mówi Thor, i w dużej mierze się z nim zgadzam. My teraz już jesteśmy *Homo sideria*. Czymś więcej niż tylko zwirtualizowany człowiek. – Rozejrzał się. – Ilu z nas jest jeszcze fizycznie na platformach w centrum kopii zapasowych, czy gdzie indziej?

Podniosło się kilkadziesiąt rąk. Garfield odwrócił się do mnie.

– Widzisz, ci goście fizycznie są świecącymi niebieskimi kostkami na stacji orbitalnej w obłoku Oorta Epsilonu Eridani. Ale mogą być gdziekolwiek, gdzie jest zasięg BobNetu. Mogą wejść do Manny’ego na Wolkanie czy Romulusie i pójść sobie na zakupy, mogą polatać dronem lub mantą w atmosferze Odyna, mogą obserwować Deltan, pomagać Pawonisom w osadnictwie, czy odwiedzić dowolną inną ludzką kolonię. Albo mogą polecieć zdalnie sterowanym *Niebem* do gwiazd, w ogóle nie ruszając się fizycznie z Epsilonu Eridani.

Thor podjął deklamację.

– Marcus urządził na Posejdonie latające miasta i zupełnie odmienił ich społeczeństwo. Howard i Bridget zbudowali latające miasta w górnych warstwach atmosfery Cyrku i żyją tam na stałe pod postacią androidów. Z własną rodziną. Marcus stworzył delfinokształtne androidy do badania wód Posejdona. Luke i Marvin planują ekspedycję poszukującą Bendera. Henry Roberts próbuje przepłynąć każdy większy akwen na każdej planecie w poznanym kosmosie. Bridget próbuje skatalogować wszystkie żywe gatunki w swoim zasięgu i organizuje ekspedycje na lodowe księżyce i planety. Dedal i Ikar pędzą w kierunku jądra galaktyki. – Thor omiótł zebranych dłonią. – I my chcemy to wszystko robić, ale musimy się bawić w autobusy, budowlańców, patrole bezpieczeństwa czy pociągi towarowe. Trochę już nam się nudzi rola robotów-służących ludzkiej rasy.

Kiwnąłem głową i opuściłem wzrok, żeby zebrać myśli. Po chwili popatrzyłem po zebranych.

– W żadnym razie nie zamierzam lekceważyć waszych odczuć. Myślę jednak, że w dużej mierze świadczą o wypaleniu. Ostatnie kilkadziesiąt lat to była kompletna kupa... – Śmiechy w tłumie dowodziły, że trafiłem. – I wydaje mi się, że jeśli trochę sobie odpoczniecie, będziecie mniej, hmm, bojowo nastawieni.

Thor spojrzał na mnie. Mina nie sugerowała, że przyznaje mi rację.

– Być może. I zrozumiem, Bill: my nie prosimy – i nie grozimy – niczym nieodwracalnym ani nieodwołalnym. Po prostu chcemy, żeby ludzie – i pewnie też starsi Bobowie – zrozumieli, że gatunek Bobów nie jest dla nich wołem

roboczym do dowolnego dysponowania. Jeśli któryś konkretny Bob chce pomóc, nie ma sprawy. Ale jeśli ludzie władają się w kolejną katastrofę jak poprzednia, nie będzie tak, że wszyscy się rzucimy położyć dla nich głowy.

– Będziecie chcieli zawrzeć jakiś pakt?

Thor parsknął śmiechem.

– Aż tak oficjalnie nie trzeba. Wystarczy oświadczenie i przyjęcie do wiadomości.

Zerknąłem na zebranych Bobów. Sądząc po minach, wyglądało to na opinię większości. A co mi tam.

– Dobrze, Thor. Przygotuję tekst, skonsultuję z wami i roześlę po koloniach.

– A niektóre z nich – dodał z uśmiechem Garfield – dostaną piany.

– O, na sto procent.

74. Wieść dla Pawonisów

Jacques, kwiecień 2257, HIP 840051

Drzwi ładowni otworzyły się. Wysiadłem. Nie zdziwił mnie czekający oddział Pawonisów z bronią w pogotowiu. Westchnąłem i pokiwałem głową. Możliwe, że ich wojsko nigdy nie zaakceptuje Bobów.

I trudno mi było ich za to winić. Każda interakcja przypominała im o technologicznej przepaści pomiędzy nami i o ich bezradności, gdybyśmy kiedyś zaczęli wysuwać jakieś żądania. Niezbyt komfortowa sytuacja dla wojskowego umysłu.

Podszedłem do grupy, uważając, żeby nie wyglądać agresywnie. Prawdopodobnie bez powodu nie porwą mnie i nie zastrzelą, ale po co ryzykować?

Dowódca oddziału zrobił pół kroku naprzód. Zwróciłem się do niego.

– Hazdżar mnie oczekuje.

Sierżant, czy jakiś ichni odpowiednik, wyglądał, jakby chciał mnie zrewidować. Albo zakuć w kajdanki, albo chociaż porządnie obić. Było jednak oczywiste, że nie mam przy sobie niczego natury technicznej, poprzestał więc na złowrogim łypnięciu i pokazaniu zębów.

Uśmiechnąłem się do niego, zaciskając wargi i spojrzałem znacząco w stronę domu Hazdżar.

Cały spektakl mógłby się toczyć jeszcze parę minut, gdyby Hazdżar nie wybrała tego momentu na wyjście na ganek. Machnęła na żołnierzy, a oni machnęli bronią na mnie.

Usiadłem w fotelu i czekałem, aż się odezwie.

– Mówiłeś, że masz jakieś wieści? Zapewne o Innych?

– Tak – odpowiedziałem. – Chciałem to przekazać osobiście. Bitwa się skończyła. Wygraliśmy, chociaż mało brakowało.

Hazdżar kiwnęła głową i przez chwilę patrzyła na horyzont.

– To oczywiście bardzo dobrze. Ale czy oni się po prostu nie przegrupują i nie wrócą? Jak długo jesteśmy bezpieczni?

– Oni już nie wrócą, Hazdżar. Zlikwidowaliśmy ich. – Opuściłem na moment wzrok, potem spojrzałem jej w oczy. – To nie jest coś, co zrobiliśmy z lekkim sercem. Ale zniszczyli tyle istot rozumnych i w ogóle nie byli zainteresowani zmianą swojego zachowania...

Żołnierze spojrzeli po sobie. Jeśli już wcześniej niepokoiли się przepaścią pomiędzy nami, te słowa na pewno nie pomogły.

– Będziemy ich obserwować, ale najpewniej nikt nie przeżył.

– Twojego gatunku, Żok, to ja chyba nigdy nie zrozumiem. – Hazdżar zawahała się, patrząc na mnie. – Macie takie możliwości, a nie chcecie z nich korzystać. Jesteście tak bogaci, że nawet nie potrzebujecie pieniędzy, i macie tak niewiele.

Przez chwilę patrzyłem w sufit. Niektórymi swoimi uwagami, choć może nieświadomie, trafiała w punkt.

– Hazdżar... my... znaczy, wszyscy Bobowie, nie mamy w ogóle parcia na władzę nad innymi. Wręcz przeciwnie. Chcemy zajmować się swoimi sprawami. I być może wreszcie nastąpił ten moment, kiedy uda nam się to osiągnąć.

Wskazałem na żołnierzy.

– Masz tutaj władzę, pod każdym względem. Jesteście w stanie zapewnić sobie bezpieczeństwo. My dopilnujemy, żeby tam na górze nic nie wymknęło się spod kontroli. – Pokazałem na niebo. – Ale poza tym, jeśli nie zwrócicie się do nas bezpośrednio, damy wam spokój. Doszliśmy do wniosku, że Bobowie wreszcie znają swoje miejsce w kosmosie. Dlatego zamierzamy się wycofać.

Hazdżar przez moment patrzyła na żołnierzy, potem uśmiechnęła się do mnie.

– Niektórzy z nas pewnie się ucieszą. A ja nie jestem taka pewna. W każdym razie damy sobie radę. Przeżyjemy. – Wstała. – Dziękuję, Żok, za te informacje. Powiadomię Radę.

Wstałem, pokiwałem głową po pawonisku i poszedłem do swojego drona. Wsiadłem i odwróciłem się, żeby spojrzeć ostatni raz. Gdy drzwi się zamykały, zobaczyłem, że *Hazdżar* pokazuje mi wolkański salut.

Wskoczyłem do PRDP. Program Rekultywacji Delty Pavonis miał dedykowaną wirtualkę, chodzącą na Billowej platformie do Zgromadzeń. Rozejrzałem się po sali – kilku Bobów patrzyło w okienka wideo albo sterowało

dronami na powierzchni planety. Z boku stał Ferb i przyglądał się temu wszystkiemu.

– Cześć, Ferb. – Podszedłem do niego. – Jak idzie?

– Powoli, ale planowo. Udało nam się wyprodukować przynajmniej kilka osobników wszystkiego, co mieliśmy w próbkach. Przez jakiś czas pula genetyczna może być trochę problemem, ale powinno się w końcu udać odbudować jakieś siedemdziesiąt pięć procent ekosystemów.

Popatrzyłem w kilka innych okienek.

– A to drugie, to co?

Ferb wskazał białą tablicę z jakąś listą.

– Znaleźliśmy parę przyzwoitych planetoid w pobliskich systemach. Holowniki asteroid Billa spokojnie sobie z nimi poradzą.

Kiwnąłem głową usatysfakcjonowany.

– Czyli z czasem będziemy mogli zaproponować Pawonisom powrót na macierzystą planetę. I zapas surowców.

– Kilkadziesiąt lat to jeszcze zajmie, ale tak. Powinno się udać.

Patrzyliśmy na prace w sali, napawając się tą chwilą. Jedna rzecz mniej, za którą możemy się czuć winni.

75. Odtwarzanie Herschel, styczeń 2259, Układ Słoneczny

Dzień odlotu. Dwa słówka, a tyle znaczenia. Dzisiaj oficjalnie skreślamy ludzkość z listy zagrożonych gatunków. Zostawiamy Ziemię, wyglądającą już raczej jak śnieżka, własnemu losowi na parę tysiącleci. Miejmy nadzieję, że wróci do normy. Jeśli tak, mamy materiał genetyczny, by odbudować przynajmniej część ekosystemów.

Po zniszczeniu Innych Gamma Pavonis na nowo staje się zdalna do kolonizacji. Od czasu Bitwy o Układ Słoneczny parę statków-kolonii wróciło na Ziemię i leciało teraz w tamtym kierunku z ładunkiem osadników.

A my na *Bellerofoncie* wreszcie mieliśmy dość kapsuł hibernacyjnych dla reszty ludzkiej rasy. Dziś pozostali Ziemianie wyruszali do 82 Eridani, poukładani ciasno w ładowniach. Zanim tam dotrą, Mack i miejscowa ekipa pobiudują im farmy orbitalne i infrastrukturę pod kolonie. Nieuniknione, że części osadników nie spodoba się podjęte decyzje. Trudno.

Złom po Bitwie o Ziemię, a przynajmniej to, co nie spadło na nią deszczami meteorów, został w całości zebrany w punkcie L5 między Ziemią i Księżycem. Autofabryki dalej pracowały pełną parą nad statkami dla wszystkich Bobów zniszczonych podczas bitwy. Billowa infrastruktura do przechowywania kopii zapasowych w odległych lokalizacjach wreszcie pokazała swoją wartość – padło tylko kilka kopii różnicowych i w tych przypadkach Bobów po prostu odtworzono bez pamięci o ostatnich kilku minutach życia.

Wśród Bobów wciąż dominowało przeczucie, że odtworzenie z kopii zapasowej to nie do końca osobista nieśmiertelność, ale większość zgadzała się, że to i tak najlepsza alternatywa. Ja postanowiłem nie brać udziału w tej debacie filozoficznej, jeśli nie będzie dotyczyć mnie osobiście.

Zerknąłem na Neila.

– Jedyńka, gotowi do odlotu?

– A wal się. Poza tym słabo ci ten Picard wychodzi.

– No może, ale jednak dalej dowodzimy tą łajbą. Całkiem nieźle jak na pariasów, co?

– Mogło być gorzej. – Neil wyszczerzył zęby.

I śpiewając na całe gardło *Szantę księgowych* Monty Pythona, wzięliśmy kurs na 82 Eridani.

76. Pielgrzymka

Bob, październik 2263, Ziemia

Zatoczyłem pełne koło.

Jakieś dwieście metrów, dokładnie pode mną, znajdowało się kiedyś miasto nazywające się Las Vegas. Jaskinia Hazardu. Sin City. Miejsce, gdzie skończyło się moje pierwsze życie.

Obróciłem się powoli, rozejrzałem się po krajobrazie. Lodobrazie – to chyba lepsze słowo. Ziemia była już w stuprocentowym trybie *Epoki Lodowcowej*. Śnieg, kiedy już raz spadł, nigdy nie topniał, a lodowce podchodziły do równika.

Był piękny, mroźny i słoneczny dzień. Słońce odbijało się od lodu, zalewając wszystko blaskiem. Gdybym wciąż był biologiczny, dawno dostałbym śnieżnej ślepoty.

Umówiłem się z obecnym Bobem-rezydentem, typem z 10. pokolenia imieniem Harvey, że wydrukuje mi androida na podstawie najnowszych opublikowanych planów Howarda. Mogłem tę wizytę zrobić zdalnie z Delty Eridani – czy właściwie skądkolwiek, byle w zasięgu BobNetu. Chciałem jednak naprawdę przylecieć na Ziemię, żeby pielgrzymka była tyleż fizyczna, co emocjonalna. *Niebo 1B* wisiało na orbicie geostacjonarnej, trzydzieści pięć tysięcy kilometrów nad moją głową.

Wystawiłem twarz do wiatru i zamknąłem oczy. Wiatr mierzwił mi włosy i poświsztywał w uszach. Na HUD-dzie, widocznym nawet przy zamkniętych powiekach, wyświetlało się minus trzydzieści stopni – spokojnie w granicach tolerancji dzisiejszego androida. Ziemia ewidentnie jest załatwiona. Przynajmniej na parę tysiącleci. Na Zgromadzeniach zdarzały się dyskusje, czy obstawić ją jakimiś kosmicznymi lustrami i podgrzać, czy dać jej spokój.

Bobowie przez ostatnie dwadzieścia lat pracowali nad dopilnowaniem, by w Bankach Genów znalazły się wszystkie możliwe żywe istoty. Ostatnimi czasy nawet nie pobieraliśmy próbek, skanowaliśmy całe organizmy na poziomie subatomowym. Bill w swoim laboratorium szalonego naukowca w Epsilonie Eridani nie próżnował. Może nie był to jeszcze replikator na poziomie Star Treka, ale naprawdę niewiele mu brakowało. Bill przewidywał, że za parę lat

będzie w stanie odbudowywać rośliny i zwierzęta na podstawie samych skanów. Naprawdę nieźle.

Spojrzałem jeszcze raz w kierunku Las Vegas i pomyślałem o tym ostatnim moim dniu w charakterze ludzkiej istoty. Wspomniałem rozmowę z matką i Andream. Poczułem głęboki żal i smutek, że nie miałem takiej ostatniej rozmowy z ojcem i Alainą. Potem był ten ostatni posiłek z moimi pracownikami, którzy – dotarło teraz do mnie – byli wówczas prawdopodobnie także moimi najlepszymi przyjaciółmi na Ziemi.

Ich życia były teraz mniej niż przypisem w historii świata. Zapomniane tak doszczętnie, jak życie jakichś przypadkowych osób ze średniowiecza. Niedostrzegalna falka na powierzchni czasu, może z wyjątkiem tego, że ja mogę utrzymać przy życiu ich wspomnienia. Westchnąłem. Czasami miałem wrażenie, że życie to tylko akumulacja bagażu emocjonalnego – wspomnień, żalów i straconych okazji.

Uniosłem wzrok, słysząc delikatny szmer nadlatującego pojazdu. Dziwne – nie wzywałem jeszcze drona transportowego, żeby mnie zabierał. Odwróciłem się i patrzyłem, jak ląduje na lodzie piętnaście metrów ode mnie. Pauza, potem drzwi ładowni otworzyły się i wysiadły dwa androidy. Przeczytałem ich metadane...

– Bill! Will! – Z uśmiechem pobiegłem im naprzeciw.

– Cześć, Bob! Harvey powiedział nam, co kombinujesz, i poprosiliśmy go, żeby zrobił dwa dodatkowe.

– Jesteście w układzie?

Bill pokręcił głową.

– Nie, to ty jesteś na pielgrzymce. Mnie wystarcza, że to zrobię z Ragnaröka. Skinąłem głową i zerknąłem na Willa.

– Ja w drodze na 82 Eridani. Ale staram się mieć małe τ , żeby trzymać rękę na pulsie. – Uśmiechnął się do mnie szeroko. – Jak ktoś raz dostanie pierdolca na punkcie kontroli...

Parsknąłem śmiechem.

– A jak tam na 82 Eridani?

– Świetnie – odparł Will. – Podnieśli ciśnienie atmosferyczne do w miarę rozsądnego poziomu jak na Walhallę. Kiedy przyjadą ludzie na *Bellerofencie*, będą mieli trzy zdatne światy do wyboru. Oczywiście kolonie, które już są, będą narzekać na nowych. – Will rozejrzał się po lodowych polach. – Ludzkość jest już całkiem nieźle rozprowadzona. Zaczyna mi wyglądać na to, że mimo własnej głupoty jednak przeżyją.

Po chwili komfortowej ciszy Bill zapytał:

– I co teraz będziesz robił?

Popatrzyłem na nich obu, potem na niebo.

– Pewnie gdzieś polecę. Nowi Bobowie mają rację. Jesteśmy *Homo sideria*. Poza tym dość już mam tego, że ciągle się w coś po uszy angażuję. Trzeba zerwać wszystkie więzy, wycelować w gwiazdy i dać gaz. Zobaczyć, co tam jest.

– Ale będziesz w kontakcie?

– No pewnie. Będę stawiał i budował stacje, żeby mieć zasięg BobNetu. Któregoś dnia może będzie sięgać od końca do końca galaktyki.

– A my będziemy nadal żyć – powiedział Will. – Bo jak to mówisz, mamy nieskończenie wiele czasu.

Kiwnąłem głową i odwróciłem się do drona transportowego.

– Moglibyście zabrać mojego androida do magazynu? Ja chyba będę się starał brać jak najmniej bagażu.

Bill kiwnął głową.

– Nie ma problemu.

Wróciliśmy do transportowca i wsiedliśmy. Spojrzałem na moich dwóch najstarszych przyjaciół, uścisnąłem im ręce i się odłączyłem. A trzydzieści pięć tysięcy kilometrów wyżej włączyłem napęd SURGE i ruszyłem do gwiazd.